

# TO TYLKO PIES?

SUZANNE  
SELFORS



Suzanne Selfors

**To tylko pies?**

Przełożył Michał Zacharzewski



Wydanie oryginalne:  
Original title: *Smells Like Dog*  
Copyright © 2010 by Suzanne Selfors

First Edition: May 2010

Wydanie polskie:  
© 2015 for this book in Polish language – Grupa Wydawnicza Foksal sp. z o.o.

Redakcja, korekta i skład: Dolina Literek

ISBN 978-83-280-1762-7

Grupa Wydawnicza Foksal sp. z o.o.  
ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa  
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54  
e-mail: [biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

All rights reserved  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Wprowadzenie](#)

[Motto](#)

[Część pierwsza. Farma Puddingów](#)

[Rozdział 1. Śniadanie u Puddingów](#)

[Rozdział 2. Przedwczesna śmierć wujka Drake'a](#)

[Rozdział 3. Nieoczekiwana przesyłka](#)

[Rozdział 4. Pies o obwisłych uszach](#)

[Rozdział 5. Upiorne wycie](#)

[Część druga. Mleczna Dolina](#)

[Rozdział 6. Do szkoły](#)

[Rozdział 7. Dziwna chmura](#)

[Rozdział 8. Farbowany napój mleczny](#)

[Rozdział 9. Niespodziewane zaproszenie](#)

[Rozdział 10. Ajitabh, człowiek z chmury](#)

[Rozdział 11. Biblioteka o północy](#)

[Rozdział 12. Najgorsza rzecz, jaka wydarzyła się w Mlecznej Dolinie](#)

[Część trzecia. Miasto](#)

[Rozdział 13. Uciekinierzy](#)

[Rozdział 14. Dama z wyższych sfer](#)

[Rozdział 15. Dziewczyna od zupy pomidorowej](#)

[Rozdział 16. Panowie T. i S. Snooty](#)

[Rozdział 17. Magazyn zup](#)

[Rozdział 18. Żółwie z miejskiego parku](#)

[Część czwarta. Muzeum Historii Naturalnej](#)

[Rozdział 19. Przyjęcie dla Bardzo Ważnych Ludzi](#)

[Rozdział 20. Jaskinia Geniuszu](#)

[Rozdział 21. Królestwo Gadów](#)

[Rozdział 22. Pod Mikroskopem](#)

## [Część piąta. Wieża na tle nieba](#)

[Rozdział 23. Chmury, wszędzie chmury](#)

[Rozdział 24. Zdobywca niebios](#)

[Rozdział 25. Jeszcze jeden list](#)

[Rozdział 26. Sekrety i syropy](#)

[Rozdział 27. Najcenniejszy skarb](#)

## [Część szósta. Złowieszcza kryjówka](#)

[Rozdział 28. Oszustwo przyjaciółki](#)

[Rozdział 29. Powrót do Miasta](#)

[Rozdział 30. Połknięty żywcem](#)

[Rozdział 31. W kryjówce](#)

[Rozdział 32. Potwór w stawie](#)

[Rozdział 33. Dżentelmeńska umowa](#)

[Rozdział 34. Zarys bohatera](#)

[Rozdział 35. Sprawy końcowe](#)

## [Najsłynniejsi poszukiwacze skarbów wszech czasów](#)

## [Podziękowania](#)

*Książkę dedykuję moim dawnym i obecnym psom: Lulu, Maksowi,  
a przede wszystkim Skylos. Nie wyobrażam sobie życia bez błota z ich łap,  
przemoczonych piłeczek tenisowych oraz dyszenia.*

*Drogi Czytelniku!*

*Poniższa historia jest opowieścią o psie, ale nie jest, powtarzam, NIE JEST smutną opowieścią o psie. Nie cierpię smutnych opowieści o psach. Jestem przekonana, że Ty również ich nie lubisz. Ile razy sięgnąłeś po tego typu książkę i w chwili, gdy zacząłeś zakochiwać się w głównym bohaterze, wpadał do studni lub pod samochód albo ktoś do niego strzelał? Potem płakałeś po cichu w swoim pokoju, ponieważ nie wiedziałeś, czy pies przeżyje. Czułeś się fatalnie. To zrozumiałe, bo nie ma czegoś gorszego niż niewiedza. Na dodatek, jak znam świat, nie lubisz schodzić na obiad z oczami zaczerwienionymi od płaczu. To krępujące. Ja też tego nie lubię.*

*Dlatego obiecuję, że pies z tej powieści nie umrze. Nie masz się czym przejmować. Oczywiście nie oznacza to, że futrzak nie będzie miał niebezpiecznych i ekscytujących przygód.*

*Ta opowieść o psie jest wesoła, więc podczas lektury nie musisz się chować w swoim pokoju. Śmiało sięgnij po nią w warzywniaku, autobusie lub na ostatniej ławce podczas nudnej lekcji mnożenia. Oczywiście pod warunkiem, że jesteś dostatecznie uważny, żeby nie dać się przyłapać nauczycielowi. Gwarantuję, że jeśli z Twoich oczu pociekną łzy, to będą one efektem śmiechu i szczęścia. Takich łez nie trzeba się wstydzić.*

*Milej lektury!*



*Smutną prawdą dotyczącą rodzaju ludzkiego jest to, że osoby niebojące się odmienności uważa się na ogół za niespełna rozumy.*

Drake Horatio Pudding



**Część pierwsza**  
**Farma Puddingów**

# Rozdział 1

## Śniadanie u Puddingów

Gdy w wietrzny niedzielny poranek Homer Pudding niósł przez podwórko wiadro ze świeżym kozim mlekiem, nie wiedział, że wkrótce jego życie się odmieni.

I to bardzo.

O pewnych sprawach jednak wiedział. Na przykład zdawał sobie sprawę, że niebo tego dnia było błękitne niczym jaja kosa, a powietrze świeże jak zawsze na wiosnę. Homer był też przekonany, że jego obowiązki były nudne, nudne, nudne!

No bo jak bardzo emocjonujące może być sprzątanie po kozach? Zajmowało to większą część jego dwunastoletniego życia. Co gorsza z roku na rok lista zadań wydłużała się, zabierając mu czas, który wolałby poświęcić na coś innego. Właściwie to na jedną rzecz. Bardzo konkretną rzecz. I nie była to piłka nożna ani rower. Nie było to też pływanie, łowienie ryb ani budowanie fortów.

Gdyby Homer Winslow Pudding nie musiał sprzątać kozich kup, zmieniać siana i wyganiać tych upartych zwierząt z kwietnika, miałby znacznie więcej czasu na marzenia. Marzyłby o tym, że jest słynnym poszukiwaczem skarbów. Tak jak jego wujek!

– Na tej farmie nie tracimy czasu na marzenia! – powtarzał ojciec Homera. – Mamy zbyt wiele pracy!

Ale chłopiec i tak marzył.

Pani Pudding zamachała na niego z kuchennego okna. Najwyraźniej potrzebowała mleka do porannej kawy. Homer przyspieszył, wdeptując kaloszami w ziemię opadłe kwiaty wiśni. Kiedy potknął się o poskręcany korzeń, biała ciecz przefrunęła ponad brzegiem wiadra. Ciepłe kozie mleko błyskawicznie spłynęło mu po rękawie i zaczęło skapywać na ziemię, skąd zlizywały je mieszkające na farmie owczarki border collie.

– Ostrożnie! – zawołał tata, idąc wzdłuż podjazdu. Żwir chrupał pod jego ciężkimi butami. Pod pachą niósł najnowszą niedzielną gazetę. – Twoja matka będzie zawiedziona, jeśli nie dostanie mleka.

Homer o mały włos znów by się przewrócił, zaplątawszy się w wijące się cielska psów liżących ziemię.

– Idźcie stąd! – rozkazał i owczarki go posłuchały.

Największy z nich, Max, zaczął się nawet drapać. Próbował pozbyć się pchły, która zaczęła na jego karku swoje poranne harce. Podobnie jak inne psy Max miał swoje obowiązki. Dbał o kozy Puddingów. Pracował nawet w niedziele, kiedy psiaki z Miasta spały lub chodziły na pikniki. Niestety na farmie nie było czegoś takiego jak dzień wolny.

I właśnie w tym miejscu – na farmie Puddingów – zaczyna się nasza opowieść. Ładniejszego miejsca nie sposób sobie wyobrazić.

Gdybyś wdrapał się na szczyt jednej z rosnących w sadzie wiśni i rozejrzał dookoła, zobaczyłbyś wielką, uginającą się stodołę wyglądającą tak, jakby usiadł na niej jakiś olbrzym. Obok dostrzegłbyś niewielki dom zbudowany z kamieni wyciągniętych z rzeki oraz starą czerwoną ciężarówkę. Sięgając wzrokiem dalej, zauważyłbyś niekończącą się tapetę wzgórz wymalowanych różnymi odcieniami wiosennej zieleni. „Raj na Ziemi”, mówiła wiele razy mama. Homer miał na ten temat zupełnie inne zdanie. W niebie z pewnością nie było tak wielu rzeczy do naprawienia, posprzątania i przeniesienia.

Psy zostały na zewnątrz, a Homer i jego tata ściągnęli buty i weszli do kuchni. Rodzina Puddingów jadała śniadania razem, przy kuchennym stole. To było idealne miejsce, aby podzielić się najświeższymi wiadomościami i zadać ważne pytania w stylu: „Co będziecie robić dzisiaj w szkole?” lub „Kto dziś wieczorem chce się kąpać?”. No ewentualnie: „Co robi na stole ta martwa wiewiórka?”.

– Zamierzam ją wypchać.

– Gwendolyn Maybel Pudding! Ile razy mam ci przypominać, żebyś nie kładła martwych zwierząt na naszym kuchennym stole? – obruszył się tata i powiesił czapkę na haczyku.

– Nie wiem – mruknęła dziewczynka i poprawiła swoje długie brązowe włosy.

Homer postawił wiadro z mlekiem na blacie, a potem umył ręce w zlewie.

Jego mały braciszek zaczął szarpać go za nogawkę. Miał na imię Pip, lecz wszyscy wołali na niego po prostu Pisk.

– Cześć, Homer! – wydarł się.

Chłopiec spojrzał na jego piegowatą twarz i szeroko rozstawione oczy.

– Cześć, Pisk! – odpowiedział i pogłaskał brata po głowie.

Pisk był zbyt mały, żeby zrozumieć jego marzenia, ale uwielbiał słuchać opowieści o zatopionych skarbach pirackich oraz zaginionych cywilizacjach.

– Zdejmij tę wiewiórkę ze stołu – poprosił tata i również umył ręce.

Gwendolyn uniosła martwe zwierzę za ogon. Jego sztywne ciało zakołysało się niczym ramię zepsutego metronomu.

– Nie wiem, o co tyle krzyku.

– Krzyk jest o to, że zwierzę jest martwe. Jadam przy tym stole i nie chcę, żeby leżał na nim jakiś trup!

Gdy latem ubiegłego roku Gwendolyn ukończyła piętnaście lat, stała się jeszcze bardziej humorzasta. W rezultacie spory między nią a tatą urosły do rangi codziennej atrakcji. Dziewczyna potrafiła rechotać na całego, potem nagle rozplakać się i wreszcie zamilknąć. Zdaniem Homera miała sieczkę w głowie. Ale większość dziewczyn ją miała – oczywiście zdaniem Homera.

Chłopiec zajął swoje stałe miejsce na samym końcu sosnowego stołu. Liczył na to, że kłótnia nie potrwa zbyt długo. Chciał jak najszybciej odbębnić swoje obowiązki i wrócić do podziwiania mapy, która dotarła do niego dzień wcześniej, zapakowana w tekturową tubę z logiem Klubu Map Miesiąca (członkostwo w tym klubie było świątecznym prezentem od wujka Drake'a). Homer studiował ją do późnej nocy, ale jak każdy inteligentny poszukiwacz skarbów wiedział, że obejrzana nawet i tysiąc razy wciąż będzie skrywać tajemnice. Przykładowo mapę inkaskiej świątyni obejrzał osiemdziesiąt dwa razy, zanim odkrył przejście ukryte pod studnią.

– Doskonała robota – pochwalił go wówczas wujek Drake. – W twoim wieku nie zdołałbym go znaleźć. Jesteś urodzonym poszukiwaczem skarbów.

Nowa mapa musiała jednak zaczekać, ponieważ poranna kłótnia

dopiero nabierała tempa. Gwendolyn, trzymając wiewiórkę, ledwo wystawała zza stołu. Nie była oczywiście aż tak niska, po prostu niemal położyła się na krześle i wyglądała, jakby po nim spłynęła. Przez cały posiłek widać było jedynie czubek jej głowy.

– Jesz martwe zwierzęta i to przy tym stole. Nie widzę różnicy – powiedziała, spoglądając na ojca.

– Posłuchaj, Gwendolyn, jeśli zamierzasz dalej pyskować swojemu tacie, to przynajmniej poczekaj, aż skończymy – poprosiła mama. Stała przy piecu i mieszała owsiankę. – Spróbujmy zjeść to śniadanie jak normalna rodzina, bez awanturowania się.

– I bez martwych wiewiórek – dodał tata, zajmując miejsce u szczytu stołu. – I martwych żab oraz martwych myszy. Żadnych trupów po prostu.

– Ale ja muszę ćwiczyć! Jeśli teraz nie nauczę się wypychać zwierząt tak, aby wyglądały jak żywe, to nigdy nie zostanę Królewskim Wypychaczem w Muzeum Historii Naturalnej!

– Gwendolyn powiedziała „muszę” – wtrącił się Pisk, wdrapując się na krzesło tuż obok Homera. – To nieładnie!

Ojciec pokręcił głową. To był ten powolny ruch, który oznaczał, że bardzo się martwi.

– Królewski Wypychacz w Muzeum Historii Naturalnej? I to ma być praca dla ciebie? Daleko stąd, w Mieście pełnym zanieczyszczeń i hałasu? Z tą przestępczością i bezdomnością? To nie jest dobre miejsce dla Puddingów.

– Wujek Drake przeprowadził się do Miasta – stwierdziła Gwendolyn, potrząsając martwą wiewiórką dla podkreślenia wagi swoich słów. – I dobrze sobie tam radzi.

– Skąd ta pewność? – zapytał niezadowolony tata. – Nawet nie wiem, gdzie mieszka. Dostaliśmy od niego jedynie adres skrzynki pocztowej. Od czasu swojej ostatniej wizyty nie odezwał się do nas ani razu. Nie napisał nawet jednego listu. Ani pocztówki! Dlaczego więc sądzisz, że dobrze sobie radzi?

– Brak wiadomości jest dobrą wiadomością – stwierdziła mama i postawiła talerze z owsianką przed swoim mężem i Piskiem, a potem przed Gwendolyn. – Przestańcie się kłócić i zjedzcie śniadanie. A ty

odłóż tę wiewiórkę!

Gwendolyn tupnęła ze złością, a potem wsunęła martwe zwierzę pod krzesło.

Tata zaczął mieszać owsiankę tak intensywnie, że gorąca para uniosła się znad talerza i zatańczyła wokół jego brody.

– Mówiłem mu, żeby tam nie jechał. Miasto nie jest dobrym miejscem dla Puddingów. Tak właśnie mu powiedziałem. Ale on się uparł. Mówił, że ma tam ważne sprawy do załatwienia. Podobno musiał zbadać sprawę jakiegoś pirata, Śmierdziela czy jak mu tam...

– Rumpolda Smellera – poprawił go Homer nagle zainteresowany rozmową. – Książę Rumpold Smeller Estoński był sławnym piratem. Jego skarbu nigdy nie odnaleziono. Wujek chce być pierwszą osobą, która wpadnie na jego ślad.

Mężczyzna jęknął.

Gwendolyn wywróciła oczami.

– Jedz owsiankę, Homer – stwierdziła mama, stawiając przed nim talerz z gorącą potrawą.

Potem pogłaskała go po kręconych włosach.

Tata skinął na nią. Chociaż nachyliła się w jego stronę, a on szeptał jej do ucha, i tak wszyscy przy stole słyszeli, o czym rozmawiają.

– Dlaczego nalalaś mu tak dużo? Nie sądzisz, że zrobił się trochę... tłustawy?

Kobieta oparła ręce na biodrach.

– To dorastający chłopiec. Musi dużo jeść – oświadczyła i uśmiechnęła się słodko do Homera.

Pani Pudding jak każda dobra matka jednakowo kochała wszystkie swoje dzieci. Miłość tę jednak przejawiała na różne sposoby.

Na przykład wiedziała, że jej najstarsze dziecko jest bardzo samodzielne, dlatego zostawiała Gwendolyn sporo wolnej przestrzeni. Innymi słowy pozwalała jej być indywidualistką.

Wiedziała też, że jej najmłodsze dziecko chce być przydatne, dlatego zachęcała Piska do pomocy i często go chwaliła. Wiedziała również – i bardzo to ją bolało – że jej środkowe dziecko nie miało przyjaciół. Dlatego właśnie dawała Homerowi więcej jedzenia i częściej go całowała niż inne dzieciaki.

– Dorastający chłopiec! – Prychnął tata. – Jakim cudem ma znaleźć przyjaciół, jeśli nie biega tak szybko jak jego rówieśnicy? Jeśli gada wyłącznie o poszukiwaniu skarbów? To wina mojego brata. To on napchał mu do łba tych głupot!

„To nie są głupoty”, pomyślał Homer, pakując kolejną porcję owsianki do ust. Co z tego, że nie pasował do rówieśników? Ich interesowały tylko bójki i pakowanie się w kłopoty! Homer przysunął talerz bliżej. Co z tego, że był tłustawy? Prawdziwy łowca skarbów nigdy nie zrezygnuje z ciepłego śniadania. Przecież wielu śmiazków, umierając z głodu na bezludnej wyspie, jadło swoje palce stóp.

– Ja lubię skarby! – zawołał Pisk.

Owsianka spływała mu po brodzie.

– Ja też lubię skarby – przyznał Homer.

Tata zabębnił spracowanymi palcami w stół.

– Czy moglibyśmy zjeść chociaż jeden posiłek bez rozmawiania o skarbach i wypychaniu zwierząt? Nie mam pojęcia, gdzie popełniłem błąd w wychowaniu tych dzieci.

Mama naląła sobie filiżankę kawy i dodała łyżeczkę świeżego koziego mleka.

– Nie ma nic złego w tym, że mają pasje.

– Pasje? – Pan Pudding podrapał się po pomarszczonym karku. – Wypychanie zwierząt i poszukiwanie skarbów... to mają być pasje? Dlaczego nie mogą interesować się hodowlą kóz? Czy naprawdę o tak wiele proszę? Kto zajmie się farmą, kiedy będę już na to za stary?

– Ja! – zawołał Pisk. – Lubię kozy!

Chociaż zabrzmiało to uroczo, nie uspokoiło mężczyzny. Pisk miał dopiero pięć lat i dzień wcześniej przekonywał, że zostanie pogromcą smoków.

– Hodowanie kóz to dobra, uczciwa praca – stwierdził tata, wsypując do owsianki odrobinę brązowego cukru. – Wy, dzieci, nie rozumiecie znaczenia dobrej, uczciwej pracy.

Gwendolyn wywróciła oczami. Potem jeszcze bardziej spłynęła na krześle, aż jej pośladki zawisły w powietrzu.

Rozmowa zaczęła też nudzić Homera. Próbował wykopać łyżką dziurę w owsiance, ale ta wciąż znikiała. Przypominało to

poszukiwanie skarbów w błocie.

Oczywiście pan Pudding jak każdy dobry ojciec tak samo kochał wszystkie swoje dzieci. Jednak nie uważał, żeby zostawianie przestrzeni na bycie indywidualistką, chwalenie, serwowanie dokładek i całowanie mogło przynieść jakiegokolwiek dobre rezultaty. Uczciwa praca oznaczała uczciwe życie, a to z kolei gwarantowało dach nad głową, wygodne łóżko i jedzenie na stole. Czego jeszcze chcieć?

Mężczyzna odsunął pusty talerz na bok, po czym otworzył „Gazetę Miejską”.

– Nie zdziwiłbym się, gdybym za chwilę przeczytał, że mój brat został okradziony albo wpadł do studzienki kanalizacyjnej. Jestem przekonany, że przytrafi mu się coś okropnego. Miasto to paskudne miejsce.

Kiedy czytał, mrużąc coś pod nosem i potrząsając głową, dzieci skończyły śniadanie.

Gwendolyn włożyła swój talerz do zlewu, podobnie zresztą Homer.

– Mamo, czy gdy wyczyszczę zagrodę, będę mógł się pobawić moją nową mapą?

– Oczywiście! – Kobieta pocałowała syna w policzek. – Wierzę w ciebie, Homerze. Wiem, że pewnego dnia znajdziesz skarb – szepnęła mu do ucha.

Homer spojrzał w jej brązowe, błyszczące niczym złoto oczy. Przypominały mu monety zanurzone w piasku.

Kiedy już zostanie słynnym poszukiwaczem skarbów, odda jej całą znaną biżuterię, tak aby każdego dnia mogła nosić inny naszyjnik, a także kupować sobie nowe sukienki i buty. No i da jej jedną z tych cudownych koron, które mają królowe piękności.

Najpierw jednak obowiązki! Homer stał już w kuchennych drzwiach, kiedy nagle tata zamachał gazetą.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że przytrafi mu się coś złego! – zawołał.



## **Rozdział 2**

### **Przedwczesna śmierć wujka Drake'a**

Dłonie pana Puddinga trzęsły się tak bardzo, że upuścił gazetę.

– Strona trzecia – powiedział. – To jest na stronie trzeciej.

Mama odnalazła alarmujący artykuł i przeczytała go rodzinie na głos. Jego tekst zamieszczam poniżej. Być może będziesz musiał przeczytać go sześć czy siedem razy, żeby zawarta w nim groza dotarła do ciebie z odpowiednią mocą.

#### **SMAKOWITY KONIEC PEWNEGO WIEŚNIAKA**

Głośne okrzyki zakłóciły spokój osób przebywających wczoraj w miejskim parku. Niektórzy ze spacerowiczów stwierdzili później, że stali się mimowolnymi świadkami najstraszliwszego wydarzenia, jakie widzieli w życiu.

– To najstraszliwsze wydarzenie, jakie widziałem w życiu! – oświadczył pan Portly, właściciel sklepu Musztardy Pana Portly. – Spacerowałem właśnie po parku, kiedy zobaczyłem to monstrum. Przypominało olbrzymiego żółwia lądowego z dwiema nogami wystającymi z pyska.

– Tak naprawdę to był żółw wodny – wyjaśnił dozorca parku, Morton Bun. – Żółw wodny i żółw lądowy to zupełnie co innego.

Na podstawie śladów zastanych na miejscu zdarzenia miejska policja ustaliła, co następuje: „Mężczyzna, niejaki Drake Pudding z Mlecznej Doliny, zawisł na poręczy, próbując nakarmić mieszkające w parku słynne żółwie wodne. W sposób ewidentny zignorował tabliczkę z napisem »Nie karmić żółwi«. W końcu jedno ze zwierząt go zaatakowało”.

– Nie wierzyłam własnym oczom – dodała pani Portly. – Bestia po prostu go połknęła. Z jej pyska wystawały tylko jego nogi.

– Próbowałem go wyciągnąć, ale udało mi się jedynie

uratować jego buty – dodał jej mąż.

Mieszkające w parku żółwie są lokalną chlubą od pięćdziesięciu lat.

– Zazwyczaj tylko spacerują i jedzą sałatę – dodał Bun. – Czasami daję im marchewkę lub kalafior, ale najbardziej lubią sałatę. To zaskakujące, że jeden z nich zasmakował w mięsie.

Przybyły na miejsce weterynarz próbował zmusić żółwia do zwymiotowania ofiary, jednak zwierzę odmówiło współpracy. Po prostu zasnęło.

– Zajęło się trawieniem – wyjaśnił Bun.

Władze planują usunąć z parku żółwia ludożercę.

– Przez wszystkie te lata, jakie przepracowałem tu jako dozorca, nikt jeszcze nie został pożarty – skomentował Bun.

– Sami widzicie, co się dzieje, kiedy wieśniacy zjeżdżają do Miasta!

Mama odłożyła gazetę na stół. W kuchni zapadła głucha cisza.

Homer przestał nawet oddychać. Stał oszołomiony, patrząc, jak potężna łza spływa po policzku jego ojca.

– Mówiłem mu, żeby tam nie jechał – szepnął pan Pudding.

Jego żona płacząc, próbowała go uspokoić. Nawet Pisk zaczął wyc, mimo że oczywiście nie rozumiał, co się stało.

Gwendolyn sięgnęła po gazetę. Przez chwilę patrzyła na artykuł.

– Ale to nie ma sensu. Żółwie nie jedzą ludzi. To nieprawda.

– Oczywiście, że to prawda – powiedział tata i wytarł nos rękawem.

– Przecież piszą o tym w gazecie.

– Biedny, biedny Drake – dodała mama. – To był przecież taki miły człowiek!

Smutek jej męża zamienił się nagle we wściekłość.

– To był marzyciel! Przez cały czas gonił za rzeczami nieistniejącymi. Sami widzicie, dokąd go to doprowadziło – oświadczył, po czym odwrócił swoją czerwoną twarz w stronę syna. – Rozumiesz, Homer? Tak właśnie kończą ludzie, którzy marnują swoje życie na poszukiwanie skarbów. Gdyby został tutaj, na farmie, gdzie

jego miejsce, nic złego by mu się nie stało. Sam widzisz!

Ale Homer nie widział.

Kuchnia rozmazała mu się przed oczami. Potem ustąpiła miejsca ciemności, bulgotaniu i mlaskaniu niczym w żołądku żółwia wodnego. Chłopiec wycofał się w kąt. A więc wujek Drake nie żył. NIE ŻYŁ! Koniec z letnimi wieczorami spędzonymi na rozmawianiu o egipskich grobowcach i babilońskich świątyniach. Koniec z wycieczkami do sklepu z mapami i koniec grzebania w zakurzonych pudłach. Koniec z pierścieniami dekodującymi, wykrywaczami metalu i tytanowymi łopatami kryjącymi się pod choinką! Załamany Homer zsunął się po ścianie i usiadł na zimnej kuchennej podłodze. „Dlaczego? – rozpaczał w myślach. – Dlaczego, dlaczego, dlaczego?”.

– To olbrzymi szok – powiedziała mama i pomogła mężowi podejść do schodów. – Powinieneś się teraz położyć. Zaparzę ci herbatę.

– Nie chcę słyszeć o żadnych skarbach – oświadczył tata.

– Tak, kochanie.

– W tej rodzinie nie będzie już poszukiwaczy skarbów. Nie pozwolę na to. To zbyt niebezpieczne!

– Tak, tak, kochanie. Idź się położyć. Gwendolyn i Pisk zajmą się kurami i kozami.

Tego dnia ojciec nie dokończył swoich porannych obowiązków. Nikt nie pamiętał, kiedy ostatnio mu się to przydarzyło. Wdrapał się po schodach do sypialni, marudząc przy każdym kroku.

– Mamo! – odezwała się Gwendolyn. – Coś tu nie gra. Żółwie nie jedzą ludzi. Wiem o tym, bo w przewodniku po Muzeum Historii Naturalnej widziałam zdjęcie wypchanego żółwia. Obok napisano, że te zwierzęta jedzą rośliny wodne oraz robaki.

– Później o tym porozmawiamy – powiedziała pani Pudding.

Zdjęła z haczyka kurtkę Piska i podała go córce.

– Idźcie nakarmić kurczaki, a potem zagnajcie kozy na pastwisko. Aha, i nie spuszczaaj oka z młodszego brata.

Kiedy drzwi się zamknęły, pani Pudding uklękła obok Homera. Ze wszystkich osób, których dotknęła śmierć Drake'a Puddinga, jej środkowe dziecko wydawało się cierpieć najbardziej.

– Wiem – szepnęła, przytulając go do piersi. – Wiem, wiem, wiem!

– powtórzyła niczym echo. – Całym sercem kochałeś wujka. A on kochał cię najmocniej ze wszystkich dzieciaków.

No bo kochał. Wszyscy o tym wiedzieli.

Homer nie przypominał tego wysokiego, wysportowanego mężczyzny. Nie był też twardym traperem ani urodzonym ryzykantem. Mimo to właśnie w nim wujek Drake dostrzegł pokrewną duszę. Marzyciela, który od świata prawdziwego wolał ten pełen mitów i tajemnic.

Załamany ukrył twarz w fartuchu mamy.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego musiał umrzeć?

Kobieta uściśnęła go jeszcze mocniej.

– Nie wiem, kochanie. Chciałabym wiedzieć. Chciałabym też to zmienić, ale nie mogę. Przez jakiś czas wszyscy będziemy smutni. I to przez dość długi czas.

W tym samym momencie ktoś załomotał w kuchenne drzwi.

## Rozdział 3

### Nieoczekiwana przesyłka

Pani Pudding otworzyła drzwi. Na ganku stał krępy mężczyzna w szarym garniturze w paski. Zdjął czarny kapelusz, odsłaniając błyszczącą, starannie ogoloną głowę.

– Dzień dobry. Nazywam się Twaddle. Mam przesyłkę dla państwa Puddingów. Pani Pudding, jak mniemam?

– Tak. Co to za przesyłka?

– To wyjaśni wszystko, proszę pani.

Z poważną miną wręczył jej białą kopertę.

Pani Pudding wyciągnęła z jej wnętrza list. Czytała go na tyle głośno, aby Homer mógł wszystko dokładnie słyszeć.

*Droży państwo Pudding!*

*Kancelaria prawna Snooty i Snooty z przykrością informuje, że Państwa krewny, Pan Drake Pudding, został uznany za martwego wskutek ataku apetytu u pewnego krwiożerczego gada. Jesteście Państwo jedynymi spadkobiercami zmarłego. Tym samym jego doczesny majątek zostanie Państwu przekazany w niedzielę przed południem.*

*Z szacunkiem*

*T. Snooty i C. Snooty  
prawnicy*

– Proszę bardzo – powiedział pan Twaddle i podał jej parę brązowych półbutów.

Homer podszedł do drzwi. Jego matka sięgnęła po buty.

– Co to? – zapytała.

– Doczesny majątek Drake’a Puddinga.

– Para butów?

– Tak. Zostały zdjęte z jego nóg na chwilę przed tym, jak... – Mężczyzna skrzywił się. – No cóż, w każdym razie to jedyna rzecz,

jaką pozostawił po sobie – dodał, po czym założył kapelusz i wyciągnął notes. – Gdyby była pani tak miła i podpisała się na tej przerywanej linii, mógłbym już pójść. Jestem dość zajęтым człowiekiem. Poza tym wydaje mi się, że w tej smutnej chwili przyda się państwu odrobina prywatności – dodał i stuknął obcasami swoich dwukolorowych butów.

– Czy jest pan pewien, że mój szwagier zostawił nam jedynie parę butów? A co z jego ubraniami albo meblami? Co z rowerem i naczyniami?

– Co z mapami i książkami? – zapytał Homer.

Stał tuż obok matki i czuł charakterystyczny zapach skóry butów wuja.

– Z przykrością informuję, że zmarły nie pozostawił po sobie nawet swojego ciała. Tylko te buty. – Pan Twaddle wyciągnął z kieszeni marynarki błyszczące pióro wieczne. – Mam inne sprawy, które muszę załatwić w imieniu kancelarii Snooty i Snooty. Tak więc gdyby mogła pani się podpisać...

Homer z trudem powstrzymał łzy, gdy echo poniosło w głąb kuchni słowa: „Nie pozostawił po sobie nawet swojego ciała”. Potem spojrział na półbuty. Nie miały sznurowadeł ani stabilizatorów, nie mówiąc o wkładce zabezpieczającej stopę. To zdecydowanie nie były buty, które założyłby jego wujek, gdyby wybierał się na poszukiwanie skarbów. Najwyraźniej poszedł do parku na spacer. Któż by przypuszczał, że tak straszliwy wypadek wydarzy się podczas zwykłej przechadzki?

Kiedy mama potwierdziła odbiór butów, pan Twaddle schował notes i pióro.

– Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje – powiedział i uklonił się sztywno. – Miłego dnia życzę! – dodał i wrócił do czarnego sedana stojącego na podjeździe przed domem.

Max, Gus i Lulu krążyły już wokół samochodu i wachały go z uwagą.

– Sio! – zawołał pan Twaddle. Max stanął przy tylnych drzwiach i zaczął drapać w nie pazurami. – Sio! – Max drapał jeszcze mocniej. – Szanowna pani, czy byłaby pani tak łaskawa i zawołała swoje psy?

– Max, Gus, Lulu. Chodźcie tutaj! – zawołała mama, jednak psy jej nie posłuchały. – To dziwne – stwierdziła. – Max! Gus! Lulu! Co się z wami dzieje? Co widzicie w tym samochodzie?

Nieoczekiwanie pan Twaddle potarł notesem o swoje prążkowane spodnie.

– Tak się spieszę, że niemal zapomniałem – przyznał, po czym wrócił na ganek. – Proszę przyjąć moje przeprosiny. Mam jeszcze drugi list – stwierdził i wyciągnął kopertę z kieszeni. – Adresowany do Homera W. Puddinga.

– Homera?

– Tak. Mieszka tu ktoś taki?

Chłopiec niepewnie wysunął się do przodu. Miał duszę na ramieniu.

– To ja jestem Homer – powiedział i odgarnął loki z oczu.

Rzeczywiście, na białej kopercie znajdowało się jego imię.

– Śmiało, przeczytaj list – zachęciła go mama.

Drżącymi rękami otworzył kopertę i zaczął głośno czytać.

*Szanowny Panie Homerze W. Puddingu!*

*Kancelaria prawna Snooty i Snooty z przykrością informuje, że pański zmarły wuj Drake pozostawił Panu przedmiot, który określił mianem swojego „najcenniejszego skarbu”. Zgodnie z prawem spadkowym ma Pan prawo odmówić przyjęcia go i oddać w ciągu pięciu dni do naszego biura, gdzie trafi do depozytu.*

*Po upływie pięciu dni będziemy zmuszeni odmówić przyjęcia przedmiotu.*

*Jeśli zdecyduje się Pan go zachować, stanie się Pan odpowiedzialny za wszystkie kłopoty, jakich będzie on przyczyną. Gdyby wskutek tego został wniesiony przeciwko Panu jakiegokolwiek pozew, będziemy szczęśliwi, mogąc zaproponować Panu pełne wsparcie prawne w promocyjnej cenie.*

*Z szacunkiem*

*T. Snooty i C. Snooty*

*prawnicy*

Pani Pudding uśmiechnęła się z rezerwą.

– Och, Homer, prawda, że to miłe ze strony wujka? Zostawił ci... przedmiot.

Chłopiec pokiwał głową.

Czy chodziło o sprzęt do wyszukiwania złota? A może noktowizor lub żyroskop z echolokacją? To musiało być coś, co zawsze będzie mu przypominać o wujku. Homer spojrział z nadzieją w szare, lekko zezowate oczy pana Twaddle'a.

– Jest pan pewny, że zrozumiał zastrzeżenie dotyczące zwrotu przedmiotu w ciągu pięciu dni? – zapytał mężczyzna. – Nie przyjmujemy go, jeśli postanowi pan zwrócić go szóstego dnia, bez względu na to, jak bardzo będzie pan prosił czy nawet błagał.

– Prosił lub nawet błagał? – zapytała mama, załamując ręce. – Dlaczego mielibyśmy prosić lub nawet błagać?

– Och, bez powodu. Zupełnie bez powodu – odpowiedział posłaniec i znacząco zakaszłał. – A zatem proszę tu podpisać, a ja odjadę. Mam też inne sprawy do załatwienia, jak już wspomniałem – dodał.

Podał notes i pióro Homerowi.

Chłopiec we wskazanym miejscu napisał swoje pełne imię i nazwisko, Homer Winslow Pudding.

– Świetnie. Teraz pójdę po pański przedmiot.

Max, Gus i Lulu biegały dookoła samochodu, merdając ogonami i poszczekując.

– Sio! – zawołał pan Twaddle, zbliżając się do czarnego pojazdu.

Po chwili otworzył drzwi od strony pasażera.

Homer i pani Pudding wychylili się z ganku, próbując zobaczyć, co takiego skrywa się w tym ciemnym wnętrzu samochodu.

Ku ich zaskoczeniu z ciemnego wnętrza samochodu obserwowała ich para oczu.

– No chodź! – powiedział mężczyzna i wyciągnął rękę. – Chodź! – dodał i szarpnął, po czym szarpnął kolejny raz. – No dalej, chodź!

Szarpał jeszcze przez chwilę, aż w końcu się cofnął.

Z ciemności wyłonił się długi nos przyczepiony do



najsmutniejszego pyska, jaki Homer kiedykolwiek widział.

## Rozdział 4

### Pies o obwisłych uszach

W pierwszych słowach tej książki obiecałam, że to nie będzie smutna opowieść o psie. Natomiast nie obiecywałam, że nie będzie to opowieść o psie wyglądającym na smutnego. To przecież zupełnie co innego!

W każdym razie kiedy pies wydostał się z samochodu, stanął nieruchomo i zaczął patrzeć w ziemię.

– Co mu dolega? – zapytała kobieta, kiedy razem z Homerem wyszła na podwórko.

Pies nie przypominał zwierząt mieszkających na farmie. Miał zdecydowanie zbyt krótkie łapki, zbyt długie, brązowo-białe cielsko oraz skórę co najmniej kilka rozmiarów za dużą. Para brązowych uszu zwisała aż do ziemi niczym ciężkie zasłony, para brązowych oczu ginęła zaś pod nabrzmałymi powiekami. Homer nigdy czegoś takiego nie widział.

Jego mama przez chwilę szukała właściwego słowa.

– Dlaczego ten pies jest taki... taki... obwisły? – zapytała w końcu.

– Macie pięć dni na zwrot – powtórzył pan Twaddle, zamykając drzwi od strony pasażera. Potem spojrział na zwierzę. – Najcenniejszy skarb – stwierdził z pogardą w głosie. – Chyba nigdy nie zrozumiem, dlaczego ludzie robią tyle zamieszania wokół swoich kundli. No cóż, do zobaczenia – dodał, dotykając swojego kapelusza, po czym obiegnął samochód, wskoczył za kierownicę i odjechał.

Pies nie ruszył się z miejsca.

– Urrr! – warknął.

I tyle. Miał niski, burczący głos. Mieszkające na farmie psy starannie go obwąchały, on jednak nie poruszył nosem. Nawet nie machnął ogonem. Psy trąciły go kontrolnie, a potem – uznawszy, że to najnudniejsze zwierzę na świecie – powędrowały na pole, żeby sprawdzić, jak mają się owce.

– Urrr! – warknął pies, a jego obwisłe policzki poruszyły się.

Homer też miał ochotę zawarczeć. Gigantyczny żółw pożarł jego

wujka. Została po nim jedynie para butów oraz dziwaczny pies. Jeśli jakiegokolwiek wydarzenie zasługiwało na warczenie, to właśnie to wydarzenie. Wydarzenie, które wydawało się nie mieć sensu. Co by się stało, gdyby warczenie zamieniło się w płacz? Chłopiec uniósł list na wysokość twarzy. Nagle przypomniał sobie, że jego wujek nigdy nie płakał. Drake był najdzielniejszym człowiekiem, jakiego Homer kiedykolwiek spotkał.

Gwendolyn i Pisk wybiegli ze stodoły.

– Czyj to pies? – zapytała dziewczynka, ściskając koszyk z kurzymi jajami.

– To pies twojego brata – wyjaśniła pani Pudding. – Wujek Drake mu go podarował.

Pisk uklęknął i poklepał futrzaka po szerokiej głowie.

– Dlaczego on jest taki smutny? – zaciekawiał się.

– To basset – wyjaśniła jego siostra. – W przewodniku po Muzeum Historii Naturalnej cały rozdział poświęcono rasom psów. Bassety zawsze wydają się smutne.

Pisk wyciągnął się na ziemi i zajrzał psu pod brzuch.

– To chłopiec! – oświadczył. – Zupełnie jak ja.

– Hej, dlaczego właściwie Homer dostał psa? – odezwała się nagle Gwendolyn. – I co ja dostałam?

Mama pogroziła jej palcem.

– Gwendolyn Maybel Pudding! Właśnie umarł twój wujek! To nie jest najlepszy moment, żeby się zastanawiać, co kto dostał. A teraz idź i schowaj te jajka do lodówki!

Dziewczynka zmrużyła oczy tak, że przypominały małe minusiki.

– Dobrze, ale nie zamierzam karmić tego psa ani też kąpać go tylko dlatego, że Homer bez przerwy ślęczy nad tymi swoimi głupimi mapami. Też jestem zajęta. Mam wiewiórkę do wypchania! – stwierdziła i ruszyła dumnie w stronę domu, a przy każdym kroku jej włosy falowały.

Homer, wciąż walcząc z łzami, przytulił list do twarzy. „Nie płacz, nie płacz”, powtarzał sobie.

– Nie widziałam, że Drake ma psa – przyznała mama. – No ale cóż, robił ze swojego życia wielką tajemnicę. Twój tata z całą pewnością

nie będzie zadowolony. Nie potrzebujemy tu kolejnego psa. Opowiem mu o wszystkim, kiedy się obudzi. Do tego czasu postaraj się, żeby pies nie narobił żadnych szkód! – Powiedziawszy to, wyciągnęła list z rąk Homera, a potem pocałowała go w czoło. – To miłe, że Drake podarował ci swój najcenniejszy skarb, prawda?

Homer kiwnął głową.

Mama złapała najmłodszego synka za rękę.

– Chodź ze mną, Pisk. Przyda mi się pomoc przy sprzątanu stołu po śniadaniu. A ty jesteś przecież znakomitym pomocnikiem.

Powietrze stało w bezruchu. Po porannej bryzie nie było już śladu – odleciała zapewne, żeby polaskotać drzewa rosnące na okolicznych farmach. Wiosenne słońce ogrzewało twarz Homera. Chłopiec stał na podjeździe z dziwnym psem u swoich stóp. W końcu zwierzę spojrzało na niego.

Półkoliste powieki, czerwone i wilgotne, zwisały pod jego smutnymi oczami. Nagle pies skrzył swoje długie ciało tak, że tylne krótkie nóżki znalazły się tuż przy jego uchu. Później się podrapał. A potem znów zaczął wyglądać smutno.

Choć Homer stał na znanym sobie podwórku, nagle poczuł się zagubiony. Sięgnął po kompas Galileusza, który zawsze nosił na szyi. Dostał go od wujka na święta. Z tyłu urządzenia znajdowało się jedno z ulubionych powiedzonek Drake'a: „Tylko ciekawi mają czego szukać!”.

Homer ścisnął kompas w dłoni.

– Wujek Drake nie żyje – szepnął drżącymi ustami.

Oczy natychmiast zaszyły mu mgłą. Nie był w stanie dłużej walczyć z bólem. Usiadł na żwirze i zaczął płakać. Kolejne spazmy rzucały nim niczym trzęsienie ziemi. Z tego wszystkiego rozbolała go szczęka, a do nosa napłynęły gluty.

– Wujek Drake nie żyje...

– Urrr!

Na drugim końcu podjazdu przemknęły dzieci na rowerach. Z siatkami przerzuconymi przez ramiona pędziły nad Staw Żabiego Skrzeku. Homer otarł nos rękawem. Żadne z nich nie zawołało go ani

nawet nie zamachało do niego. Żaden z kumpli z klasy nie zaprosił go na polowanie na kijanki. Używając łagodnych słów, uważali go za dziwaka. Gdyby zorientowali się, że płacze, pewnie do końca życia by mu to wypominali. Jednak nie zauważyli go. Po chwili ich rowery zniknęły za zakrętem Uśmiechniętej Kozy, bo tak właśnie nazywała się ulica.

Pies przestał się gapić na Homera i zaczął intensywnie wpatrywać się w ziemię. Chłopiec przysunął się, żeby zobaczyć, czemu się przygląda. Czarny żuk przedzierał się pomiędzy okruchami żwiru, spiesząc się gdzieś w ten ciepły, wiosenny poranek. Pies otworzył pysk. Żuk zamachał krótkimi, czarnymi nóżkami. Czuł na sobie długi psi język. Po chwili futrzak przełknął go w całości. Tak po prostu. Homer skrzywił się. Zastanawiał się, czy żuk wciąż machał nogami, kiedy sunął do jego żołądka.

Potem pies podszedł do wiśni i zaczął jeść kwiatki, które spadły na ziemię. „Musi umierać z głodu”, pomyślał Homer. Miski Maksa, Gusa i Lulu stały w stodole tuż obok korytek kur i kóz. Homer wstał i otrzepał spodnie ze żwiru.

– Chodź! – zawołał. – Nakarmię cię!

Ale pies wyciągnął się pod wiśnią i zaczął żuć patyk.

Po co wujkowi był taki dziwny pies? Pies poszukiwacza skarbów powinien być na tyle szybki, żeby móc umknąć złodziejom. Łapy tego zwierzęcia wyglądały, jakby ktoś obciął je na wysokości kolan i przyczepił do nich zbyt duże stopy. Pies poszukiwacza skarbów powinien być na tyle silny, żeby ciągnąć sanki ze sprzętem. Ten pies był na to za gruby. Co najważniejsze, pies poszukiwacza skarbów powinien być na tyle mądry, aby poradzić sobie w nietypowej sytuacji. Ten pies żuł patyki.

Homer wzruszył ramionami, po czym usiadł obok zwierzęcia. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, nie miał najmniejszej ochoty wbiec po schodach i pogapić się na mapy. Nie miał ochoty ich oglądać, rozszyfrowywać ani nawet marzyć o podróżach. Czuł się zmęczony. Ciężyła mu każda część ciała. Pochylił się i oparł o pień drzewa, a potem westchnął.

– Urrr! – Pies wyciągnął się na kolanie Homera, zapiszczał

i spojrzął w jego załzawione oczy.

Chociaż noga chłopca przygnieciona ciężkim ciałem zwierzęcia szybko zaczęła drętwieć, nawet nie zaprotestował. Myśl, że obaj kochali wujka Drake'a, przyniosła mu ulgę. Przecież mogli się smucić razem!

W końcu Homer poklepał psa po boku.

– Jak właściwie masz na imię? – zapytał.

Zwierzę przechyliło łeb.

Chłopiec przesunął dłoń na jego kark, po czym wsunął palce pomiędzy fałdy skóry w miejscu, gdzie powinna się znajdować obroża. Namacał ją i przesuwał rękę aż do chwili, gdy trafił na nieśmiertelnik. Pochylił się, żeby lepiej widzieć. To nie był zwykły kawałek metalu, jaki nosiły Max, Gus czy Lulu. Przypominał złotą monetę. Miała niewielki otwór pośrodku, przez który przewleczono zapięcie. Homer odpiął je i wystawił monetę ku słońcu. Z jednej strony zobaczył skrzynię ze skarbami. Z drugiej widać było cztery litery oddzielone kropkami.

L.O.S.T.

– Czy tak właśnie się wabisz? Nazywasz się Lost? – zapytał, jednak pies nie zamerdał ogonem, co zazwyczaj robią psy, gdy słyszą swoje imię.

Homer zepchnął go z kolana i odszedł parę kroków.

– No dalej, Lost. Chodź tutaj, Lost! – zawołał, ale pies nie zwrócił na niego uwagi.

Wrócił natomiast do żucia patyka.

Homer znów spojrzął na monetę. Najwyraźniej pomylił się. Pies nie nazywał się Lost. Nieśmiertelników nie wykonywało się ze złota, a imion nie pisało z kropkami po każdej literze.

Co więc oznaczało to L.O.S.T.? I dlaczego wujek przyczepił tę monetę do obroży? Pośród smutków i zawodów tego poranka Homer wreszcie dojrzał niewielką iskierkę nadziei. Wujek zostawił mu coś więcej niż parę butów i smutnego psa.

Drake Horatio Pudding zostawił Homerowi zagadkę do rozwiązania!

## Rozdział 5

### Upiorne wycie

W niedzielną noc w stodole rozległo się mrozące krew w żyłach wycie. Było to wycie w rodzaju tych, które rozdierają uszy i powodują ból głowy. Mieszkające na farmie zwierzęta błyskawicznie wpadły w panikę – kury zniosły nieświeże jaja, osioł dostał biegunki, a mleko kóz skwaśniało. Jedynie Max, Gus i Lulu dołączyły do tego koncertu. Miały to w naturze. Przecież kiedy obok ciebie ktoś ziewnie, ty również zaczynasz ziewać, prawda?

Źródłem tego wycia był oczywiście nowy pies. Noc spędzał zamknięty w stodole, gdyż właśnie tam spały psy mieszkające na farmie Puddingów.

– Homer! – zawołała Gwendolyn, wyrywając Homerowi z rąk książkę. – Ucisz tego psa. Tak się wydziera, że nie mogę spać, a jutro mam wygłosić referat poświęcony żabom.

– Co?

Chłopiec siedział na parapecie w szlafroku oprószonym kawałkami ciastka owsianego. Czytał książkę o starych monetach, którą wujek podarował mu na dziesiąte urodziny. Wciąż myślał o zagadkowym krążku z obroży. Dzięki temu nie zastanawiał się, jak to jest być zjedzonym przez bestię (nie była to rzecz, o której przyjemnie się myślało).

Gwendolyn rzuciła książkę w ką.

– Nie słyszysz? – zapytała, otwierając okno. Donośne wycie momentalnie wypełniło pokój. – To twój głupi pies. Zrób coś.

– Mój pies?

– Co się z tobą dzieje, Homer? Spałeś czy co? Tak, twój pies. Pies, którego dziś dostałeś. Dziwny pies od wujka Drake’a.

– Ach, no tak.

Homer wciąż nie przyzwyczyił się do tego, że ma psa. Przewiązał mocniej szlafrok i wyjrzał przez okno. Potem uśmiechnął się. Pan Twaddle sądził, że „najcenniejszym skarbem” z listu był pies, tymczasem w rzeczywistości była nim tajemnicza złota moneta.

Gdyby została mu wysłana w liście lub paczce, pierwszy lepszy złodziej mógłby się na nią poślakomić. Ukrycie jej pod zwałami skóry tego obwisłego psa stanowiło kolejny genialny manewr wujka. Zwierzę okazało się idealnym posłańcem. Tyle że teraz ten posłaniec wył.

Mama wpadła do pokoju Homera. Dół jej koszuli nocnej ciągnął się po ziemi.

– Och, kochanie, ale on hałasuje! Zrób coś z tym psem, zanim obudzi twojego ojca.

Drzemka taty trwała cały dzień i przeciągnęła się aż do nocy. Czasami człowiek, który walczy z olbrzymim smutkiem, potrzebuje miejsca, żeby się ukryć. Także sen potrafi być takim miejscem.

– Idź do tej stodoły, Homer!

Chłopiec zsunął się z parapetu.

– Ale co mogę zrobić, żeby przestał wyć?

– Do diabła, Homer, przestań zachowywać się jak tępak! – wrzasnęła Gwendolyn.

– Nie jestem tępakiem – odpowiedział, drapiąc się po uchu. – Po prostu mam sporo na głowie.

– Ty masz sporo na głowie? – Dziewczynka uniosła rękę. – A jutro wygłaszam referat! Jakim cudem mam dostać szóstkę, skoro będę niewyspana?

Homer nie rozmawiał z nikim na temat starszych sióstr, ale był przekonany, że Gwendolyn należy do tych najgorszych na świecie. Zawsze się rządziła i zawsze go wyzywała. Chłopiec był jednak przekonany, że gdy znajdzie wreszcie skarb, dziewczyna zmieni śpiewkę. „Ten gigantyczny rubin jest dla mnie? Och, Homer, jesteś najlepszym braciszkiem na świecie!”.

– Idź tam i zajmij się nim chociaż przez chwilę – powiedziała mama, poprawiając podomkę. – On pewnie się boi. W końcu jest w nowym, nieznanym miejscu!

Chłopiec zszedł po schodach. Stał przy frontowych drzwiach i wsunął kalosze na gołe stopy. Sięgnął po latarkę i ruszył przez podwórko. Wysoko nad farmą świecił księżyc. Była pełnia.

Homerowi nie podobał się ten nocny spacer. Dzięki



zainteresowaniom siostry doskonale wiedział, jakie drapieżniki mogą się czaić w pobliżu. Gwendolyn miała w swojej kolekcji wypchanego lisa, szopa i oposa, które zostały zabite przez psy. Każde z tych zwierząt miało nieprzyjemne, ostre zęby. Czasami nawet dziewczynka używała szopa jako dziurkacz do papieru.

Chłopiec omiół latarką podwórko. Gdzieś za wzgórzem pies sąsiada zaczął wyc – najwyraźniej kojoty wyszły już na żer. Poruszały się w stadach. Tata ich nie cierpiał, bo pożarły mu już kilka kóz. Nic dziwnego, że Homer poczuł przemożną chęć wzięcia nóg za pas. Ale co pomyślałby wujek Drake? Zawodowy poszukiwacz skarbów nie boi się ciemności, ponieważ często musi przeczesywać jaskinie, tunele i grobowce. Zresztą noc to idealna pora na szukanie skarbów! „Poszukiwacz skarbów musi zacierać ślady, a noc stanowi idealną osłonę”, powiedział kiedyś wujek.

Okropne wycie nowego psa znów przecięło nocną ciszę. Homer pomyślał o tacie, który pewnie próbował spać. Ruszył więc dalej i po chwili otworzył drzwi stodoły. Max, Gus i Lulu niemal go przewróciły, merdając czarnymi ogonami i liżąc go z pasją po rękach. W budynku panował chaos. Zwierzęta gdakały, tupały, meczały, próbując uwolnić się od tego potwornego dźwięku.

Homer wycelował snop latarki w tylną część stodoły. Nowy pies stał na swoim posłaniu. Łeb odchylił do tyłu, pozwalając, żeby fagle mu drżały.

– Haaauuuuuuu!

– Hej, ty! – zawołał Homer. – Przestań wyc, bo Gwendolyn się wścieknie!

Pies zamilkł, kury się uspokoiły i w stodole zapanowała cisza.

Banał! Najwyraźniej futrzak zdążył się już zorientować, że lepiej nie denerwować Gwendolyn.

– No dobra, to cześć!

Chłopiec odwrócił się.

– Haaauuuuuuu!

Pozostałe psy również zaczęły wyc, a kury szaleć.

– Lepiej się uspokójcie – ostrzegł Homer.

Nowy pies zamilkł i w stodole po raz kolejny zapanowała cisza. Po

chwili zwierzak wygrzebał się ze swojego pośłania i podszedł do Homera.

– Dobry pies! – pochwalił go chłopiec i pochylił się, żeby pogłaskać go po zmarszczonym czole. – Wkrótce przyzwyczaisz się do tego miejsca. Wiem, że trochę tu śmierdzi, ale nie jest jeszcze tak źle. A teraz wracaj do swojego legowiska.

Pies nie wrócił do swojego legowiska. Zamiast tego minął Homera i podreptał w stronę drzwi.

– Hej, dokąd idziesz? Hej... Ty! – Jak on się właściwie nazywa? – Hej, Rover! Kropek? Reksio? Chodź tutaj... Kiler!

Pies zupełnie się nim nie przejmował. Im bardziej Homer go wołał i im jaśniej starał się mu wytłumaczyć, że psy Puddingów śpią w stodole, tym szybciej zwierzak wędrował przed siebie. Przeszedł przez całe podwórko, nurzając swoje białe łapy w pokrytej rosą trawie.

W końcu chłopiec zamknął resztę psów w stodole i ruszył w pogoń za nowym.

– Zaczekaj! Masz spać w stodole!

Futrzak zatrzymał się na ganku i zaczął swoim czarnym nosem wąchać ziemię. Potem położył się i przetoczył na plecy. Zachowywał się tak jak inne psy na widok świeżego, koziego łajna. „Cudownie – pomyślał Homer. – Teraz trzeba będzie cię wykąpać”.

– Przestań! – rozkazał.

Pies nie przestał się tarzać i ocierać o ziemię, jednak poruszył zadem i... zamachał ogonem!

– No już. Wracamy!

Gdy Homer wyciągnął rękę, żeby złapać go za obrozę, pies odwrócił się i zaczął kopać dół.

– Uch! – jęknął chłopiec, osłaniając twarz ręką, bo piach leciał prosto na niego. – Nie wolno ci tu kopać. Tuż obok jest ganek!

Sam, szukając skarbów, wykopał już wiele dziur i ojciec wściekał się za każdym razem, gdy w nie wpadał. W efekcie kopanie dołów na farmie zostało surowo zakazane.

Chłopiec cofnął się, gdyż kolejne zwały ziemi zsuwały się po jego szlafroku.

Zresztą pies wpadł w amok. Kopał tak szybko, że Homer musiał się odwrócić. „Będę miał spore kłopoty”, pomyślał.

– Dość!

Kopanie ustało.

– Urrr!

Pies upuścił coś na kalosz Homera. Chłopiec skierował na to coś promień latarki, po czym powoli podniósł. Stracił przyczepioną dżdżownicę i przyjrzał się urządzeniu.

To coś okazało się pierścieniem dekodującym, który wujek Drake podarował mu na ósme urodziny. Pierścień był zbyt duży jak na palec ośmiolatka, dlatego zsunął się z niego i jeszcze tego samego dnia przepadł bez śladu.

– Nieźle – powiedział Homer wyraźnie zadowolony z odzyskania zguby.

Co prawda miał już profesjonalny pierścień dekodujący kupiony za pieniądze z kieszonkowego, jednak ten miał specjalny schowek na gumę do żucia.

Szybko zakopał dziurę w ziemi. Chciał się przekonać, czy urządzenie wciąż działa.

– Pewnie będziesz wciąż wyć, jeśli zamknę cię w stodole, co? – zapytał psa. – Może więc ten jeden raz śpij na ganku...

Zaprowadził zwierzę na ganek i zamknął drzwi. Potem poklepał matę leżącą na podłodze.

– Tu będziesz spać, dobrze?

Pies usiadł we wskazanym miejscu i spojrzał na Homera swoimi wilgotnymi oczami.

– Później wrócę i sprawdzę, jak się masz.

Potem wbiegł po schodach, usiadł przy biurku i starannie wyczyścił pierścień paskiem od szlafroka. Niestety jego tarcza zardzewiała i nie chciała się ruszyć. Choć urządzenie nie działało, Homer cieszył się, że je odzyskał. To kolejna rzecz, która będzie mu przypominać o wujku Drake'u!

Wyciągnął się na krześle i rozejrzał po pokoju. Przypięte pinezkami mapy wisiały na wszystkich ścianach i suficie, wypełniając wolną przestrzeń co do centymetra. Chłopiec powiesił ich tak dużo, jak się

dało – resztę starannie zrolował i pochował do pudełek. Najnowsza mapa wciąż leżała na stole, zachęcając go do podziwiania wijących się kamiennych przejść i stromych złotych schodów. Zapraszała go w podróż w tajemnicze czasy, kiedy dżunglą rządzą prawdziwi wojownicy, a nieszczęśników składano w ofierze bogom. Wojownicy należeli oczywiście do przeszłości, ale Homer wiedział, że pewnego dnia odwiedzi dżunglę i poszuka ich dziedzictwa. Na razie jednak mieszkał w Mlecznej Dolinie.

Ziewnął i potarł oczy. Jutro znów musiał iść do szkoły. Oczywiście nie zamierzał nikomu mówić o złotej monecie. Podejrzewał nawet, że Wilbur lub któryś z jego koleś próbowałiby mu ją ukraść. Podniósł się z krzesła, żeby wyłączyć światło.

– Urrr!

Nowy pies otworzył drzwi wejściowe i wszedł za Homerem po schodach. Teraz stał tuż przy jego łóżku.

– Co ty tu robisz? – zapytał chłopiec. – Nie możesz tu spać. Tata ci nie pozwoli – powiedział i wskazał korytarz. – Musisz wrócić na dół.

Pies odchylił łeb do tyłu.

– Hau...

– Ciii!

– Hau...

Homer zacisnął dłonie na jego pysku.

– Dobrze, dobrze. Możesz tu spać. Tylko bądź cicho! – stwierdził i przeniósł psa na łóżko.

Zbiegł po schodach na dół i zamknął drzwi wejściowe, po czym wrócił na górę i zamknął swój pokój. Na swojej kołdrze dostrzegł ślady psich łap.

Nowy pies przysporzył mu nowych kłopotów. Co gorsza położył się na jego jedynej poduszce i zamknął ślepią.

– Hej, to moje! – zawołał Homer i szarpnął za nią.

Bardzo chciał ją odzyskać.

Futrzak otworzył jedno oko.

– Grrr!

– No dobrze! – Chłopiec zdjął szlafrok i zwinął go w kulkę. Wsunął ją sobie pod głowę, po czym nakrył się kołdrą. – Przesuń się! –

poprosił. Bez rezultatu. Próbował przepchnąć psa na bok, ale miał wrażenie, że zмага się z potężnym głazem. – Jak mam tu spać, kiedy zajmujesz całe łóżko?

Tymczasem zwierzę zaczęło chrapać. Z jego obwisłych warg spłynęła odrobina śliny.

– Będę musiał obudzić się wcześniej i wyprowadzić cię na zewnątrz, zanim tata cię zobaczy – zdecydował i przesunął poduszkę z szlafroka tak, aby pies jej nie zaślinił.

Kiedy poczuł na swojej twarzy potężną łapę, po prostu się odwrócił. Jeszcze nie wiedział, czy opiekowanie się psem mu się podobało. Ale zwierzę odnalazło pierścień dekodujący, więc jedną noc mógł się przemęczyć.

Wkrótce okazało się, że chrapanie ma taki sam wpływ na Homera jak ziewanie. Chłopiec zasnął, zanim zdążył się przejąć sytuacją, w której się znalazł.

**Część druga**  
**Mleczna Dolina**

## Rozdział 6

### Do szkoły

Co to jest?! – wydarł się tata.

Ponieważ pies miał zwyczaj przebierać łapami, gdy śniły mu się króliki, Homer zaraz po przebudzeniu wylądował na podłodze. Co się stało? Dlaczego rano nadszedł tak szybko? I dlaczego rodzice są w jego pokoju?

Mężczyzna chrząknął.

– Pytałem, CO TO JEST?!

– To jest pies, kochanie! – Mama pomogła Homerowi wstać.

– Wiem, że to pies. Nie mam problemów ze wzrokiem. Chcę jednak wiedzieć, do kogo należy.

– Należał do twojego brata, a teraz należy do Homera.

– Mój brat miał psa? Nie mówił, że ma psa! – Tata poprawił szelki kombinezonu. – To nie jest border collie. Na tej farmie trzymamy wyłącznie border collie.

Mama podała Homerowi ubrania, po czym ostrożnie wypchnęła go na korytarz.

– Spóźnisz się do szkoły, kochanie. Przebierz się szybko.

Chłopiec poszedł z ubraniami do łazienki.

Kiedy spojrzął w lustro, jego umysł jeszcze spał. Na swojej twarzy dostrzegł odcisk szlafroka zwiniętego w kulkę. Dlaczego tak późno poszedł spać?

– Ten pies jest brzydki – powiedział żonie pan Pudding. Minęli łazienkę i zaczęli schodzić na dół. – Na tych krótkich nóżkach z pewnością nie zdoła upilnować stada.

– Może nauczymy go czegoś innego? – zasugerowała jego żona.

– Ale czego? Przynoszenia mi pantofli? Pisk znakomicie sprawdza się w tej roli. Po co więc nam taki pies?

Głos mamy zniknął gdzieś na dole.

„Po co?”. Homer przypomniał sobie złotą monetę. Tylko co z nią zrobił?

Szybko założył koszulę, wsunął nogi w nogawki spodni i pobiegł do

swojego pokoju. Z ulgą znalazł ją na parapecie.

Kiedy przyjrzał się bliżej, wspomnienia poprzedniego dnia wróciły. A więc jego ukochany wujek nie żył, a najcenniejszą rzeczą, jaką po sobie pozostawił, było to właśnie świecidełko. Drake podarował ją właśnie jemu, swojemu dwunastoletniemu bratankowi!

– Zajmę się nią – szepnął Homer.

Po solidnym, ale dość szybkim śniadaniu składającym się z naleśników z borówkami oraz jogurtu z koziego mleka Homer dołączył do siostry stojącej na ganku, gdzie codziennie rano żegnali się z rodzicami. Mama sprawdziła, czy wzięli drugie śniadanie, podręczniki i inne niezbędne rzeczy.

– Masz żaby? – zapytała córkę.

– Tak! – Gwendolyn wyciągnęła z kieszeni dwa wypchane płazy. – I notatki też. Tak na wszelki wypadek, gdybym o czymś zapomniała.

– Na pewno sobie poradzisz – dodała jej otuchy mama i pogładziła ją po włosach. – Jesteśmy dumni z twoich zainteresowań.

Niespodziewanie tata pojawił się na ganku. Był wyraźnie niezadowolony.

– Ten pies wciąż leży w łóżku Homera! Po co mojemu bratu było takie leniwe zwierzę? Powinien kupić sobie owczarka! Zostałby z nim tutaj, na farmie, i tu by też pracował. Żyłby do dziś. Słyszeliście, dzieci? Hodowanie kóz to jedyne właściwe zajęcie dla Puddingów!

Potem pogłaskał dzieci po głowach.

– Bądźcie grzeczni! – poprosił, zawołał psy i skreślił w stronę pola.

Gwendolyn ruszyła przed siebie. Mama podała Homerowi koszyk z drugim śniadaniem.

– Zapakowałam ci dodatkowe ciasteczko, bo wiem, że jest ci przykro – powiedziała. – Chciałabym ci jakoś poprawić humor... Dlatego wybierzemy się w weekend do domu handlowego Walkera po jakieś nowe ubrania – oznajmiła radośnie.

Promienie porannego słońca przeglądały się w jej złotych oczach.

Homer zmusił się do uśmiechu. Jakim cudem nowe ubrania miały poprawić mu humor? Nie ma nic bardziej krępującego niż przymierzanie bokserów i dżinsów w dziale dla otyłych chłopców.

– I nie martw się – dodała mama. – Pisk i ja zaopiekujemy się



twoim psem. No dobrze, pospiesz się. Goń za siostrą.

– Pa, pa, Homer – zawołał Pisk.

Stał w pizamie i trzymał mamę za rękę. Nie mógł się doczekać dnia, kiedy też pójdzie do szkoły.

Na polu kozy leniwie żuły delikatne źdźbła wiosennej trawy. Obserwowały Homera i Gwendolyn, którzy maszerowali właśnie ulicą Uśmiechniętej Kozy.

– Mam gdzieś, ile razy to powtórzy. Z całą pewnością nie będę hodowała kóz. Nawet za milion lat! – denerwowała się dziewczynka. Poranny wiaterek poruszał jej grzywkę, co jakiś czas odsłaniając czoło pomarszczone wskutek wielu lat intensywnego myślenia. – Jestem zbyt inteligentna, żeby całymi dniami babrać się w kozich kupach. Kiedy dostanę wreszcie tę pracę w Muzeum Historii Naturalnej, nigdy już nie dotknę koziego jogurtu. Nie będę go jadła nawet wtedy, gdy pojawi się w muzealnej kafeterii. Nie spojrzę też na żadną kozę, chyba że będzie martwa i wypchana.

Homer nie słuchał jej, bo czytał książkę o monetach. Do szkoły zawsze szedł z wzrokiem wbitym w książkę lub mapę. Czytanie podczas marszu wymagało od niego sporych umiejętności. Jeśli uważasz, że to proste, spróbuj. No śmiało! Prawdopodobnie wpadniesz w jakąś dziurę, staniesz na grabiach lub spadniesz ze skarpy. Tymczasem Homer mógł w ten sposób dojść wszędzie. Przedarłby się przez najtrudniejszy teren, nie odnosząc przy tym najmniejszej kontuzji – zupełnie jakby jego butom wyrosły oczy.

Ponieważ przerzucał kartki, szukając informacji o monecie ze skrzynią skarbów po jednej stronie i literkami L.O.S.T. po drugiej, nie zauważył rosnących tuż przy drodze dzwoneczków oraz żywopłotu z kwitnących bzów. Nie dostrzegł również samotnej chmury, która pojawiła się nad jego głową.

– Jakaś dziwna ta chmura – stwierdziła Gwendolyn.

Homer nie interesował się chmurami.

Musiał jeszcze przejrzeć sześćdziesiąt cztery strony. Wujek zadbał o to, żeby moneta dotarła do niego bez przeszkód, dlatego czuł się odpowiedzialny... to znaczy miał obowiązek... nie, honor, żeby rozwiązać tę zagadkę.

– Przestań mruczeć pod nosem, Homer. Idzie Carlotta. Nie chcę się za ciebie wstydzić.

Chłopiec uniósł wzrok znad książki.

Carlotta Crescent szła od strony domu. Miała tyle lat co Gwendolyn i zawsze razem szły do szkoły. Tym razem towarzyszyły jej dwa psy border collie.

– Cześć, Gwendolyn! Cześć, Homer! – zawołała.

– Cześć, Carlotta! – odpowiedziała Gwendolyn.

Carlotta poklepała zwierzaki na pożegnanie i kazała im wracać. Miała na sobie prostą, żółtą sukienkę, która przypominała Homerowi obrus piknikowy. Kiedy uśmiechnęła się do niego, poczuł, że ciężą mu nogi. Uważał Carlottę za najpiękniejszą w całej szkole i nigdy nie wiedział, jak się przy niej zachowywać. Dziewczynka sięgnęła po koszyk ze śniadaniem i zaczęła iść obok przyjaciółki.

– Homer! – zawołała Gwendolyn. – Nie stój jak kołek! Znowu się spóźnisz!

Chłopiec przyspieszył. Próbował je dogonić. Torba z książkami obijała się o jego udo.

– Zeszłej nocy urodziły się nam szczeniaki – stwierdziła Carlotta.

Ani Homer, ani Gwendolyn nie zapytali, jakiej były rasy. Ich koleżanka mieszkała przecież na Farmie Crescentów. Jej rodzice hodowali border collie, podobnie jak inne rodziny w Mlecznej Dolinie.

– Moje border collie są najlepszymi psami pasterskimi w okolicy – mawiał pan Crescent.

Na swoim podjeździe umieścił nawet specjalną tabliczkę:

### **KOZIA FARMA CRESCENTÓW**

**Hodowla czempionów border collie, które zdobyły Błękitną  
Wstążkę na pięciu lokalnych imprezach targowych.**

– To jego prywatna opinia – stwierdził tata, gdy przybijał podobną tabliczkę na swoim podjeździe.

## **KOZIA FARMA PUDDINGÓW**

### **Hodowla czempionów border collie, które zdobyły Błękitną Wstążkę na czterech lokalnych imprezach targowych.**

– Homer ma nowego psa – oświadczyła Gwendolyn. – Jest naprawdę paskudny.

– Och, tak mi przykro.

Carlotta zatrzymała się i odwróciła, jakby chciała zadać mu pytanie, więc znów przyspieszył i po prostu ją minął. Nie chciał być niegrzeczny, ale rozmowa z tą dziewczyną przypominała mu grype żołądkową – w obu przypadkach zaczynał boleć go żołądek.

Trzymając książkę o monetach tuż przed nosem, skręcił w aleję Kiełkową, wąską, piaszczystą drogę obsadzoną brzoza. Przeszedł przez most nad Mlecznym Potokiem, minął dom kupiecki i sklepik z paszami. Potem zostawił za sobą Kasę Pożyczkowo-Oszczędnościową w Mlecznej Dolinie oraz kawiarnię, aż wreszcie nogi doniosły go do szkoły. Dokładniej rzecz biorąc, do szatni, gdzie – westchnąwszy – zamknął książkę. Na razie nie znalazł tego, czego szukał. Nie zamierzał się jednak poddawać. Z uwagi na szkolny regulamin odłożył tom na specjalną półkę.

#### **REGULAMIN SZKOŁY**

1. Zabłocone buty należy zostawić w szatni.
2. Gumy, jedzenie i napoje należy zostawić w szatni.
3. Mapy Homera oraz inne przedmioty służące do „szukania skarbów” należy zostawić w szatni.
4. Martwe zwierzęta należy zostawić w szatni.

Kiedy Gwendolyn dotarła do szkoły, wyjęła z torby martwą wiewiórkę i położyła na tej samej półce. Carlotta zdjęła żółty sweterek i powiesiła go na haczyku. Homer upewnił się, że ma przy sobie kompas Galileusza, po czym powlókł się za siostrą do klasy.

– Znalazłeś już jakieś skarby? – zapytał Wilbur, gdy go zobaczył.

Pytał o to niemal codziennie, za każdym razem tym samym, bardzo

nieprzyjemnym tonem.

Dawniej Homer odpowiadał na to pytanie. Kiedy był mały, wyjaśniał innym dzieciakom, że zamierza pomóc swojemu wujkowi w odnalezieniu zaginionego skarbu pirata Rumpolda Smellera. Dzieciaki zawsze się jednak śmiały i to w nieprzyjemny sposób. Śmiały się również wtedy, gdy przyłapały go na kopaniu dziur w ziemi lub przeczesywaniu pól za pomocą wykrywacza metalu.

– Nic nigdy nie znajdziesz! – mówiły.

To samo tego ranka powiedział Wilbur.

– Nic nigdy nie znajdziesz!

Homer zacisnął zęby. Nic jeszcze nie znalazł, bo – podobnie jak inne dzieciaki – nie mógł wsiąść do samolotu i polecieć do takich miejsc jak Egipt, Trójkątem Bermudzki czy Przeklęta Wyspa. A tak przecież podchodzili do sprawy zawodowi poszukiwacze skarbów. Homer nie mógł nawet wybrać się sam do Miasta.

– Lepiej sięgnij po kompas, bo nie trafisz do swojego biurka – dodał Earl i dźgnął go w udo ołówkiem.

Chłopiec ominął chichoczące dzieciaki i zajął swoje miejsce. Wyjął książkę do angielskiego i zasłonił się nią. Po chwili rozległ się dzwonek i wszyscy się uspokoili.

– Homer i Gwendolyn, przykro mi z powodu waszego wujka – powiedziała nauczycielka, pani Peepgrass. Pani Peepgrass uczyła wszystkie roczniki w Mlecznej Dolinie, bo w całej szkole było zaledwie dwudziestu jeden uczniów. – Gwendolyn, czy z powodu tej tragedii chcesz wygłosić swój referat kiedy indziej?

– Jestem przygotowana! – Dziewczynka wyszła na środek klasy i wyciągnęła wypchane żaby z kieszeni.

Nauczycielka zastukała palcami w biurko.

– Gwendolyn, znasz chyba regulamin...

– Potrzebuję ich do referatu.

– Mówiłam ci już wielokrotnie, że nie pozwalam na przynoszenie martwych zwierząt na zajęcia. To niehigieniczne. Wszędzie roznosisz bakterie.

Gwendolyn zmarszczyła czoło do tego stopnia, że zamieniło się w jedną wielką zmarszczkę.

– Przed wypchaniem tych żab starannie je wymyłam. Założę się, że więcej bakterii jest w pani nosie.

Pani Peepgrass błyskawicznie zasłoniła nos.

– Gwendolyn Maybel Pudding, czy mam zadzwonić do twojej mamy?

– Proszę bardzo, niech pani dzwoni. Mama jest dumna z moich zainteresowań!

Nauczycielka ruszyła w jej stronę, żeby odebrać jej żaby, lecz dziewczynka uciekła i schowała się między ławkami. Klasa zaczęła się śmiać. Homer podparł brodę ręką. Czuł, że poranek będzie naprawdę długi. Gwendolyn nie należała przecież do osób, które łatwo się poddają. Potarł miejsce, w które Earl dźgnął go ołówkiem. Bolało. Pewnie będzie mu głupio, gdy lokalne muzeum zostanie nazwane Muzeum Skarbów Homera Winslowa Puddinga. Chłopiec postawił książkę od angielskiego na sztorc, po czym wsunął rękę do kieszeni. Znow poczuł w dłoni złotą monetę.

Nagle jakiś cień przemknął przez jego biurko.

Słońce, które jeszcze przed chwilą wpadało przez okna, nagle znikło. Homer zerknął znad książki. Za środkowym oknem wisiała niewielka chmura. Znajdowała się znacznie niżej, niż powinna. Chłopiec przyjrzał się jej uważnie.

Coś znajdującego się wewnątrz chmury przyjrzało się Homerowi.

## Rozdział 7

### Dziwna chmura

W baśni chmura z oczami nie zrobiłaby na nikim wrażenia. A nawet gdyby wydała się komuś podejrzana, to ten ktoś mógłby przeczytać rozdział po raz kolejny i jeszcze następny, aż wreszcie zrozumiałby przyczynę jej istnienia. Być może nawet na końcu tomu znalazłby słowniczek z wyjaśnieniem tego fenomenu:

*Chmura z oczami – daleka kuzynka Drzewa z uszami.*

W rzeczywistym świecie chmury z oczami nie istniały. Nawet Homer, który wierzył w wiele nieistniejących z pozoru rzeczy, takich jak Atlantyda czy Camelot króla Artura, na jej widok po prostu zdębiał. Na szczęście jako doświadczony poszukiwacz skarbów wiedział, że powinien zaufać instynktowi. A instynkt mu podpowiadał, że oczy go nie myliły.

Ostrożnie podszedł do okna, żeby lepiej przyjrzeć się dziwnemu zjawisku. Pani Peepgrass przestała biegać za Gwendolyn.

– Homerze Pudding, co ty właściwie wyrabiasz? Dlaczego gapisz się w okno?

– Uch, tam jest taka dziwna chmura.

Nauczycielka położyła rękę na brzuchu, próbując złapać oddech.

– Przysięgam, że wy, Puddingowie, wpędzicie mnie kiedyś do grobu. Homer, to nie jest dobra chwila na opowiadanie o chmurach. Gwendolyn, odłóż te martwe żaby na bok i zacznij wygłaszać swój referat.

– No dobrze!

Dziewczynka odniosła żaby do szatni i położyła je na półce, a potem wróciła do sali. Stała pod tablicą i splotła ręce na piersiach. Homer nie ruszył się spod okna.

Chmura przysunęła się. Oczy mrugnęły do niego. Wyglądały normalnie, dokładnie tak samo jak te na twarzach ludzi. Kiedy Homer

przechylił głowę, chmura również się przechyliła. Kiedy przechylił głowę w drugą stronę, chmura wykonała ten sam ruch. Była najbardziej przerażającym zjawiskiem, jakie chłopiec kiedykolwiek widział.

– Homer! – wrzasnęła pani Peepgrass.

– Homer! – Tupnęła nogą Gwendolyn.

Chłopiec nie chciał być nieuprzejmy. Jednak nie wiedział, że jego siostra spędziła dziesięć godzin przed lustrem, przygotowując się do wystąpienia. Nie wiedział również, że tego ranka zmieniała ubrania czterokrotnie i jakieś sto razy przeczesała włosy, żeby wydawały się nadzwyczaj gładkie. Natomiast z całą pewnością wiedział, że chmura miała oczy i gapiła się na niego.

– Ta chmura ma oczy i gapi się na mnie – powiedział na tyle głośno, żeby cała klasa go usłyszała.

Oczywiście pozałował swoich słów w chwili, gdy opuściły jego usta. Bo kiedy słowa opuszczają czyjeś usta, nie mogą już do nich wrócić. Stają się częścią historii. Ktoś, kto odkryje, w jaki sposób je cofnąć, zostanie bardzo bogatą osobą.

Wszyscy uczniowie zerwali się z miejsc i podbiegli do okna.

– Która to chmura? – zapytała Carlotta.

Stanąła tak blisko Homera, że wyraźnie czuł zapach jej błyszcząca o smaku gumy do żucia.

– Nie widzę żadnej chmury – stwierdziła Beatrice.

– Bo nie ma żadnej chmury – wyjaśnił Melvin. – Homer kłamał.

Chmura rzeczywiście zniknęła. Homer położył się na parapecie i zadarł głowę do góry. Spojrzał w niebo. Jak to możliwe, że chmura tak szybko zniknęła? Czyżby wyparowała? I czy te oczy też wyparowały?

Earl uderzył Homera w ramię.

– Może po prostu się zgubiła? Powinieneś pożyczyć jej swój kompas!

Pani Peepgrass klasnęła trzy razy.

– Wracajcie na miejsca. A ty, Homer, właściwie gdzie się wybierasz?

– Idę na dwór. Muszę sprawdzić...

– Nie czas na głupie gierki. Wracaj na swoje miejsce, młody człowieku.

– Homer! – Gwendolyn zacisnęła dłonie i zrobiła się cała czerwona. – Przestań się tak zachowywać! Rujnujesz moje wystąpienie.

Chłopiec wrócił do swojej ławki. Nie chciał zrujnować wystąpienia siostry, ale nie mógł też zapomnieć o tych dziwnych, nienaturalnych oczach, które jeszcze przed chwilą na niego patrzyły. Może po prostu zjadł na śniadanie zbyt wiele naleśników? Jego żołądek mógł teraz trawić tak potężną porcję, że mózg ze zmęczenia zaczął płatać figle.

Homer usiadł na swoim miejscu i zasłonił twarz książką do angielskiego.

Kiedy Gwendolyn wyjaśniała, jak wyglądają żaby od środka, chłopiec chował się przed spojrzeniami pozostałych uczniów. Cudownie, mieli jeszcze jeden powód, żeby się z niego nabijać! Próbował zapomnieć o tym i zaczął czytać rozdział o równoważnikach zdań. Ale nuda. Co swoją drogą też było równoważnikiem zdania.

Kiedy lekcje się skończyły, Homer zaczekał, aż wszyscy pójdą. Zabrał z półki książkę o monetach i wyszedł na podwórko. Miękkie światło słoneczne sączyło się zza wielkiego dębu. Gwendolyn i Carlotta zdążyły już minąć sklepik z paszami, nie było też innych dzieciaków, które mogłyby mu dokuczać. Spora grupa wybrała się do sklepu po najtańsze cukierki. Homer spojrział w niebo i ku swojemu zadowoleniu zauważył wyłącznie normalne chmury. Miał nadzieję, że siostra nie wspomni o tym rodzicom. Mama z pewnością by się zaniepokoiła i wysłała go do okulisty na badanie wzroku.

Chłopiec upewnił się, że moneta wciąż znajduje się w jego kieszeni. Potem utkwiał nos w książce i powrócił do poszukiwań. Kiedy dotarł do domu, był już na ostatniej stronie, a mimo to pochodzenie krążka pozostawało dla niego tajemnicą. Wujek Drake z pewnością poprosiłby go, żeby się nie zniechęcał. „Nie ma tajemnic, których nie dałoby się odkryć. Czasami tylko te odkrycia są tajemnicze”.

Homer postanowił, że następnego dnia wybierze się do najbliższej biblioteki i przejrzy znajdujące się tam książki o monetach. Być może pan Silverstein, bibliotekarz z Mlecznej Doliny, zamówi dla niego



z Miasta jakieś dodatkowe pozycje. Na razie więc wsunął tom pod pachę i zajrzał do skrzynki na listy.

Kiedy dzieciaki Puddingów wracały ze szkoły, od razu brały się do roboty. Farma nie mogłaby funkcjonować, gdyby nie pracowali na niej wszyscy członkowie rodziny. Jeśli mieszkasz w mieście, masz zupełnie inne obowiązki niż osoba żyjąca na prowincji. Pewnie zamiatasz winę, zbierasz śmieci leżące na chodniku albo przynosisz odźwiernemu filiżankę kawy. Jeśli twoja rodzina ma dużo pieniędzy, to być może nawet nie wiesz, co oznacza słowo „obowiązki”. Farciarz!

Pierwszym obowiązkiem Homera było odebranie poczty. Tego dnia w skrzynce znajdowało się kilka listów, a także katalog sprzętu rolniczego oraz najnowsze wydanie „Świata Kóz”. Na jego okładce widniało zdjęcie dwóch border collie. „Zobacz najlepsze border collie z koziej farmy Crescentów”. Uch! Och! Tacie to się nie spodoba!

– On jest chory! – zawołał Pisk, biegnąc wzdłuż podjazdu. Spod jego butów sypał się żwir. – On jest chory. Naprawdę chory! – dodał, po czym złapał brata za rękę i zaczął ciągnąć ze wszystkich sił.

– Kto jest chory? – zapytał Homer.

– Pies. Jest naprawdę chory.

– Pies?

Pies zadarł swój pysk usmarowany błotem i spojrzał na Homera.

– Ten nowy. Nazwałem go Pies.

– Pies wujka Drake’a jest chory?

– Nie, Homer. Twój Pies jest chory. No chodź!

## Rozdział 8

### Farbowany napój mleczny

Biała ciężarówka doktor Huckle stała tuż obok tej czerwonej, należącej do pana Puddinga. Doktor była jedynym weterynarzem w Mlecznej Dolinie i specjalizowała się w chorobach kóz. A ponieważ każda rodzina w okolicy miała kozy, biała ciężarówka każdego dnia przemierzała olbrzymie przestrzenie dzielące poszczególne farmy.

– Tam! – powiedział Pisk i pociągnął Homera za rękę.

Doktor Huckle klęczała przy białym płocie. Obok niej na boku leżał Pies i ciężko oddychał. Pozostałe psy zgromadziły się wokół, podobnie jak mama i tata Homera oraz jego siostra. Nawet kozy wsunęły łby między sztachety, żeby lepiej widzieć, co takiego dzieje się na podwórku. Doktor Huckle uniosła ucho Psa i zajrzała do środka, przyświecając sobie niewielką latareczką.

– Jest pan pewny, że on wypił farbę? – zapytała.

Pan Pudding wsunął ręce do kieszeni kombinezonu.

– Widziałem to na własne oczy. Przygotowywałem się do malowania płotu. Poszedłem do stodoły po pędzel. Kiedy z niej wyrząłem, trzymał łeb w wiadrze i głośno mlaskał.

Znajdująca się na nosie zwierzęcia biała plama farby zdążyła już wyschnąć. Biały język wystawał z pyska.

Futrzak pisnął, gdy zaburczało mu w brzuchu. Homer przypomniał sobie, że kiedyś podczas targu zjadł pięć hot dogów w cieście kukurydzianym. W nocy jego żołądek spuchł jak piłka do kosza i wydawał odgłosy niczym burza z piorunami. Biedny Pies!

Chłopiec zaczął się bawić listami. Zastanawiał się, co może zrobić. Przecież to był jego pies. W końcu ukląkł i pogłaskał go po łbie.

– Czy on wyzdrowieje? – zapytał.

– To zależy – odpowiedziała doktor Huckle i wsunęła zwierzęciu latarkę do pyska. – Czy jadł jeszcze coś, czego nie powinien jeść?

– Zjadł patyk i żuka – stwierdził chłopiec.

– Patyk i żuka? – Kobieta potarła się po karku. – Jaki pies jada patyki i żuki?

– I jeszcze kwiatki wiśni – dodał Homer.  
– To bardzo dziwne! – Doktor wyciągnęła z czarnej torby stetoskop.  
– Bardzo dziwne! – powtórzyła.  
– Jestem pewna, że nic mu nie będzie – powiedziała mama i pocałowała chłopca w czoło. – Nie martw się. Po prostu jest trochę zagubiony. W końcu znalazł się w nowym miejscu.  
Doktor Huckle przyłożyła słuchawkę stetoskopu do brzucha Psa.  
– Czy on umrze? – zapytał Pisk.  
– Nie umrze – obiecała pani Pudding i wzięła malucha za rękę. Potem nachyliła się nad weterynarz: – Nie umrze, prawda?  
– Czy zdrowy na umyśle pies piłby białą farbę? – zapytał tata. – Myślę, że to zwierzę ma nie po kolei w głowie.  
– Farba wyglądała jak mleko – zauważyła jego żona. – Może sądził, że to mleko.  
Mężczyzna pokręcił głową.  
– Ten pies musiałby mieć coś nie tak z głową, gdyby pomylił farbę z mlekiem. Nie mogłem go przekonać, żeby pomógł nam pilnować stada. Niemal cały dzień przespał.  
– Bassety nie są psami pasterskimi – zauważyła pani doktor. – Potrafią za to wyczuć królika z odległości kilkunastu kilometrów.  
– Ale my nie polujemy na króliki – zauważył tata.  
– Urrr!  
Pies zamknął oczy, a jego tylne nogi zeszywniały.  
– Czy on umarł? – zawołał Pisk i ścisnął weterynarz za ramię.  
– Nie, wciąż żyje – uspokoiła go. – Zmierzę mu jeszcze temperaturę.  
Homer skrzywił się. Biedny Pies!  
Kiedy doktor Huckle sięgała po termometr, Pisk niechcący przewrócił jej torbę. Wypadła z niej niewielka szklana buteleczka i uderzyła o kamień. Rozbiła się. W powietrzu zaczął się unosić nieprzyjemny, cierpki zapach. Max, Gus i Lulu skuliły ogony pod siebie i wzięły nogi za pas. Puddingowie cofnęli się, podobnie kozy.  
– Co za smród! – stwierdziła Gwendolyn.  
– To roztwór amoniaku – uspokoiła ją weterynarz i zaczęła się wachlować rękami. – Nie ma się czym przejmować – dodała, po czym

wyraźnie zaskoczona potarła się po brodzie. – Hm, to dziwne. Wasz nowy pies nie zareagował.

Rzeczywiście, podczas gdy wszyscy członkowie rodziny Puddingów starannie zatkali nosy, Pies nawet się nie ruszył.

– Zastanawiam się... – powiedziała pani Huckle i wyjęła z torby bawełnianą szmatkę, umoczyła ją w cuchnącym płynie i podsunęła Psu pod nos.

Nie poruszył się. Nawet nie mrugnął. Wciąż ciężko oddychał.

– To niesamowite – stwierdziła kobieta. – Podejrzewam, że ten basset nic nie czuje.

– Nic nie czuje? – zapytali rodzice.

Doktor kiwnęła głową.

– To wyjaśnia, dlaczego jadł tak dziwne rzeczy. Stracił węch, więc nie wiedział, co tak naprawdę je.

Tata splótł ręce na piersiach.

– Mówiłem, że coś jest nie tak z tym psem. Wiedziałem o tym od chwili, gdy go zobaczyłem. Cały mój brat! Przygarnął bezużytecznego psa!

– Może on wcale nie jest taki bezużyteczny? – zapytał Homer z nadzieją w głosie.

– To dla niego spore nieszczęście – stwierdziła weterynarz. – Węch to najważniejszy zmysł, jakim dysponują psy. Przecież witają się, obwąchując się wzajemnie, a zapachami znaczą terytorium. Dzięki swoim nosom wybierają sobie towarzyszy, polują, pilnują owiec czy tropią. Ten biedaczek nigdy już nie będzie taki jak inne psy. Jest po prostu niepełnosprawny – dodała, po czym zebrała wszystkie narzędzia i schowała do czarnej torby. – Nie sądzę, żeby dało się to wyleczyć. Zwierzę potrzebuje stałej opieki. Przede wszystkim nie można go zostawiać samego. Trzeba go bez przerwy pilnować.

– Co? – fuknął tata. – Nie mamy czasu, żeby opiekować się takim zwierzęciem.

– Więc proponuję znaleźć mu nowy dom, na przykład miłą staruszkę, która nie ma nic do roboty. Bez należytej opieki pies z pewnością połknie coś trującego i kto wie, może nawet umrze.

– Ja nie będę się nim opiekować – stwierdziła Gwendolyn. – Jestem

zbyt zajęta.

– Ja się nim zaopiekuję! – wtrącił Pisk.

Mama go przytuliła.

– To bardzo miłe z twojej strony, kochanie, ale to pies Homera. On się nim zaopiekuje.

– Homer? – Zdziwiła się Gwendolyn. – Jakim cudem miałby się kimś opiekować? Przecież on poza swoimi mapami świata nie widzi.

– Ja też kiedyś nie potrafiłam zajmować się dziećmi. Do czasu, aż urodziłam własne – zauważyła mama. – Jakoś sobie poradziłam i jestem pewna, że Homer również sobie poradzi – dodała i zwichrzyła mu włosy. – Pani doktor, może wejdźmy do środka, przygotuję lemoniadę. Właśnie wyjęłam z piekarnika ciasteczka z melasą.

– Postaraj się, żeby pies pił dużo wody – poprosiła pani doktor Homera. – Rano powinien poczuć się lepiej.

– Najpierw weź kosz na śmieci i sprzątnij to szkło, zanim któraś koza w nie wdepnie – dodał tata.

Chłopiec sprzątnął je i ostry zapach amoniaku ulotnił się bezpowrotnie. I chociaż wszyscy delektowali się w kuchni ciasteczkami z melasą, postanowił zostać przy Psie. Patrzyli sobie prosto w oczy – jedne były jasnoniebieskie, drugie brązowe i nieco załamane.

Do tej pory Homer tak intensywnie myślał o złotej monecie, że nie miał czasu się zastanowić nad Psem. Czy wujek Drake wiedział, że zwierzę nic nie czuje? Może nie zabierał go na ekspedycje, a jedynie wykorzystywał jako posłańca?

Nagle chłopiec uświadomił sobie, że zwierzę zupełnie nie przypomina innych psów. Nie z tymi swoimi długimi uszami, luźną skórą, wielkim łbem i krótkimi nogami! Zrobiło mu się ciepło na duszy. Bywało już tak w przeszłości i pewnie będzie tak jeszcze wiele razy, że dwóch odmieńców przez przypadek odnalazło siebie.

– Będę się tobą opiekował – obiecał.

– Urrr!

## Rozdział 9

### Niespodziewane zaproszenie

Tata wciąż nie poradził sobie z wiadomością o przedwczesnej śmierci brata. Mama chciała poprawić mu humor, więc przygotowała na kolację rosół z kołdunami, za którym szalała cała rodzina.

Mężczyzna zajął miejsce za stołem i położył łokieć na stercie listów. Spojrzał na półbuty brata, które stały w rogu pokoju.

Siedzący naprzeciwko niego Homer starał się nie patrzeć w ich stronę.

– Jak poszło wam dziś w szkole? – zapytała mama, rozstawiając głębokie talerze. – Czy twój referat o żabach spodobał się, córciu?

Dziewczynka była wyraźnie podłamana.

– Ktoś dziwnie się zachowywał i zniszczył całe moje wystąpienie – powiedziała i zmrużywszy oczy, zerknęła na Homera.

Chłopiec nerwowo poruszył się na krześle. Gwendolyn mogłaby być bardziej wyrozumiała i nie skarżyć na niego!

– Gwendolyn Maybel Pudding, nie powinnaś mówić, że ktoś zachowuje się dziwnie. To nieładnie z twojej strony – stwierdziła mama.

– A jak nazwalibyście osobę, która twierdzi, że widziała chmurę z oczami? Bo ja dobrze wiem, jakbym ją nazwała!

Dziewczynka zaczęła stukać łyżką w stół, czekając na odpowiedź. Homer wstrzymał oddech, a Pisk zachichotał.

– Powiedziałbym, że ta osoba ma nie po kolei w głowie – wtrącił się tata.

Gwendolyn wyprostowała się i wycelowała łyżkę w swojego brata.

– Wiecie co? Tą osobą był Homer. Kiedy zaczynałam prezentację, oświadczył tak przy całej klasie. Myślałam, że umrę ze wstydu!

Mama jęknęła. Tata spojrzał na stół i westchnął.

– Homer? Powiedziałeś przy całej klasie, że widziałeś chmurę z oczami? Co się z tobą dzieje?

„Co się z tobą dzieje?”. Homer słyszał to pytanie już wiele razy, ale nigdy jeszcze nie znalazł właściwej odpowiedzi. Gdyby leciała ci krew

z nosa albo nagle odpadła noga, takie pytanie nie sprawiłoby ci żadnych problemów. A tak...

– Nic się ze mną nie dzieje – stwierdził. – Przepraszam. Naprawdę nie chciałem zepsuć wystąpienia Gwendolyn.

– Oczywiście, że nic się z tobą nie dzieje – potwierdziła mama.

– Chcę zobaczyć chmurę z oczami – zawołał Pisk i wetknął śliniak pod koszulę.

– No cóż, nie możesz. Taka chmura nie istnieje – odpowiedział tata.

– Chmura z oczami! – Prychnął i nalał koziego mleka do szklanki. – Sam nie wiem, gdzie popełniłem błąd.

Prrr!

Pan Pudding niemal przewrócił dzbanek z mlekiem.

– Co to, do koziego sera, było? – zawołał i lekko podniósł obrus.

Spojrzał w miejsce, z którego dobiegł ten dziwny dźwięk.

U stóp Homera leżał Pies. Jego układ trawienny przeżywał trudne chwile. Przez jego kiszki wciąż brnęła farba. I to z innymi rzeczami, które zwierzę zjadło tego dnia, wliczając w to ślimaka, pół kanapki Piska z grillowanym serem oraz kozie łajno.

– Wyprowadź tego psa na zewnątrz – mruknął mężczyzna.

– Nie możemy wyprowadzić go na zewnątrz, kochanie. – Jego żona uwijała się właśnie wokół stołu, nalewając chochelką rosół do talerzy.  
– Jeśli go tam zostawimy, może zjeść coś, czego nie powinien.

– Może umrzeć! – dodał Pisk.

Pan Pudding spróbował zupy.

Prrr!

– Jak mam się delectować jedzeniem z takim psem pod stołem?

– Kochanie, plujesz kawałkami marchewki na swojego syna!

Mężczyzna nabrał kołdun na łyżkę.

– Doktor Huckle policzyła sobie za wizytę trzydzieści dolarów. Trzydzieści dolarów za stwierdzenie, że pies nic nie czuje! – Pokręcił głową. – Sądzę, że zatrzymanie go na farmie nie jest dobrym pomysłem. Jak on sobie tu poradzi?

Homer wyciągnął rękę i pogłaskał Psa po łbie.

– Zaopiekuję się nim. Obiecuję.

Pisk wsunął się pod stół.

– Nie oddawaj go. Proszę! – zawołał.

Mama posłała tacie surowe spojrzenie. Takie, które nie wymagało komentarza. Obydwoje zapewne uważali, że Homer nie poradzi sobie z opieką nad psem, ale skoro Pisk próbował robić aferę, to pies musiał zostać.

Mężczyzna westchnął, zjadł kołdun i przejrzał pocztę.

– Co my tu mamy? – zapytał, podnosząc srebrną kopertę.

Gwendolyn upuściła łyżkę.

– To z Muzeum Historii Naturalnej! – zapiszczała i niemal przefrunęła przez stół, wrywając tacie kopertę z dłoni.

Homer w ostatniej chwili złapał szklanę z mlekiem Piska, nie pozwalając, aby spadła z chyboczącego się stołu. Sam Pisk wdrapał się z powrotem na krzesło.

– Widzicie? Widzicie? Wreszcie odpisali! – Cieszyła się Gwendolyn, gdy wróciła na swoje miejsce. – Nie wierzę w to! Naprawdę w to nie wierzę! – dodała, po czym za pomocą noża do masła szybko otworzyła kopertę.

– Chwileczkę! – wtrąciła mama, spoglądając jej przez ramię. – Ta koperta nie jest adresowana do ciebie!

– Oczywiście, że jest! – zaprotestowała jej córka. – Napisałam osiemdziesiąt listów do dyrektora muzeum. Ta koperta musi być adresowana do mnie.

– Ale nie jest. Jest adresowana do Homera.

– Do mnie? – Chłopiec z trudem przełknął kołdun.

Do tej pory, oprócz przesyłek z Klubu Map Miesiąca oraz listów od wujka Drake'a, nie dostawał żadnej korespondencji.

Gwendolyn wpatrywała się w kopertę. Jej usta składały kolejne słowa.

– Pan Homer W. Pudding...

Krew odpłynęła jej z twarzy. Dziewczynka przestała się poruszać. A nawet oddychać. Wyglądała, jakby ktoś ją właśnie wypchał.

– Kochanie? – szepnęła pani Pudding.

Gwendolyn ścisnęła kopertę tak mocno, że aż zbielały jej palce. Potem otworzyła usta i to na tyle szeroko, że wszyscy siedzący przy stole mogli zobaczyć tę zabawną, kołyszącą się rzecz w głębi jej



gardła. Wreszcie wydarła się tak głośno, że psy wypoczywające na podwórku zaczęły wyć. Siedzący pod stołem Pies ochoczo dołączył do nich.

– Haaaauuuuuuuuu!

– Co to za zachowanie? – skarcił ją pan Pudding. – Uspokój się, młoda damo.

Usta Gwendolyn zamknęły się.

– Homer W. Pudding? – przeczytała po raz kolejny. – HOMER W. PUDDING?

Mama wyjęła kopertę z jej dłoni.

– Spokojnie, córciu.

Ale Gwendolyn nie uspokoiła się.

– DLACZEGO TO HOMER DOSTAŁ TEN LIST?! – zawołała, uderzając pięścią w stół tak mocno, że aż talerze podskoczyły. – DLACZEGO? DLACZEGO? DLACZEGO?

Homer nie miał pojęcia, dlaczego dostał ten list. Nigdy nie pisał do Muzeum Historii Naturalnej. Nigdy też nie odwiedził tego miejsca.

– To takie niesprawiedliwe. Homer zepsuł moje wystąpienie i nawet go nie ukaraliście. A teraz dostał list z Muzeum Historii Naturalnej! – Z oczu rozżalonej dziewczynki zaczęły cieknać łzy.

– Przepraszam, Gwendolyn – powiedział chłopiec.

– No dobra, córciu. Zanim znów zaczniesz się wściekać, sprawdźmy, co napisali – zaproponowała mama i podała list Homerowi. – Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego w naszym domu zawsze panuje takie poruszenie. Jestem przekonana, że inne rodziny nie zachowują się w ten sposób przy stole. No dobra, Homer. Przeczytaj list. Na głos, proszę.

To był już drugi list, jaki chłopiec ostatnio dostał, a przecież do jego urodzin zostało jeszcze trochę czasu. Wyciągnął z koperty srebrną kartkę, chrząknął, a potem zaczął czytać nakreślone z fantazją słowa.

*Drogi panie Homerze W. Puddingu!*

*Serdecznie zapraszam Pana na naszą galę dla VIP-ów jutro wieczorem w Muzeum Historii Naturalnej. Prosimy pojawić się punktualnie*

*o dziesiątej wieczorem. Wejście dla naszych wyjątkowych gości znajduje się po południowej stronie budynku.*

*Z szacunkiem  
Madame la Directeur*

*PS Proszę nie zabierać ze sobą rodziców.*

– Co to za bzdury? – zapytał tata. – Naprawdę wydaje im się, że jacyś rodzice wyślą dziecko samo na taką imprezę?

– Co to znaczy VIP? – zapytał Homer.

– To skrót od „very important person”, czyli bardzo ważna osoba – wyjaśniła mama.

Twarz Gwendolyn niczym wulkaniczna erupcja odzyskała dawny kolor.

– Homer nie jest ważny!

– Każdy jest ważny – powiedziała mama i pocałowała syna w policzek.

Potem wróciła na swoje miejsce.

Homer nigdy, nawet za milion lat, nie uznałby siebie za ważną osobę. Osoby ważne robiły ważne rzeczy, a on jedynie przeglądał mapy i czytał książki o poszukiwaniu skarbów. Zmieszany wsunął gołe stopy pod ciepły brzuch Psa.

– To musi być jakaś pomyłka. Ktoś musiał się pomylić. Gwendolyn od dawna marzyła o posadzie Królewskiego Wypychacza w Muzeum Historii Naturalnej. To ona powinna dostać to zaproszenie! Możesz iść zamiast mnie – oznajmił, wyciągając list w jej stronę.

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy.

– Nikt nie pójdzie – stwierdził tata. – Muzeum znajduje się w Mieście, a żaden członek rodziny Puddingów nie postawi tam swojej stopy. Zwłaszcza po tym, co się stało z moim bratem!

– Ale, tato... – Gwendolyn zacisnęła ręce na krawędzi stołu.

– Ani słowa więcej! Koniec dyskusji! – Tata wytarł kark chusteczką.  
– Potrzebuję trochę spokoju i ciszy, żeby móc wreszcie zjeść kolację.

– Prrr!

– Och, nie, na miłość...

– Homer! – przerwała mu mama. – Może wyprowadziłbyś tego psa na zewnątrz? Postaraj się, żeby załatwił swoje sprawy przed snem, dobrze? A przy okazji zamknij stodołę.

– No dobrze. Chodź, Psie!

Chłopiec ucieszył się, że znajdzie się poza zasięgiem wzroku wścieklej Gwendolyn i znajdującego się w podłym nastroju ojca. Miała go również ominąć dyskusja o chmurze z oczami.

Kiedy ruszył w stronę drzwi, Pies podążył za nim, roztaczając wokół siebie toksyczne wyziewy.

Na zewnątrz Homer założył buty. Max, Gus i Lulu przywitały się z nim, machając ogonami. Potem powąchały Psa i rozbiegły się po podwórku, próbując wywęszyć drapieżniki.

Księżyc w pełni unosił się ponad wzgórzami widocznymi na horyzoncie.

Kiedy Pies siusiał, Homer odprowadził pozostałe zwierzęta do stodoły. Potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej złotą monetę.

Ostatni raz widział wuja ponad dwa miesiące temu, kiedy mężczyzna przyjechał do nich z wizytą. Gwendolyn przywiózł tubkę różowego błyszczyku do ust, mamie ekskluzywne perfumy, Piskowi skózaną piłkę, tacie butelkę importowanej brandy, a Homerowi składaną lunetę.

– Niedługo wyruszam na poszukiwania skarbu Rumpolda Smellera – powiedział, gdy siedzieli w pokoju.

Homer wciąż pamiętał radosne ogniki tańczące w jego brązowych oczach.

– Skarb Rumpolda Smellera? – Wtedy nie mógł w to uwierzyć. – Znalazłeś mapę?

– Nie wiem, gdzie ona się znajduje. Jeszcze nie wiem. Ale powiem ci, że znalazłem coś innego. Coś naprawdę niezwykłego. – Na przykrytych węsami ustach wujka Drake'a pojawił się chłopięcy uśmiech. – Coś, co pomoże mi znaleźć ten skarb.

– Coś niezwykłego? I to nie jest mapa?

– To coś znacznie bardziej niezwykłego niż mapa.

– Ale co?

– Wkrótce się dowiesz. Kiedy nadejdzie czas. Widzisz – zawahał się, po czym złapał Homera za ramię – czasami nawet najlepsi poszukiwacze skarbów mogą stać się złymi ludźmi. Sam wiesz, że olbrzymie bogactwo kusi. Potrafi zniszczyć duszę tak jak rak niszczy ciało. W tej branży trzeba być bardzo ostrożnym. Nie można ufać byle komu. Pamiętaj o tym!

Homer kiwnął głową. Przeczytał już dostatecznie dużo biografii poszukiwaczy skarbów, aby wiedzieć, że przyjaciele często obracali się przeciwko sobie.

– Czy mogę z tobą jechać? – zapytał.

– Poczekajmy, aż dorośniesz! Takie wyprawy są zbyt niebezpieczne dla młodych osób. Niektórzy ludzie posunęliby się do najgorszego, byleby tylko zdobyć skarb Rumpolda Smellera. Poza tym wciąż zbieram pieniądze na tę ekspedycję! – Wujek potarł swoją kwadratową szczękę, po czym zmienił ton na znacznie poważniejszy. – Posłuchaj mnie, Homer. Wiem, że nie jesteś szczęśliwy w Mlecznej Dolinie. Twoja mama wspominała mi, że dzieciaki ze szkoły bez przerwy ci dokuczają. Jednak nie pozwól, żeby ich zachowanie zniszczyło twoją pasję. Nigdy nie przejmuj się tym, co ludzie mówią. Masz we krwi poszukiwanie skarbów, tak samo jak ja – dodał i objął chłopca. – Obiecuj mi, że jeśli stanie się ze mną coś niedobrego, nie porzucisz swoich marzeń. Bo jeśli nie uda mi się odnaleźć skarbu Rumpolda Smellera, to chciałbym, żebyś ty to zrobił. Obiecujesz?

– Nie porzucę swoich marzeń – powiedział poważnym tonem Homer. – Obiecuję.

Ostatnia wizyta wujka wydawała się taka odległa. Doprowadziła do złożenia obietnicy, której chłopiec bardzo chciał dotrzymać.

Uniósł złotą monetę. Czy to ona była tym niezwykłym czymś, o czym wspominał wujek? Czy mogła stanowić wskazówkę prowadzącą do skarbu Rumpolda Smellera? Co oznaczały litery L.O.S.T.? Leksykon Opisujący Sekrety i Tropy? Lagunę Olbrzymich Skarbów i Tajemnic? To brzmiało całkiem sensownie!

– Pssst!

– Co?

Serce Homera zadrżało.

Spojrzał w górę. Niewielka, kłębiasta chmura unosiła się tuż nad drzewkiem wiśniowym. Jednak zamiast wystających z niej oczu Homer zobaczył mężczyznę zwisającego z niej głową w dół, zupełnie jak jakiś cyrkowiec!

## Rozdział 10

### Ajitabh, człowiek z chmury

Kiedy widzisz coś dziwnego, na przykład faceta zwisającego z chmury głową w dół, to pewnie mocno przecierasz oczy. Możliwe, że to jakiś paproch lub rześa przeszkadzają ci w prawidłowym postrzeganiu świata. Tak na przykład się dzieje w przypadku ludzi, którym wydaje się, że widzą UFO. Muszka owocówka przyklejona do rogówki przypomina bowiem latający spodek.

Lecz choć Homer tarł oczy i tarł, mężczyzna wciąż zwisał z chmury.

– Hej! – zawołał nawet, machając rękami. – To znaczy... słyszysz mnie?

Pies zaskamlał i schował się za nogami chłopca. Homer jeszcze raz potarł oczy. Jego serce biło, jakby chciało się wydostać z jego piersi. Po chwili mężczyzna się zbliżył.

– Jesteś bratankiem Drake'a? – zapytał.

Jego czarne, błyszczące włosy powiewały na wietrze. Rąbek białej koszuli wisiał tuż przy piersi i kołysał się na boki. Mężczyzna sięgnął po niego i wepchnął go w spodnie, które w znacznej części znajdowały się w chmurze.

– Yhy – stwierdził Homer.

Nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Pies wcisnął łeb między jego łydki i obserwował wiszącego głową w dół nieznanego. Z pyska basseta wydobywał się cichy warkot.

Mężczyzna poprawił cienkie niczym ołówek wąsy, które skręcały tuż nad jego ustami i opadały aż do sterczącej, czarnej brody.

– Kompletnie nie przypominasz mi Drake'a!

Homer nieco się uspokoił. Uświadomił sobie, że to oczy tego mężczyzny widział wcześniej w szkole. A więc nie przywidziało mu się!

Przechylił głowę, żeby lepiej się przyjrzeć dziwnemu zjawisku.

– Jak to robisz? – zapytał. – Przecież chmury to tylko para wodna!

– Tak naprawdę chmury są zbiorowiskiem niewielkich kropelek wody bądź kryształków lodu, które są na tyle lekkie, aby móc unosić

się w powietrzu – odpowiedział z dziwnym akcentem mężczyzna.

Chmura zawirowała, a potem opuściła się o ponad metr. Nieznajomy wyciągnął rękę.

– Pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Ajitabh. Urodziłem się w Nowym Delhi, ale studiowałem w Wielkiej Brytanii. Sporo o tobie słyszałem, Homerze.

Chłopiec podał mu rękę i potrząsnął nią.

– Skąd wiesz, kim jestem?

– Twój wujek Drake był moim najbliższym kumplem. Fatalnie skończył. Chciałbym wiedzieć, jakim cudem dał się pożreć jakiemuś żółwiowi! – dodał i zamilkł, robiąc smutną minę. A przynajmniej tak się Homerowi wydawało, bo trudno jest ocenić minę kogoś wiszącego do góry nogami. – Przyjmij wyrazy współczucia dla całej rodziny.

– Znałeś mojego wujka?

– Szukaliśmy razem skarbów.

– Naprawdę? – Przez chwilę Homerowi kręciło się w głowie. Jakie to szczęście, że spotkał przyjaciela wujka i to właśnie wtedy, gdy próbował rozwiązać jego największą tajemnicę. – Jakich skarbów? Dokąd pojechaliście? Co udało wam się znaleźć?

Ajitabh wisiał przed nim twarzą w... twarz. Tyle że odwróconą.

– Wybacz, ale to nie jest wizyta towarzyska. Muszę wiedzieć, czy wuj coś ci zostawił. Czy zapisał ci coś po swojej śmierci. Musisz mi to powiedzieć!

Homer zauważył, że policzki i kark nieznajomego gwałtownie się zaczerwieniły.

Chłopiec chciał zaufać domniemanemu przyjacielowi wuja. Ajitabh mógł przecież wiedzieć, co oznaczają literki L.O.S.T. Mógł też wiedzieć, czy wujek Drake odnalazł mapę Rumpolda Smellera. Coś mu jednak nie pasowało. Być może chodziło o poważny ton głosu mężczyzny albo o to, że światło księżyca nadawało jego twarzy upiorny wygląd. Instynkt nie pozwolił mu wspomnieć o monecie. „Czasami pierwotny instynkt jest jedyną rzeczą, na jakiej poszukiwacz skarbów może polegać”, mawiał jego wujek.

Homer wsunął rękę do kieszeni i ścisnął monetę.

– Nic mi nie zostawił – stwierdził.

Mężczyzna uniósł brwi.

– Powiedziałbym, że masz coś w kieszeni.

– Nie – odparł Homer i cofnął się, niemal potykając o Psa, który wciąż siedział wciśnięty między jego łydki.

– Więc dlaczego, do diabła, się cofasz?

– Bez powodu – wyjaśnił chłopiec, który robił się coraz bardziej podejrzliwy.

Chmura podleciała nieco bliżej.

– Wiem, że Drake zostawił ci psa – powiedział Ajitabh i wskazał na Psa. – Muszę jednak wiedzieć, czy zostawił ci coś jeszcze. Z pewnością chciałby, żebyś mi o tym powiedział. Twoje życie może znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie!

Homer poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach. Przypomniał sobie słowa wujka: „Czasami nawet najlepsi poszukiwacze skarbów mogą stać się złymi ludźmi”.

– Synu! – zawołał tata z kuchni.

Chłopiec odwrócił się w stronę domu, ale drzewa wiśniowe zasłoniły mu widok.

– Nie idź! – Ajitabh wyciągnął rękę i złapał go za koszulę. Homer zaczął się wić. – Musisz mi to powiedzieć! Czy Drake coś ci zostawił? – Nagle chmura zawirowała i chłopiec uniósł się w powietrze. Jego buty dyndały metr nad ziemią. – Mów!

– Puść mnie! – odpowiedział, kopiąc nogami.

Robił wszystko, co w jego mocy, żeby wyrwać się nieznajomemu.

– Grrr! – warknął Pies, po czym zacisnął zęby na jego butach i pociągnął chłopca w dół.

– Mów! – zażądał Ajitabh, zaciskając ręce. Szwy pod pachami Homera zaczęły puszczać. – Nie zachowuj się jak głupiec! Możesz mi zaufać! – dodał, wykrzywając się, bo ciężar chłopca dał o sobie znać.

Jego twarz zrobiła się purpurowa.

– Dał mi psa. Nic więcej! Puść mnie!

Homer wierzgnął z całych sił. Dwa guziki jego koszuli puściły. Rozdarcie powiększyło się.

Pies ściągnął mu but, lecz od razu zacisnął szczęki na drugim.

– Synu! – zawołał po raz kolejny pan Pudding. – Gdzie jesteś?



– Tato! – odkrzyknął Homer.  
Ajitabh zerknął na dom, a potem spojrział chłopcu prosto w oczy.  
– Wrócę po ciebie – szepnął. – Do tego czasu bądź ostrożny. Pamiętaj, znajdujesz się w niebezpieczeństwie – dodał i puścił koszulę Homera.  
– Och! – jęknął, gdy spadł na trawę.  
Pies dotknął nosem jego przerażonej twarzy.  
Chłopiec spodziewał się, że Ajitabh za chwilę znów go złapie, dlatego poderwał się na równe nogi i popędził przed siebie.  
– Tato!  
– Homer? – Mama wyszła przed ganek i rozpostarła szeroko ramiona. Chłopiec rzucił się w nie z impetem. – Co się stało? Dlaczego masz podartą koszulę? I gdzie jest twój drugi but?  
– Tam... tam... tam...  
– To był kojot?  
Pan Pudding spojrział na schody.  
– Nie! – odpowiedział Homer i wskazał drzewka wiśniowe. – Człowiek. Człowiek w chmurze.  
– Co?  
Mężczyzna znieruchomiał.  
Razem z żoną spojrzeli w kierunku sadu. Nie zobaczyli jednak ani chmury, ani żadnego człowieka. Jedynie psa żującego but ich syna.  
– Homer! – Zmarszczyła brwi mama. – Miałeś zadbać o to, aby twój pies nie zjadł niczego niezdrowego. Idź i zabierz mu ten but.  
– Ale, mamó, tam był człowiek! Zwisał z chmury. Chciał mnie porwać! – wyjaśnił, unosząc ręce i pokazując porwaną koszulę.  
Zaniepokojeni rodzice wymienili spojrzenia. Potem mama usiadła na ganku na huśtawce i przyciągnęła do siebie Homera. Pisk wyjrzał na zewnątrz, ale ruchem dłoni kazała mu wrócić do środka.  
– Dzwoniła do nas twoja nauczycielka – powiedziała i wsunęła mu jeden z jego kosmyków za ucho. – Nie rozwiązałeś dziś zadania z odejmowania, a w zeszłym tygodniu nie oddałeś pracy o historii Mlecznej Doliny, nie wspominając o szkicu systemu słonecznego. Pani Peepgrass powiedziała, że wciąż śnisz na jawie, choć wiele razy rozmawialiśmy o tym problemie. Podobno dziś wymyśliłeś historyjkę

o chmurze. Chciałeś w ten sposób zwrócić na siebie uwagę!

– Niczego nie wymyśliłem. Dziś w szkole naprawdę widziałem tę chmurę, a przed chwilą pojawiła się nad naszym sadem – upierał się Homer. – Zwisał z niej człowiek. Głową w dół. Powiedział, że jest kumplem wujka Drake’a i razem szukali kiedyś skarbów.

– Szukali skarbów? – Tata wrócił na ganek. Splótł ręce na piersiach, wziął głęboki oddech, a potem posłał synowi bardzo poważne spojrzenie. – Posłuchaj mnie uważnie, Homerze. Mam już tego serdecznie dość. Poszukiwanie skarbów zniszczyło mojemu bratu życie i nie pozwolę, żeby zniszczyło również tobie.

– Ale, kochanie...

– Nie! Dość to znaczy dość! – powiedział tata i wsunął kciuki pod szelki kombinezonu. – Nie ma sensu, żeby chłopiec wierzył, że potrafi robić coś, do czego tak naprawdę nie jest zdolny. On nawet nie przypomina mojego brata. Nie nadaje się do wspinaczki wysokogórskiej czy nurkowania głębinowego, nie wspominając o innych szalonych rzeczach, jakimi Drake się parał. Przyszłość Homera związana jest z tą farmą. Dlatego nie zgadzam się, żeby temat poszukiwania skarbów poruszano w tym domu. Koniec z książkami na ten temat, czasopismami i mapami. Koniec ze wszystkim, co ma związek z poszukiwaniem skarbów!

Szczęki chłopca i jego mamy opadły, ale oboje postanowili milczeć. Choć pan Pudding nie podniósł głosu, jego ton wykluczył jakąkolwiek dyskusję.

– Jedynymi książkami, po jakie Homer może sięgać, są te wybrane przez panią Peepgrass. I nie myślcie, że uda mu się wymknąć do biblioteki, żeby poczytać o skarbach. Jutro rano zadzwonię do pana Silversteina i powiem mu, że mój syn nie może postawić u niego nawet jednej nogi, chyba że przyjdzie w sprawach szkolnych. To moje ostatnie słowo!

Po zakończeniu przemowy tata ruszył w stronę stodoły.

Homer wbił się w kąt huśtawki z dala od chcącej go całować i przytulać matki.

Koniec z czasopismami i książkami o skarbach.

Koniec z mapami.

Chłopiec zadrżał, jakby wykapał się właśnie w lodowatej wodzie.

Jeszcze tej samej nocy tata wyniósł na strych wszystkie rzeczy Homera, które miały jakikolwiek związek z poszukiwaniem skarbów. Trafiło tam pierwsze wydanie *Biografii Rumpolda Smellera*, dość zużyty egzemplarz *Dawno zaginionych statków* oraz chociażby *X oznacza to miejsce: Encyklopedia Zakopanych Skarbów*. Niewielkie dziurki po pinezkach oraz fragmenty wypłowiałej farby stały się jedynymi dowodami na istnienie ukochanych map Homera, niegdyś okrywających puste obecnie ściany jego pokoju, który teraz wydał się Homerowi dziwnie pusty. Zupełnie nie przypominał pokoiów należących do chłopców w jego wieku. Nie było w nim kolekcji kamieni, proc czy pucharów. Z karnisza nie zwisał żaden latawiec, a w kącie nie stała deskorolka. Na parapecie nie leżał pistolet na wodę przygotowany na pojawienie się niczego niespodziewającej się siostry.

Wszystkie rzeczy, które uwielbiał i które miały związek ze skarbami – zardzewiała łopatka, kolekcja plastikowych mumii, replika Świętego Graala – przepadły. W pomieszczeniu znajdowały się jedynie jego łóżko, ubrania oraz biurko z nudnymi podręcznikami. Ach, dwie rzeczy udało się Homerowi uratować – kompas wciąż wisiał na jego szyi, bezpiecznie schowany pod koszulką, a złota moneta wciąż znajdowała się w jego kieszeni.

Drzwi się uchyliły i do pokoju zajrzała mama.

– Pomyślałam, że potrzebujesz towarzystwa – powiedziała i otworzyła drzwi jeszcze szerzej.

Pies wszedł do pomieszczenia. Zrobił kilka kółek, a potem wyciągnął się na stercie brudnych ubrań. Kobieta położyła na wpół przerzuty but na biurku Homera.

– Dopóki nie wybierzemy się do domu handlowego, będziesz musiał nosić swoje stare trampki.

Homer odwrócił się. Miał gdzieś swoje głupie buty.

– Wiem, że wydaje ci się to takie niesprawiedliwie – stwierdziła ciepłym głosem. – Spróbuj jednak zrozumieć, że tata po prostu nie chce, żebyś tracił czas na te wszystkie mapy i książki. Zamiast tego powinieneś spędzać więcej czasu z ludźmi. Tu, na miejscu,

w Mlecznej Dolinie.

– Nie lubię Mlecznej Doliny – odpowiedział Homer i splótł ręce na piersiach tak ciasno, jak to możliwe. – I nikt w Mlecznej Dolinie nie lubi mnie.

– Ja cię lubię, Homer. Kocham cię. I Pisk cię kocha. Cała nasza rodzina cię kocha. Ale martwimy się też o ciebie... – Mama odwróciła się na obrotowym fotelu i spojrzała prosto w jego błękitne oczy. – Mleczna Dolina to twój dom. Spróbuj stać się jej częścią.

– Ale wujek Drake chciał, żebym...

– Drake był dobrym wujkiem, tyle że z zestawem szalonych pomysłów. Miał trochę nie po kolei w głowie. Rozumiesz?

– Tata boi się, że też mam nie po kolei w głowie, prawda?

– Stara się cię chronić. Kiedy dorośniesz, sam dokonasz wyboru. Być może zdecydujesz się pójść w ślady wujka... – Kobieta uśmiechnęła się czule. – Na razie jednak musisz bardziej uważać w szkole i pomagać nam w pracy. I przestać wymyślać te głupie historyjki. A teraz załóż piżamę i idź spać. Rano poczujesz się lepiej.

Powiedziawszy to, mama wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Homer nie miał najmniejszej ochoty zakładać piżamy. Nie miał ochoty uważać w szkole i pomagać na farmie. Miał ochotę na tylko jedną rzecz, ale nie miał już książek o monetach, które mógłby przejrzeć.

Światło księżycy wpadało przez okno, oświetlając pokój. Pies podniósł się ze sterty prania i podrapał w bok łóżka. Homer z wysiłkiem wciągnął go na kołdrę. Leżeli tuż obok siebie. Wyciągnięte ciało zwierzęcia sięgało chłopcu do kolan, mokry nos zaś przytulał mu się do policzka. Ciepły oddech pachniał co prawda jak kalosz, ale nie przeszkadzało mu to. Pies wiedział, co to znaczy być niezrozumianym. Ludzie uważali, że jest głupi, bo je dziwne rzeczy, ale przecież nie miało to nic wspólnego z jego inteligencją. Ludzie uważali, że Homer jest dziwny, bo marzył o dziwnych rzeczach. Nie miało to jednak nic wspólnego z „nie po kolei w głowie”.

Homer i Pies spojrzeli smutnym wzrokiem na sufit pozbawiony map.

– Myślał, że oszalałem – szepnął chłopiec i pogłaskał przyjaciela. –

A przecież wiem, że człowiek z chmury istnieje. Chciał zabrać mi monetę wujka Drake'a. Jutro tata zadzwoni do pana Silversteina z biblioteki i już nie będę mógł prowadzić poszukiwań. No bo gdzie się dowiem, co oznacza L.O.S.T.?

Pies jęknął, podniósł się i przeszedł na koniec łóżka. Ostrożnie zsunął się z niego i podszedł do drzwi.

– Urrr!

– Jest zbyt późno na spacer – oznajmił Homer.

Pies podrapał w drzwi.

– Urrr!

– Powiedziałem, że jest zbyt... – zaczął chłopiec, a potem usiadł na łóżku. – Hej, masz dobry pomysł. Mógłbym pójść teraz!

Przerażony i podekscytowany jednocześnie podbiegł na palcach do okna. Księżyc świecił na tyle jasno, że wszystko było doskonale widać. Gdyby trzymał się drogi, wiszące nad nią gałęzie ukryłyby go przed przelatującą chmurą. Wujek Drake zawsze mówił, że noc to idealna pora, żeby wyruszyć na poszukiwania.

– Lepiej będzie, jak zostaniesz w domu – powiedział do Psa. – Zwierząt nie wpuszczają do biblioteki.

Pies z przechylnym łbem obserwował, jak Homer zakłada zielony sztruksowy płaszcz, wyciąga latarkę z szuflady biurka oraz szwajcarski scyzoryk, którego tata nie skonfiskował mu tylko dlatego, że uważał, iż każdy chłopiec powinien mieć taki scyzoryk.

– Zostań! – powiedział Homer, otwierając drzwi.

– URRR!

– Zaraz wrócę. Zostań!

Pies odchylił łeb.

– Haaauuuuuuuuu...

Chłopiec błyskawicznie zacisnął ręce na pysku zwierzęcia.

– No dobrze, możesz iść.

# Rozdział 11

## Biblioteka o północy

Wymykanie się ze starego domu na farmie nie jest łatwe, bo na uciekinierów niemal na każdym kroku czyhają skrzypiące schody i wypaczone klepki podłogowe. Jeśli dodać do tego psie pazury stukające w drewno, należy uznać za cud, że Homerowi udało się wydostać na zewnątrz bez wyrwania ze snu całej rodziny.

Chłopiec zawahał się dopiero na ganku. Nigdy wcześniej tego nie robił. Jego tata eksplodowałby, gdyby się o tym dowiedział. W głębi serca czuł jednak coś więcej niż strach – czuł potrzebę sprawdzenia się, bycia zrozumianym. Chciał udowodnić wszystkim, że nadaje się na poszukiwacza skarbów. „Zabierzcie mi mapy, zabierzcie książki, ale i tak dowiem się, dlaczego wujek Drake podarował mi tę monetę!”. Homer wziął głęboki oddech i ruszył wzdłuż podjazdu. Pies dreptał tuż przy jego nogach.

– Obserwuj chmury – szepnął do zwierzęcia.

Księżycowe niebo pełne gwiazd rozciągało się nad wzgórzami. Pomimo jego blasku wiele osób potknęłoby się na prostej drodze, ponieważ nocne cienie z łatwością ukrywały doły i wyboje.

Jednak Homer świetnie sobie radził w chodzeniu z książką w garści i nie miało najmniejszego znaczenia, czy idzie do miasteczka w świetle słońca, czy też księżyca. Trzymał się skraju drogi i nasłuchiwał odgłosu ciężarówek. Nie licząc poruszających się liści i gałęzi, wokół panowała cisza.

Pewnie dlatego niemal wyskoczył ze skóry, kiedy Carlotta Crescent wyskoczyła zza skrzynki na listy stojącej obok jej domu.

– Co robisz, Homer?

– Nic – odpowiedział.

– A to co?

– Mój nowy pies.

– Jak się nazywa?

– Pies.

– Co to za dziwne imię?

– Nie wiem!

A niech to! Carlotta zapewne opowie Gwendolyn o jego nocnej wycieczce, a Gwendolyn z pewnością opowie o tym rodzicom.

– Pewnie się zastanawiasz, co tu robię w środku nocy – stwierdziła dziewczynka. Swoje długie włosy związała żółtą kokardą, która pasowała do jej szlafroka i kapci. – Nie chcesz wiedzieć, co robię? – dodała, po czym uniosła lornetkę.

Homer wzruszył ramionami.

– No może!

Tak naprawdę miał wielką ochotę powiedzieć, że trzyma Supermocną Lornetkę Boringtona. Ta lornetka została zaprojektowana przez sir Richarda Boringtona, słynnego poszukiwacza skarbów, który większość swoich wypraw spędził na atłasowym siodle swojego słonia. Gdyby to jednak powiedział, dorobiłby się łatki dziwaka.

– Przygotowuję referat o puszczykach. Rodzice zgodzili się, żebym tu została i obserwowała je, ale tylko ten jeden raz – powiedziała i ziewnęła. – Na razie nie widziałam ani jednego. A ty, o czym masz referat? Czy pani Peepgrass wyznaczyła ci już jakiś temat?

– Muszę iść – odpowiedział Homer i ruszył wzdłuż ulicy Uśmiechniętej Kozy.

– Nudzę się! – zawołała za nim Carlotta. – Mogę iść z tobą?

Nie licząc Gwendolyn, była jedyną osobą w szkole, która z nim rozmawiała. Dlatego przez chwilę zastanawiał się, czy zabrać ją ze sobą. W towarzystwie dziewczynki nocna eskapada wydałaby mu się mniej przerażająca. Ale Ajitabh obiecał mu, że jeszcze wróci. A to oznaczałoby ściągnięcie na głowę Carlotty sporego niebezpieczeństwa. Poza tym Homer nie chciał, żeby ktokolwiek dowiedział się o jego monecie. Jeszcze nie teraz!

– Czy mogę iść z tobą? – zapytała ponownie.

– Nie! – Homer nawet nie zwolnił.

– Dlaczego nie mogę iść z tobą?

– Tak po prostu. Przepraszam!

– Aha. No dobra. Do zobaczenia, Homer. Do jutra!

Chłopiec skręcił w aleję Kielkową, przebiegł przez drewniany most i zatrzymał się na skraju miasteczka. Nigdy wcześniej nie dotarł tak

daleko nocą i panująca wokół cisza go zaskoczyła. Brakowało mu przejeżdżających ciężarówek, starych mężczyzn narzekających na ceny ziarna, dzieciaków wydzierających się na placu zabaw. Ciemna, zamknięta na cztery spusty Mleczna Dolina wyglądała jak miasteczko duchów!

Nie szedł środkiem drogi. Wolał trzymać się budynków na wypadek, gdyby na niebie pojawiła się podejrzana chmura. Biblioteka Publiczna w Mlecznej Dolinie znajdowała się tuż obok szkoły. Stary, drewniany gmach rok temu został otulony białym płaszczem farby i zyskał mosiężny szyld nad wejściem. Światło księżycy odbijało się od dachu budynku, ale każde z okien było całkowicie czarne.

Homer wbiegł po schodach i szarpnął za klamkę. W małych miasteczkach, takich jak Mleczna Dolina, nikt nigdy niczego nie ukradł, nie licząc może cukierków. Mimo to bibliotekę zamykano na noc. Chłopiec zabrał ze sobą szwajcarski scyzoryk. Planował włamać się do środka za jego pomocą. Co prawda nigdy tego nie robił, ale wiele razy o tym czytał. Jednak obchodząc teren, wypatrzył z tyłu uchylone okno. Przytargał pod nie taczkę, którą znalazł w ogrodzie. Potem zabrał z ogrodu trochę cegieł, które ułożył wewnątrz taczki. W końcu, stając na nich, zdołał umieścić swój brzuch na parapecie. Przez chwilę zastanawiał się, czy czegoś nie zapomniał. Latarka? Jest. Szwajcarski scyzoryk? Jest. Kompas i moneta? Są. Wszystko w porządku. Otworzył szerzej okno i wdrapał się do środka.

Od razu stracił równowagę i uderzył twarzą w podłogę. Znajdował się na klatce schodowej, która łączyła parter biblioteki z jedynym piętrem. Na szczęście nikt nie krzyknął: „Kto tam?”. Homerowi ulżyło. Twarz go bolała, ale nosa nie złamał. Ostrożnie podniósł się z ziemi. Potem wyciągnął z kieszeni latarkę i ją włączył.

W chwili, gdy wszedł do biblioteki, opuścił go strach. To było jedno z tych miejsc, gdzie czuł się jak u siebie w domu i mógł robić to, co naprawdę uwielbiał. Tu ludzie, którzy nie lubili czytać, uchodzili za dziwaków.

Każdy, kto lubi czytać tak bardzo jak Homer, kocha również biblioteki. I nie ma znaczenia, czy placówka oferuje wygodne krzesła obite czerwoną skórą oraz połączone półki sięgające sufitu, czy też ma



zwyczajne, drewniane ławki i półki zrobione ze starych skrzynek na mleko. Liczy się charakterystyczny zapach, który uspokaja każdego bibliofila. Działa skuteczniej od starych perfum babci, świeżo upieczonego ciasta czekoladowego czy nawet tostów! To zapach papieru, pleśni, kurzu oraz ludzkich starań. Najstarsze tomy pachną oczywiście najlepiej, skruszałe pod wpływem czasu niczym najdroższy kozi ser...

Jednak nie ma co stać i delektować się niezwykłym aromatem. Przecież zagadka tajemniczej monety czeka na wyjaśnienie!

Homer dokładnie wiedział, gdzie znajdują się książki o monetach. Kiedy ruszył przez wyleniały dywan, ktoś zapukał we frontowe drzwi. Chłopiec poświecił latarką. Zobaczył twarz Carlotty przytuloną do owalnego okna w drzwiach.

– Co tu robisz? – zapytał po odsunięciu zasuw i otwarciu drzwi.

– Zapomniałeś psa – odpowiedziała, wchodząc do środka. Zaraz za nią wszedł Pies, przy każdym kroku poruszając swoimi atlasowymi uszami. – Głaskałam go, kiedy rozpląnąłeś się w ciemnościach. Zaczął chodzić wokół mnie. Wyglądał na naprawdę smutnego. Coś mu dolega?

– Stracił węch. Zdaje się, że gdy mnie nie widzi, to nie wie, gdzie jestem – stwierdził chłopiec.

Czuł się źle, że zapomniał o zwierzęciu. Nie był przyzwyczajony do opiekowania się nim. Wyciągnął rękę i poklepał go po łbie. Obiecał sobie, że gdy następnym razem wybiorą się na spacer, na pewno weźmie ze sobą smycz.

– Przepraszam, chłopie – szepnęła.

Pies pomachał swoim krótkim ogonkiem.

– No dobra, to co tu robisz? – zapytała Carlotta, zamykając drzwi. – Nie powinieneś zakradać się tu nocą. Możesz mieć przez to problemy.

– Dziękuję, że przyprowadziłaś mojego psa. Możesz już wracać.

– Ale ja chcę się dowiedzieć, co tu robisz – stwierdziła, unosząc brwi. – Poza tym nie zamierzam wracać sama do domu.

Homer westchnął. Wyglądało na to, że nie pozbędzie się jej tak łatwo.

– Mam robotę do wykonania, więc musisz poczekać, aż skończę.

Potem odprowadzę cię do domu.

– Pracujesz nad referatem?

– Um... Tia. – Skłamał.

Przeszedł do części naukowej biblioteki i promieniem latarki oświetlił kolejne punkty. Potem wsunął ją sobie pod pachę i wyciągnął olbrzymią książkę I.M. Flumpa *Monety świata*. Usiadł na podłodze, położył tom na swoich kolanach, po czym zajrzał do rozdziału zatytułowanego *Rzadkie i nietypowe* umieszczonego na samym końcu. Uznał, że to dobre miejsce do rozpoczęcia poszukiwań.

– Biblioteka nocą wydaje się upiorna – westchnęła i usiadła obok niego. – Nie podoba mi się tutaj. Wracajmy.

– Muszę coś znaleźć – odpowiedział Homer.

Pies wepchnął się pod książkę i ułożył swoje długie ciało na jego nogach.

Chłopiec położył tom na jego boku i przeglądał kolejne strony, szukając monety podobnej do tej, którą miał w kieszeni.

Nagle z górnego piętra dobiegło ich skrzypnięcie.

– Jak sądzisz, czy tu są duchy? – zapytała Carlotta, przysuwając się do niego.

Wyraźnie poczuł przyjemny zapach jej włosów.

– Duchy?

Spojrzał w górę. Skarbowo często towarzyszyły duchy, a raczej ich dawni właściciele, którzy nie chcieli zostawić za sobą swoich ziemskich dóbr. Może książki też miały swoje duchy?

Nagle o okno zastukała gałąź. Homer i Carlotta wstrzymali oddech. Potem latarka zgasła i dziewczynka złapała go za ramię.

– Co się stało? – szepnęła.

Chłopiec potrząsnął latarką.

– Bateria padła – stwierdził.

Choć światło księżyca wpadało do środka przez okno, wewnątrz było zbyt ciemno, aby Homer mógł czytać. A musiał czytać i to tak szybko, jak to możliwe. Nie chciał, żeby jego rodzice zorientowali się, że zniknął. Zsunął Psa z kolan i podszedł do biurka pana Silversteina. W Mlecznej Dolinie dość często brakowało prądu, zwłaszcza podczas zimowych burz, więc każdy trzymał gdzieś pod ręką świecę. Tak jak

przewidział, leżały w środkowej szufladzie, zaraz obok paczki zapalek.

– Homer, kończysz już? Mój tata się wścieknie, kiedy się dowie, że nie zajmuję się puszczkami.

– Muszę coś znaleźć, Carlotto. To bardzo ważne.

– No dobrze. – Uśmiechnęła się, kiedy usiadł obok niej. – Wszyscy myślą, że jesteś dziwaczny, ale moim zdaniem jesteś całkiem inteligentny.

– Um... Dziękuję.

I tak, z Psem na kolanach i Carlottą Crescent trzymającą obok świecę, Homer kontynuował poszukiwania tajemniczej monety. Dziewczynka opowiadała mu o swoich szczeniakach, zbliżającym się przyjęciu urodzinowym i milionach innych spraw, lecz on skupiał się na zadaniu. Strona po stronie, ilustracja po ilustracji, minuta po minucie, godzina po...

Nagle poczuł dym.

Otworzył oczy. Zazwyczaj nie siedział do późna, więc zasnął oparty o półkę. Pies spał na jego kolanach. Głośno chrapał. Carlotta również drzemała, położywszy głowę na ramieniu Homera.

Skąd wziął się zapach dymu i ten jasny blask?

– Carlotto! – zawołał i potrząsnął koleżanką. – Pali się! Biblioteka się pali!

## Rozdział 12

### Najgorsza rzecz, jaka wydarzyła się w Mlecznej Dolinie

Pali się? O nie! – zawołała Carlotta. – Musiałam upuścić świecę!

I tak właśnie było. Kiedy dziewczynka zasnęła, świeca wysunęła się z jej rąk i potoczyła po podłodze. Zatrzymała się dopiero przy słowniku. Płomień wdrapał się po nim na półkę i przeskakiwał z książki na książkę, rosnąc niczym wąż.

To był najstraszliwszy widok, jaki Homer kiedykolwiek widział.

– Musimy się stąd wydostać – stwierdziła Carlotta. – Pani Peepgrass uczyła nas, że gdy zobaczymy ogień, powinniśmy jak najszybciej wydostać się na zewnątrz.

– Ale książki...

– Homer! Pani Peepgrass mówiła, że nie ma rzeczy cenniejszej od życia!

Chłopiec słyszał najwyżej jeden procent tego, o czym wspominała nauczycielka. Doskonale pamiętał jednak historię Millicent Smith, amerykańskiej poszukiwaczki skarbów, która zginęła w płonącym domu tylko dlatego, że próbowała uratować swoje liny do bungee. „Nikt tak jak ona nie skakał do wnętrza wulkanów – powiedział wujek Drake. – Społeczność poszukiwaczy skarbów straciła kolejnego eksperta. Ogień nie zna litości. Pamiętaj o tym!”

Kiedy pomagał Carlocie wstać, dym gryzł go już w oczy. Książkę o monetach wsunął pod ramię.

– Chodź, Pies! – zawołał.

Ruszyli w stronę frontowych drzwi, ale nie dotarli daleko. Ogień nagle zeskoczył z półki i zablokował im drogę ucieczki.

Dziewczynka zaczęła kasłać, a Pies zaszczekał na płomienie.

– Schody! – zdecydował Homer. Złapał Carlottę za rękę i pociągnął w stronę klatki schodowej. – Pies! – zawołał.

Ale Pies nie ruszył się z miejsca. Pomieszczenie szybko wypełniało się dymem, więc chłopiec cofnął się i złapał zwierzę za obrozę.

– Chodź z nami!

Pies wyrwał się i znów zaczął szczekać. Homer oddychał z trudem. W końcu upuścił książkę, wsunął rękę pod brzuch zwierzęcia i go uniósł. Uginając się pod jego ciężarem, ruszył w stronę schodów.

Nagle przewrócił się, aż jęknęło. Pies uderzył o podłogę. Okno było otwarte, lecz znajdowało się zbyt wysoko, żeby się na nie wdrapać. Homer podniósł się z podłogi i zrobił z rąk podpórkę, w którą Carlotta wsunęła nogę. Dźwignął ją do góry.

– Pomocy! – zawołała dziewczynka, wysuwając głowę za okno. – POMOCY!

Tymczasem frontowe drzwi trzasnęły i zaczęły drżeć. Syreny ryczały coraz bliżej.

Straż pożarna na szczęście nie miała daleko, bo remiza znajdowała się w centrum miasteczka. Światła kogutów co chwila rozświetlały ciemności nocy. Po chwili członkowie ochotniczej straży pożarnej z Mlecznej Doliny pojawili się na miejscu, w większości w samych piżamach.

– POMOCY! – wołała Carlotta.

– POMOCY! – wtórował jej Homer, próbując unieść ją nieco wyżej.

Dym powoli przedostawał się na klatkę schodową, więc Pies zaczął szczekać.

Nagle para potężnych rąk wysunęła się zza okna i pociągnęła Carlottę do góry. Potem pojawiła się drabina i komendant straży pożarnej wylądował tuż obok chłopca.

– Ktoś jeszcze jest w środku? – zapytał.

– Nie – odpowiedział jednym tchem Homer.

Mężczyzna przerzucił sobie psa przez ramię, jakby to był worek ziemniaków, i pomógł chłopcu wydostać się na zewnątrz.

Siedząc na trawie naprzeciwko biblioteki, Homer przytulał do siebie Psa i patrzył, jak płomienie sięgają dachu. To był najgorszy widok, jaki mógł sobie wyobrazić. Chciało mu się wymiotować. Pomimo odwagi i wysiłków strażaków budynku nie udało się uratować.

Tata zaparkował niedaleko swoją ciężarówkę, podobnie jak pan Crescent i każdy inny farmer, który znajdował się w zasięgu

ryczących syren. Kiedy ostatnia deska się spaliła, uwaga wszystkich zebranych zwróciła się ku siedzącym na trawie chłopcu, dziewczynce i psu, całkowicie umorusanych sadzą.

– To moja wina – przyznała ze łzami w oczach Carlotta. – Upuściłam świecę.

– Nie! – zaprotestował Homer. – To moja wina. Ja...

– Oczywiście, że to twoja wina – przerwał mu pan Crescent. – Moja Carlotta nigdy nie wybrałaby się sama nocą do biblioteki!

– Powoli, powoli, Crescent! – zawołał oburzony pan Pudding. – Nie obwiniaj mojego syna!

Komendant zdjął swój hełm.

– Co tu właściwie robiliście? – zapytał.

Homer spojrzał na ojca, który zrobił się blady niczym księżyc. Jak mu to powiedzieć? Przecież miał zakaz przychodzenia do biblioteki. Miał zakaz czytania książek o poszukiwaniu skarbów. Będzie taki zawiedziony!

– On celowo spalił ten budynek! – krzyknął ktoś. – Zawsze zachowywał się dziwnie!

– To młodociany przestępca!

– Nie! – zawołała Carlotta. – To nie jego wina! Zasnęliśmy i upuściłam świecę. A ten pies nic nie czuje, więc nie mógł nas ostrzec przed dymem!

– Nic nie czuje?! – zawołał pan Crescent i wypuścił powietrze z płuc. – Na farmie Puddingów mieszka pies, który nie ma węchu? To by pasowało!

– To najgorsza rzecz, jaka wydarzyła się w Mlecznej Dolinie – stwierdził ktoś z tłumu.

Ten zaś gęstniał, wskazując palcami winowajców i wykrzykując kolejne oskarżenia. Homer zwiesił głowę i zamknął oczy. Marzył, żeby książka, którą zabrał, zniknęła. Spalenie najfajniejszego miejsca w całej Mlecznej Dolinie nie było częścią planu. Zawiódł. I to zawiódł koszmarnie. Może jego tata miał rację – nie nadawał się na poszukiwacza skarbów. Chyba rzeczywiście jego przyszłość była związana z farmą...

– Co zamierzasz zrobić, Pudding? – zapytał pan Crescent. – Przecież

twój chłopak spalił jedyną bibliotekę w gminie!

– Co ja zamierzam zrobić? – Zdenerwował się tata Homera. – To twoja córka upuściła świecę.

– Tak? Ale to twój pies nic nie czuje. Gdyby tam był któryś z moich czempionów, nie doszłoby do tego!

Wtedy wszyscy zaczęli krzyczeć. Obelgi i oskarżenia latały we wszystkie strony. Biedny bibliotekarz, pan Silverstein, pojawił się na miejscu w niebieskiej piżamie i od razu zaczął płakać. Homer nie mógł patrzeć na cierpienie malujące się na jego twarzy. Siedział na trawie i wyraźnie czuł dym unoszący się w nocnym powietrzu. Cały drżał. Było mu zimno.

W końcu Carlotta podniosła się z ziemi. Jej żółty szlafrok był cały w zielonych plamach.

– Homer uratował mi życie – powiedziała, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

– Musisz wybudować nową bibliotekę – stwierdził pan Crescent. – Słyszysz mnie, Pudding? Musisz wybudować nam nową bibliotekę!

Tata zaczął wymachiwać czapką tuż przed jego twarzą.

– A owszem, wybuduję nową. Już o to się nie martw, Crescent. Wybuduję wspaniałą bibliotekę. Obiecuję.

– Proszę się rozejść! – rozkazał komendant straży. – Nie ma tu nic do oglądania. Zabierzcie dzieci do domu. Rano wrócimy do sprawy.

Po drodze do domu tata nie odezwał się ani słowem. Homer też milczał. Słowo „przepraszam” wydawało mu się zbyt proste.

Reflektory czerwonej ciężarówki przecinały dym, który niczym mgła unosił się nad drogą. Pies siedział z tyłu, na pace. Na każdym wyboju kłapała mu szczeka. Homer co jakiś czas zerkał na tatę, który ścisnął kierownicę tak mocno, jakby się obawiał, że za chwilę wypadnie mu z rąk. Jak zamierzał odbudować bibliotekę? Skąd weźmie czas lub pieniądze? „Wszyscy mnie nienawidzą – pomyślał chłopiec. – Nawet mój ojciec”.

Kiedy dotarli do domu, mama, Pisk i Gwendolyn stali na ganku. Mieli mnóstwo pytań. Homer obserwował ich z okna ciężarówki.

– Spalił bibliotekę – wyjaśnił tata. – Obiecałem, że wybuduję nową.

– Co zrobił? Co zrobisz? – zapytała mama. – Czy nas na to stać?

– Dałem słowo. A człowiek jest tyle warty, ile jego słowo.

I wtedy właśnie siedzący na pace Pies, znów nieco zapomniany, odchylił łeb do tyłu i zawył.

Mężczyzna odwrócił się.

– Crescent ma rację – powiedział ze złością w głosie. – Normalny pies wyczułby dym. Jutro zadzwonię do tej kancelarii prawnej i powiem, żeby przyjechali po niego. I to moje ostatnie słowo – dodał, po czym jak burza wpadł do domu, a mama i Pisk popędzili za nim.

Homer nie miał ochoty wchodzić do środka i mierzyć się z nieskończoną serią pytań. Na twarzy mamy zobaczyłby zawód i zaniepokojenie. Pisk pewnie płakałby, że Pies zostanie oddany. Gwendolyn powtarzałaby, że zrujnował jej życie. Prawdę mówiąc, zrujnował życie wszystkim. Tak przynajmniej uważał, kiedy drząc, siedział w samochodzie.

Chłopiec miał wrażenie, że jego marzenia ulatują niczym dym na wietrze. Dlaczego nie mógł pogodzić się ze swoim przeznaczeniem? Najwyraźniej było nim hodowanie kóz. Powinien odwiedzić dział dla otyłych w domu towarowym i kupić sobie kombinezon roboczy, a potem nauczyć się prowadzić rodzinny biznes.

– Urrr!

Pies skrobnał w tylne okno.

Homer zsunął się z siedzenia pasażera i wdrapał na pakę. Przytulił go.

– Tata chce cię odesłać – szepnął. – Nie chcę, żebyś odchodził. To wszystko moja wina – dodał.

Życie Psa również zrujnował. Zwierzę mogło wieść spokojne życie na farmie, a przez niego trafi do biura Snooty'ego i Snooty'ego. Co napisali w liście? Że gdy przedmiot do nich wróci, zostanie... zniszczony?

Gwendolyn stanęła na tylnym zderzaku samochodu.

– No chodź. Zejdź z ciężarówki – powiedziała władczym tonem.

– Daj mi spokój. – Miękkie futro Psa otarło się o twarz Homera.

Dziewczynka nachyliła się nad tylną klapę.

– No co? – zapytał chłopiec, zerkając w jej stronę.

– Idę na to przyjęcie dla VIP-ów i to bez względu na to, co mówi



tata. Niestety na zaproszeniu widnieje twoje imię. Dlatego musisz iść ze mną.

– Chyba czegoś nie zrozumiałaś. Właśnie spaliłem bibliotekę! Zlekceważyłem polecenie taty, który zabronił mi tam się zbliżyć. A teraz chcesz, żebym uciekł z tobą z domu? Nie sądzisz, że mam dość kłopotów?

– Właśnie o to mi chodzi. Wpadłeś jak śliwka w kompot. Gorzej być nie może – stwierdziła, kładąc ręce na biodrach. – Oczywiście możesz zostać tu i pójść jutro do szkoły. Wszyscy będą się z ciebie nabijać, bo spaliłeś bibliotekę. Możesz też wybrać się ze mną do Miasta – dodała i skrzywiła się. – No więc?

– Do Miasta?

Przez kilka szalonych chwil Homer Winslow Pudding starał się zapomnieć o swoich marzeniach. Ale tak jak koza nie może przestać być kozą, tak Homer nie potrafił zapomnieć o szukaniu skarbów.

W głowie zakiełkował mu pomysł. Przecież w Mieście z pewnością była biblioteka, pewnie znacznie większa od tej, którą właśnie spalił. Pewnie też miała wielką kolekcję książek o monetach. Tajemniczy złoty krążek musiał być cenny, bo wujek z jakichś powodów starannie go ukrył. Może nawet był warty tak dużo, że dałoby się za niego wybudować nową bibliotekę! Poza tym podczas pobytu w mieście Homer mógłby się dowiedzieć więcej o wujku. Sprawdziłby, gdzie mieszkał Drake. Zbadałby, dlaczego wszystkie jego rzeczy zniknęły. Wśród nich przecież mogła się znajdować wskazówka, która zwiększyłaby szanse na odnalezienie mapy Rumpolda Smellera.

Problem w tym, że tata zakazał im wyjazdu do Miasta.

Jednocześnie powiedział, że człowiek jest warty tyle, ile jego słowo. A Homer obiecał wujkowi, że nie porzuci swoich marzeń.

Pies szturchnął Homera swoim mokrym nosem. Istniał jeszcze jeden powód, żeby jechać do Miasta. Gdyby Pies trafił do biura Snooty'ego i Snooty'ego, zostałyby zniszczone. Homer tymczasem mógłby znaleźć mu nowy, miły dom. Szczęśliwy i bezpieczny.

– Okej – powiedział do siostry. – Pojadę z tobą.

# **Część trzecia**

## **Miasto**

## Rozdział 13

### Uciekinierzy

Uciekanie z domu nie jest dobrym pomysłem. No chyba że masz już czterdzieści lat i twoi rodzice krzyczą „Hurra!” oraz zmieniają zamki chwilę po tym, jak wyjdiesz. W przypadku Gwendolyn i Homera, będących w wieku odpowiednio piętnaście i dwanaście lat, wypuszczenie się z domu w środku nocy musiało przyprawić ich rodzicom zmartwień i bólu głowy.

Rzeczywiście mieli powód do ucieczki. Gwendolyn zamierzała zrealizować swoje marzenia o zostaniu Królewską Wypychaczką w Muzeum Historii Naturalnej, a Homer chciał dotrzymać obietnicy złożonej wujowi, pomóc ojcu odbudować bibliotekę w Mlecznej Dolinie i, przy odrobinie szczęścia, znaleźć Psu nowy, bezpieczny dom. Kiedy przemykali na palcach obok sypialni rodziców, jeszcze nie rozumieli, że dzieci podróżujące samotnie stanowią łatwy cel dla wszelkiej maści szumowin. A ponieważ ich decyzja o ucieczce była mocno improwizowana (co oznacza, że jej nie przemyśleli), żadne z nich nie spakowało bielizny, szczoteczki do zębów, apteczki czy chociażby puszki z ciastkami, dzięki którym nie umarliby z głodu.

Oboje wzięli jednak to, co było dla nich najważniejsze: Gwendolyn – torbę sportową wypełnioną aż po brzegi wypchanymi zwierzętami oraz egzemplarz *Oficjalnego przewodnika po Muzeum Historii Naturalnej*, a Homer – swój szwajcarski scyzoryk, kompas, latarkę i tajemniczą monetę.

Szybko rozbolały go nogi. Nigdy wcześniej nie szedł dwa razy do miasteczka w ciągu jednej nocy.

– Szybciej! – krzyczała na niego z milion razy Gwendolyn, która niemal galopowała przed siebie.

Sunący na krótkich nóżkach Pies z trudem dotrzymywał jej tempa, a chłopiec nie radził sobie dużo lepiej. Czuł, że ma otarte uda.

O godzinie 00.46 Homer, Gwendolyn i Pies dotarli na stację kolejową w Mlecznej Dolinie. W sumie nie była to nawet stacja kolejowa, tylko zwykła fontanna z przerdzewiałą pompą oraz

ławeczka schowana pod blaszanym dachem.

Dzieci Puddingów jechały już kilka razy pociągiem, chociażby po to, by odwiedzić dziadków mieszkających na wybrzeżu. Jednak nigdy nie robiły tego nocą. I nigdy nie jechały bez opieki.

Stacja na szczęście znajdowała się nieopodal targu, więc Homer nie musiał patrzeć na stertę zgliszczy, które kiedyś były jego ukochaną biblioteką.

Gwendolyn poruszyła nosem.

– Pachnie dymem. Nawet tutaj – stwierdziła.

Chłopiec poczuł, że wstyd maluje na jego twarzy rumieńce. Zastanawiał się, czy książki wydzielają specjalny rodzaj dymu, który unosi się w powietrzu przez lata, podobnie jak przeczytana książka zostaje w człowieku na wieki.

Kiedy odczepiał prowizoryczną smycz od obroży Psa, czyli zwykły sznurek, który zabrał, wychodząc z domu, Gwendolyn rzuciła torbę na ławkę i zaczęła czytać rozkład jazdy.

– Mamy dziesięć minut do następnego pociągu. Ile wzięłaś pieniędzy?

Pies zwinął się pod ławką i zaczął drzemać.

Homer wsunął latarkę do kieszeni płaszcza, a potem wywrócił kieszenie spodni.

– Mam banknot dziesięciodolarowy, banknot pięciodolarowy, trzy jednodolarówki i trochę drobnych – powiedział. Od dnia swoich urodzin oszczędzał na nowy kątomierz i kilka dużych kartek, na których mógłby rysować mapy. – A ty ile wzięłaś?

– Dwa dolary – przyznała Gwendolyn.

– Tylko tyle?

– Sprzęt do wypychania zwierząt jest drogi. Wiesz na przykład, ile kosztuje aldehyd mrówkowy? – zapytała i wyrwała mu z ręki pieniądze. – Mam nadzieję, że to wystarczy na bilety powrotne! – dodała i klapnęła na ławce obok torby. Z kieszeni wyciągnęła tajemnicze zaproszenie. – Podoba ci się jej imię? Madame la Directeur! Założę się, że jest piękna i inteligentna – dodała.

Podczas gdy paplała o tym świstku, księżyc zniknął za chmurą.

Chmurą? Czy to mogła być ta chmura? Blaszany dach nie

zapewniał żadnej ochrony! Czy chmura się przysunęła? Chłopiec na wszelki wypadek wpełznął pod ławkę.

– Homer? Co ty robisz?

– Nic.

– Jesteś dziiiiwny! – Otworzyła przewodnik po muzeum. – Zastanawiam się, w której części budynku odbędzie się przyjęcie. Mam nadzieję, że w Sali Afrykańskich Ssaków. Jak sądzisz, ile czasu zajmuje wypchanie żyrafy?

Homer marzył o tym, żeby się zamknęła. W sadzie wiśniowym, gdzie spotkał Ajitabha, chmura wydawała charakterystyczny odgłos. Gdyby usłyszał go gdzieś pomiędzy słowami siostry, wiedziałby, że mężczyzna próbuje się do nich podkraść. Niestety Gwendolyn mówiła i mówiła o sprawach, które go kompletnie nie interesowały.

Miejsca pod ławką było niewiele, a cement okazał się szorstki i zimny. Chłopiec położył głowę na ciepłym boku Psa. Przez jego myśli przemykały, a wręcz przemaszerowywały kolejne przerażające koszmary – otwarty pysk żółwia ludożercy, ręce wystające z chmury, rzędy płonących książek. „Pomyśl o czymś przyjemnym”, powiedział sobie. Lecz choć próbował wyobrazić sobie jakiś przyjemny widoczek, oczami wyobraźni wciąż widział płomień szalejący po bibliotece. Zacisnął powieki i pozwolił, żeby twarz wuja Drake’a szczelnie wypełniła jego umysł.

Homer znał każdy szczegół jego twarzy, bo wpatrywał się w nią podczas niezliczonych godzin wysłuchiwania opowieści – niechlujne wąsiska, długi nos, poszarpana blizna w dolnej części brody. Najlepiej jednak pamiętał, jak brązowe oczy wuja Drake’a spoglądały rozbiegane to tu, to tam. Zerkały na boki zawsze wtedy, gdy mężczyzna opowiadał najbardziej emocjonującą część historii.

– Żałuję, że tego nie widziałeś, Homer. Przysięgam, że ta przepaść nie miała dna. Gdyby lina pękła kilka sekund wcześniej, byłoby już po mnie!

Gwizd pociągu rozwiął wspomnienia chłopca. Zaskoczony uderzył głową w dolną część ławki. Pies przetoczył się na brzuch i rozejrzał. Warkotanie lokomotywy robiło się coraz głośniejsze, aż w końcu białe światło rozświetliło niewielki peron. Gwendolyn poderwała się na

równe nogi.

– Chodź, Homer! – zawołała, machając w stronę zbliżającego się pociągu.

Chłopiec wypełznął spod ławki w chwili, gdy czarny pociąg w kłębach pary wjechał na stację. Konduktor wyskoczył na zewnątrz.

– Dokąd jedziecie? – zapytał.

– Do Miasta – odpowiedziała Gwendolyn.

Mężczyzna rozejrzał się, po czym zsunął czarną czapkę z czoła.

– Dzieci zazwyczaj nie podróżują same o tej porze. Ktoś w Mieście będzie na was czekał?

– Ach... tak. – Skłamała dziewczynka. – Zatrzymamy się u... naszej ciotki.

– Macie pieniądze na bilety?

– Tak.

– Więc wsiadajcie. Musimy trzymać się rozkładu!

Gwendolyn nie wahając się nawet chwili, sięgnęła po torbę i wdrapała się na metalowe schodki. Nogi Homera odmówiły posłuszeństwa. Naszły go wątpliwości. Czy na pewno postępował słusznie? Miasto leżało bardzo daleko. Może powinien wrócić do domu? Przecież wciąż był jeszcze dzieckiem! Czy nie należało poczekać jeszcze parę lat ze spełnianiem obietnicy złożonej wujkowi? Pani Peepgrass wścieknie się, jeśli nie zobaczy go w szkole z powodów innych niż zaraźliwa wysypka czy gorączka. A jego rodzice będą się martwić, choć zostawił im na poduszce kartkę: „Nie martwcie się. Zamierzam wszystko naprawić”.

– Urrr! – Pies postawił swoje przednie łapy na pierwszym schodku pociągu i próbował się podciągnąć. – Ur, ur, ur, ur, ur!

Podskakiwał na swoich krótkich łapkach i śmiesznie kręcił zadkiem.

– Wygląda na to, że twój pies też ma ochotę na przejażdżkę – stwierdził konduktor.

– Ur, ur, ur, ur, ur!

Pies ze wszystkich sił starał się dostać na schodki. Czy wiedział, że potrzebuje nowego domu?

– Masz rację, Psie – powiedział Homer, odsuwając wątpliwości na

bok. – Dotarliśmy aż tutaj, więc możemy ruszyć dalej – dodał, po czym wsunął mu ręce pod brzuch, wziął głęboki oddech i wtargał Psa na schody.

Po chwili szli już za Gwendolyn do słabo oświetlonego wagonu. Konduktor dmuchnął w gwizdek i pociąg ruszył ze stacji.

– Za psa też trzeba będzie zapłacić – oświadczył konduktor z drugiego końca wagonu.

Wokół panował mrok i wyglądało na to, że byli jedynymi pasażerami.

– Co?! – zawołała dziewczynka, przesuwając się do okna. – Ale on będzie siedział na ziemi!

– Dla mnie może siedzieć nawet na suficie.

Gwendolyn splotła ręce na piersiach.

– Ale to tylko głupi pies. Nawet nie ma węchu!

– Nieważne, co ma, a czego nie ma. Trzeba za niego zapłacić. Za te zwierzęta też.

Mężczyzna wskazał jej torbę, z której spozierały trzy pary szklanych oczu.

– Ale one już nie żyją! – zaprotestowała dziewczynka. – Wszystkie już nie żyją!

– Och – stwierdził konduktor i zaczął się bawić gwizdkiem. – No dobrze, nie policzę za nie, skoro nie żyją. Ale pies nie jest martwy i dlatego trzeba za niego zapłacić! – dodał i wyciągnął trzy bilety. – Dwoje nieletnich i jeden pies, trasa z Mlecznej Doliny do Miasta. Trzydzieści dolarów się należy!

Homer podszedł bliżej.

– Ale my mamy tylko dwadzieścia dolarów.

Mężczyzna tupnął czarnym butem.

– Chcesz powiedzieć, że rodzice wysłali was na stację bez odpowiedniej ilości pieniędzy? – zapytał i pochylił się nad chłopcem. – Chyba nie uciekliście z domu, prawda?

Homer wstrzymał oddech, próbując przypomnieć sobie kłamstwo Gwendolyn.

– Jedziemy do naszej...

– Naszej ciotki – dodała siostra.

– No cóż, wciąż brakuje wam dziesięciu dolarów – stwierdził konduktor.

– Zaraz. Nie policzyliśmy drobnych – oznajmiła dziewczynka i wyciągnęła z kieszeni monety, które dał jej Homer.

– Pięć, trzydzieści, pięćdziesiąt pięć... Zaraz, a co to? Wygląda na złoto. I ma z tyłu jakieś literki! – Homer jęknął, widząc, że siostra wymachuje przed oczami konduktora jego monetą. – Czy to wystarczy za przejazd?

– To moje! – zawołał, przeskakując nad Psem. – Nie zamierzałem ci tego dawać. Oddawaj! – Próbował złapać siostrę za rękę, ale odsunęła ją na bok. – Gwendolyn, proszę!

Rzucił się na nią, wpychając ją na okno. Moneta wypadła jej z ręki i przeleciała nad siedzeniem, żeby wylądować w innej części wagonu.

– Zejdź ze mnie, Homer! – Odepchnęła go siostra. – Prawie mnie zmiażdżyłeś!

Chłopiec rzucił się na podłogę, próbując znaleźć swój skarb.

– Gdzie to jest? Gdzie się podziało? – Zajrzał pod siedzenia, a potem na korytarz między nimi. – Gdzie to jest? – Ręce i kolana miał czarne od kurzu i sadzy. – Muszę to znaleźć!

Wsadzał głowę pod kolejne siedzenia.

Wszędzie leżały opakowania po gumach, paczki po chipsach ziemniaczanych oraz wyplute miętusy, ale złotej monety nigdzie nie było.

– Jeśli nie możecie zapłacić za przejazd, będę musiał wysadzić was na najbliższej stacji – powiedział poirytowany konduktor.

Homerowi ze złości do oczu napłynęły łzy.

– Przepadła! Zgubiłaś ją, Gwendolyn! Wujek Drake dał mi ją, a ty ją zgubiłaś! – Niechcący wymusnęła mu się ważna informacja. – ZGUBIŁAŚ JĄ!

– Urrr?

Pies przechylił łeb. Potem dotknął nosem podłogi i zaczął węszyć. Gdy dotarł do ostatniego rzędu pogrążonego w całkowitych ciemnościach, węszenie przeszło w posapywanie.

– Psie?

– Ostrożnie, dziecko! – wtrącił się konduktor. – Tam nie działa



oświetlenie.

– Pies!

Homer wyjął z kieszeni latarkę i popędził na koniec wagonu. Pies leżał na grzbiecie, tuż przy ostatnim rzędzie siedzeń, i kołysał się na boki. Potem podniósł się i zaczął drapać w coś łapą.

Chłopiec wycelował latarkę w tę stronę.

– Hej, znalazłeś ją! – powiedział, kiedy w promieniu światła pojawił się znajomy przedmiot.

Jednak choć pies grzebał i grzebał, nie mógł jej uwolnić. Moneta ugrzęzła bowiem między dwoma największymi butami, jakie Homer kiedykolwiek widział.

## Rozdział 14

### Dama z wyższych sfer

Nie wypada wyśmiewać się z ludzi tylko dlatego, że mają duże stopy. Na świecie żyje wiele inteligentnych, miłych i utalentowanych osób, które mają stopy niczym dinozaury. I często są straszliwie zakłopotani, kiedy przez ich stopy drzwi windy nie chcą się zamknąć albo gdy muszą stać bokiem na schodach ruchomych bądź wystawiać nogi przez szyberdach w samochodzie.

Pies zaskamlał i podrapał olbrzymie buty. Kawalki zaschniętego błota opadły na podłogę.

Homer, wciąż skulony, pomyślał, że być może uda mu się wygrzebać monetę za pomocą szwajcarskiego scyzoryka, i to zanim właściciel butów się zorientuje. Kiedy jednak sięgnął do kieszeni, z góry dobiegł go jakiś syczący dźwięk. Nagle tuż nad nim zapaliła się lampa.

– Lubisz siedzieć na podłodze? – zapytał ktoś barytonem. – Ja siadam na niej tylko wtedy, gdy jestem zbyt smutna, żeby usiąść na kanapie. Kiedy jestem bardzo smutna, chodzę na długie spacery. Noc idealnie nadaje się na długie, smutne spacery.

Homer odchylił się do tyłu, żeby zobaczyć, kto do niego mówi.

Ta osoba ciągnęła się w górę niemal w nieskończoność – drogi czarny płaszcz kończył się aż pod sufitem, gdzie znajdowała się też głowa.

Chłopiec chrząknął, po czym zaczął mówić bardzo, bardzo głośno, tak aby na górze było go dobrze słychać.

– Przepraszam, że panią kłopotam, ale to jest moje – stwierdził i wskazał palcem monetę.

Kobieta postawiła lampę na siedzeniu, tuż obok siebie. Potem pochyliła się do przodu. Jej długie, srebrne włosy załaskotały Homera po twarzy.

– To?

Pies przestał drapać, kiedy podniosła nogę i chwyciła monetę palcami wielkości hot dogów. Obejrzała ją z jednej strony, a potem

z drugiej, a wreszcie podała Homerowi.

– Dziękuję!

Chłopiec ścisnął swój skarb spoconą dłonią i przysiągł sobie w myślach, że już nigdy go nie zgubi.

Kobieta spojrzała na Homera. A Homer spojrzał na kobietę. Pies spojrzał na karalucha, który przechodził obok, a potem go zjadł.

– Hej! Wciąż jesteście mi winni dziesięć dolarów! – powiedział konduktor, zbliżając się do tylnego rzędu. – Jeśli nie zapłacicie, wysadzę was na następnej stacji.

Kobieta przechyliła głowę, obserwując Homera jakby był co najmniej artemią leżącą na okrągłym naczynku laboratoryjnym.

– Chcesz być wysadzony na następnej stacji? – zapytała, unosząc olbrzymie brwi.

Chłopiec pokręcił głową. Nigdy jeszcze nie spotkał kobiety o tak niskim głosie. Brzmiała prawie jak pan Fitzwaller, który występował w chórze Mlecznej Doliny. Śpiewał, stojąc w ostatnim rzędzie.

– Następna stacja to rzeczywiście okropne miejsce. – Nieznajoma wyprostowała się i sięgnęła do czarnej torebki. – Konduktorze, ten chłopiec nie chce wysiąść na następnej stacji. W związku z tym zapłacę za niego – stwierdziła i podała mu banknot dziesięciodolarowy.

Mężczyzna dał Homerowi trzy bilety i przeszedł do kolejnego wagonu.

Homer spojrzał w głąb wagonu. Gwendolyn, zajęta układaniem zwierząt w torbie i zastanawianiem się, które z nich robi największe wrażenie na Madame la Directeur, najwyraźniej zapomniała o swoim bracie.

Chłopiec wsunął bilety do kieszeni.

– Jeszcze raz dziękuję! – powiedział i wymknęło mu się pytanie: – Pochodzi pani z Islandii?

Miał powody wierzyć, że kobieta właśnie tam się urodziła, ponieważ na ósme urodziny dostał od wujka książkę *Dawno Zapomniane Krainy* z dołączonymi mapami w kolorze sepii, wydrukowanymi na specjalnym papierze. Jego ulubiona nazywała się *Ziemia gigantów*. Według autorów rozdziału rasa bardzo wysokich

ludzi zamieszkiwała kiedyś Islandię. Pomędzy wulkanami wybudowali kopalnie, w których wydobywali szmaragdy, szafiry i rubiny.

Kobieta splotła na piersiach swoje gargantuiczne ręce.

– Nie pochodzę z Islandii. A ty jesteś stamtąd?

Chłopcu zaczął cierpnąć kark, więc usiadł naprzeciwko nieznajomej.

– Ja pochodzę z Mlecznej Doliny. Myślałem, że pani pochodzi z Islandii, bo jest pani... – Zawahał się, bo nie chciał jej urazić.

– Chyba rozumiem, do czego zmierzasz. – Naciągnęła płaszcz na ramiona. – Podejrzewasz, że jestem gigantem. No cóż, jestem, ale nie takim, o jakim myślisz. Urodziłam się z pewną wadą, która sprawiła, że bardzo szybko rosłam. Tak samo jak twój pies urodził się z wadą, która uniemożliwiła mu rośnięcie.

– On ma wadę?

– Psy tej rasy cierpią na pewną formę karłowatości. To dlatego mają nieproporcjonalnie krótkie łapki.

Pies zrobił kilka kółek, a potem położył się u stóp Homera.

– Kończyny rzeczywiście ma dość krótkie – stwierdził rzeczowym tonem chłopiec. – A właściwie to lubi pani psy? Ten jest naprawdę miły i potrzebuje nowego domu. Tata nie chce, żebym go zatrzymał.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Nie trzymam zwierząt w domu. Za często na nich siadam. Oczywiście nie celowo. Twój pies całkiem dobrze wygląda. Jestem przekonana, że ktoś go na pewno przygarnie.

– Mam taką nadzieję. – Homer wyciągnął rękę i poklepał go po łbie. – Choć może to być niełatwe. On nic nie czuje.

– Wszyscy mamy jakieś wady. – Kobieta wyjrzała za okno. Ciemność uciekała do tyłu. – Ja nie mogę jeździć na diabelskim młynie. Po prostu się nie mieszczę – przyznała.

W kąciu jej prawego oka zabłysła łza.

Chłopiec przypomniał sobie diabelski młyn, który widział podczas targu w Mlecznej Dolinie, ze wszystkimi światełkami i z muzyką z głośników. Kiedy znalazł się w jego najwyższym punkcie, czuł się niemal tak, jakby latał.

– Diabelskie młyny wcale nie są fajne. – Skłamał.

– Dziękuję, że próbujesz poprawić mi humor, ale i tak czuję się równie smutna co zawsze. – Łza zakręciła się w kąciku jej oka, po czym spłynęła na potężny policzek. – Jest tak wiele rzeczy, których nie mogę robić. Nie mogę jeździć konno. Nie mogę nawlec igły ani wejść do windy. Nie mogę się zakraść do kogoś.

Homer bardzo jej współczuł. Smutek wypełnił dzielące ich puste miejsce i szarpnął za jego serce.

– Ja nie mogę grać w piłkę nożną – przyznał się. – Nie jestem dość szybki, wszyscy bez trudu mnie kiwają. Nie mogę wygłaszać referatów, bo moje serce zaczyna bić tak głośno, że przestaję siebie słyszeć. I nie mogę chodzić do biblioteki, bo narobiłem sobie kłopotów i tata mi tego zakazał! – Chłopiec zagryzł dolną wargę. Zamierzał się przyznać do czegoś całkowicie obcej osobie, ale czuł, że ona go zrozumie. – Biblioteka zresztą spaliła się... – dodał i wzdrygnął się, gdy płomień wściekle zapłonął w jego głowie. – To był wypadek, ale ja ponoszę za to odpowiedzialność.

– Spalenie biblioteki to straszna rzecz. – Wysoka kobieta wciąż patrzyła przez okno. – Ja też robiłam straszne rzeczy. Trudne do opisanie. Ale nie nazwałabym ich wypadkami. – Obróciła głowę tak szybko, że chłopiec podskoczył do góry. – Schowaj tę monetę w bezpiecznym miejscu. W Mieście nie brakuje złodziei – dodała i sięgnęła do torby. Wyjęła z niej pudełko zapalek. – Jeśli wsuniesz monetę do środka, będzie bezpieczna. Żaden złodziej nie ukradnie pudełka zapalek.

Homer uśmiechnął się nerwowo, lecz wziął pudełko. Na obwołucie zobaczył napis „Sklep z błyskotkami Zeldy”. Kobieta patrzyła, jak chowa monetę do pudełka, a później wsuwa je do kieszeni. Wydawało mu się, że to dobry pomysł. Może nie tak genialny jak ukrycie jej pomiędzy płatami skóry basseta, ale wciąż dobry.

Parowóz zagwizdał i pociąg zwolnił.

– Ponure Trzęsawiska. – Z korytarza dobiegł ich głos konduktora. – Kto wysiada w Ponurych Trzęsawiskach? – Zapiszczały hamulce i pociąg zatrzymał się.

– Tu właśnie jechałam. – Wysoka kobieta sięgnęła po torbę

i lampkę, a potem podniosła się z siedzenia i pochyliła, żeby nie uderzyć głową o sufit. – Miło było cię poznać, Homerze Puddingu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział.

Kiedy kobieta wysiadła, wrócił do siostry. Pies przyszedł za nim, ciamkając gumę do żucia, którą ktoś wyrzucił.

– Znalazłeś monetę? – zapytała Gwendolyn, wycierając z kurzu wypchane szczury.

– Tak.

– Dałeś ją konduktorowi?

– Nie. Ale bilety już mamy, więc się nie martw. – Homer poruszył nogami. – Hej, Gwendolyn. Czy mogłabyś nie mówić nikomu o tej monecie? To znaczy nie wspominać, że mam ją od wujka Drake'a?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Mam gdzieś tę głupią monetę.

Homer usiadł przy oknie, naprzeciwko swojej siostry. Na zewnątrz, na skraju stacji kolejowej w Ponurych Trzęsawiskach potężna kobieta uniosła lampę i spojrzała na Homera. Pomachała mu. A Homer jej odmachał. Potem owinęła się czarnym płaszczem i zniknęła wśród kłębów pary. Miło, że zapłaciła za nich. Kiedy pociąg ruszył, chłopiec zaczął się zastanawiać, jakie straszne rzeczy, wręcz nie do opisania, zrobiła w swoim życiu. A potem poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

Nazwała go Homerem Puddingiem. A przecież on wcale jej się nie przedstawił.

## Rozdział 15

### Dziewczyna od zupy pomidorowej

Homer.

Chłopiec potarł oczy. Zły sen wyparował, pozostawiając w jego pamięci parę obrazów – płomienie i wyjące syreny, a potem jeszcze więcej płomieni. Początek Psa tkwił na jego kolanie, lecz dzięki uniesionemu podłokietnikowi zajmował również sąsiednie siedzenie. Spływająca z jego pyska ślina zmoczyła rękaw jego płaszcza.

– Co się dzieje? – zapytał chłopiec.

– Jesteśmy na miejscu – odpowiedziała Gwendolyn.

Homer przycisnął zaspaną twarz do okna. Przed jego oczami przesuwwały się wysokie budynki oświetlone przez lampy uliczne i pierwsze promienie wschodzącego słońca. Ceglany blok za ceglany blokiem, cement, żelazo i stal, szarość, chłód i rygor. Rodzinne miasteczko z nakrapianymi wzgórzami i rzucającymi przyjemny cień drzewami wydawało się takie odległe!

Konduktor przemaszerował przez wagon.

– Następny przystanek: Miasto. Przygotować się do wysiadki!

Nerwowy skurcz zatrząsł żołądkiem Homera. Chłopiec miał sporo do zrobienia, ale nawet nie wiedział, od czego zacząć.

Pociąg zatrzymał się z piskiem. Homer uwiązał Psa na smyczy i wyszedł za siostrą na stację.

Rozpędzeni, kłębiący się ludzie wypełniali niemal cały dworzec. Wchodzili i wychodzili, nieśli walizki i plecaki, przepychali się obok niego, a kilku nawet potknęło się o Psa.

Przed budynkiem było jeszcze głośniejsze. Ciężarówki trąbiły, sprzedawcy wydzielali się, a silniki wyły. Chłopiec czuł się tak, jakby hałas uderzył go w ucho. Potężny smród wymierzył mu z kolei cios w nos. Nadleciał od strony rzędu taksówek beczynnie stojących przy chodniku, nieustannie wypływających spaliny z rur wydechowych.

– Błę! – sapnęła Gwendolyn, zasłaniając nos.

Ponieważ o tej porze roku w Mlecznej Dolinie powietrze pachniało słodkim aromatem kwiatów owocowych i świeżo ściętej trawy,

oddychanie należało do przyjemnych czynności. Homer nie wiedział więc, że jeśli w Mieście weźmie głęboki oddech o tej porze roku i w sumie o każdej innej, to istnieje szansa, że nabierze się w płuca spalin i umrze, kaszląc.

– Przestań kaszleć. Zawstydzasz mnie – stwierdziła Gwendolyn, zarzucając torbę na ramię. – Przepraszam! – zwróciła się do przechodzącego obok mężczyzny w garniturze w kratkę. – Którędy do Muzeum Historii Naturalnej?

– Dwadzieścia siedem przecznic w tę stronę – odpowiedział, przechylając głowę.

Dwadzieścia siedem przecznic? Homer nie zdawał sobie sprawy, że Miasto jest tak rozległe. Tuż obok przemknął samochód dostawczy. Chłopiec znów zaczął kaszleć, a do oczu napłynęły mu łzy. Kiedy zdołał się uspokoić, jego siostra była pół przecznicy dalej.

– Chodź! – szarpnął za sznurek.

Szedł jednak powoli, bo Pies uznał za absolutną konieczność nasikać na wszystko dookoła. Podnosił swoją krótką nóżkę do góry przy żelaznym płocie, hydrancie i pojemniku na śmieci.

– Gwendolyn! – zawołał Homer. – GWENDOLYN!

Dziewczynka zatrzymała się i zaczęła na niego.

– Nie chcę iść jeszcze do muzeum – oświadczył, kiedy do niej dotarł. – Muszę znaleźć bibliotekę.

– Szkoda!

Owinęła rękami torbę. Kiedy przechodzili przez ruchliwe skrzyżowanie, samochody zaczęły trąbić.

– Muszę przeprowadzić pewne badania – naciskał chłopiec.

– Twoja sprawa. Zajmiesz się tym później!

– Ale ja muszę zrobić to teraz, zanim... – „Zanim znajdzie mnie niejaki Ajitabh”. – Zanim rodzice przyjadą po nas.

– Tata nie przyjedzie po nas. Powiedział, że jego noga nigdy nie postanie w Mieście. A mama nie opuści domu, bo opiekuje się Piskiem.

– Ale ja muszę...

Gwendolyn zarzuciła włosami tak, że wzbily się w powietrze.

– To najważniejszy dzień w całym moim życiu, Homer, a ty



próbujesz go zrujnować. Nie zamierzam spóźnić się na imprezę, słyszysz? Nie zamierzam jej przegapić tylko dlatego, że chcesz iść do biblioteki!

Homer przyzwyczał się, że jego siostra zachowuje się w taki właśnie sposób. Zazwyczaj nie przejmował się tym, że chciała pierwsza wejść do łazienki albo osobiście wybrać film, który mieli oglądać. Wiedział, że próba wygrania z nią kłótni przypominała poszukiwanie skarbu na własnym podwórku. Teraz jednak stawka była większa niż pełny pęcherz czy nudny pokaz w kinie.

– Przyjęcie jest dopiero o dziesiątej wieczorem.

– No i co z tego?

– To, że mamy mnóstwo czasu.

– A jeśli się zgubimy? Albo zostaniemy zaczepieni przez policjanta, który będzie chciał się dowiedzieć, dlaczego nie poszliśmy do szkoły?

– Gwendolyn postawiła torbę na chodniku i położyła ręce na biodrach. – To zbyt ryzykowne. Idziemy prosto do muzeum. Tam zaczekamy na przyjęcie.

Homer zacisnął pięści.

– Dotrę na czas. Nie martw się. Obiecuję.

Dziewczynka zacisnęła usta. Co powinna zrobić? Potrzebowała go. To przecież jego imię znajdowało się na zaproszeniu.

– DOBRZE! Idź, przeprowadź te swoje głupie badania, ale masz się pojawić przed dziesiątą w muzeum, bo jak nie... – Nachyliła się nad nim i obniżyła głos. – Powiem ojcu, że poszedłeś do biblioteki!

– Już mówiłem, że dotrę na czas.

– Lepiej, żeby tak było. – Gwendolyn przerzuciła torbę przez ramię i ruszyła dalej.

Homer patrzył, jak zdeterminowana brnie przed siebie, mocno stawiając kolejne kroki. Mieli różne interesy, co do tego nie było wątpliwości, jednak łączyło ich to, że podążali za swoimi marzeniami. Nic nie mogło przeszkodzić Gwendolyn! Homerowi bardzo się to podobało.

Podniósł rękę, żeby jej pomachać. Miał nadzieję, że się odwróci, ale szybko zniknęła w tłumie.

Potężne, ciągnące się w nieskończoność budynki sprawiały, że

chłopiec czuł się naprawdę mały. Mógłby zniknąć i nikt by tego nie zauważył. Niemal rzucił się w pogoń za siostrą, bojąc się, czy poradzi sobie w takim głośnym, cuchnącym miejscu.

„Samotność jest przeznaczeniem poszukiwaczy skarbów – powiedział kiedyś wujek Drake. – Nawet jeśli rozpoczniesz poszukiwania w liczonym towarzystwie, tak jak sir Richard, który miał przy sobie opiekunów słoni oraz weterynarzy, to ostateczny test, test wytrzymałości i inteligencji, będziesz musiał zdać sam”.

„Dam radę”, pomyślał Homer, jednak nie poczuł się przekonany, dlatego powiedział na głos:

– Dam radę.

– Ale co? – Nieznajoma dziewczynka uklękła tuż przy Psie i podrapała go po grzbiecie, aż zatańczył na tylnych nóżkach. – Co dasz radę zrobić?

Homer nie odpowiedział. Nie chciał, żeby ktoś go usłyszał.

– Dlaczego twój pies wydaje się taki smutny?

– Po prostu tak wygląda.

Pies wciąż tańczył, a dziewczyna go drapała. Dogadywali się całkiem nieźle.

– Potrzebuje nowego domu – dodał chłopiec. – Znasz kogoś, kto chciałby psa?

Nieznajoma wstała. Okazało się, że byli tego samego wzrostu i oboje nosili dżinsy. Homer miał jednak na sobie zielony płaszcz, dziewczyna zaś czerwony fartuch z napisem Lorelei. Do tego swoje naprawdę krótkie włosy ufarbowała na różowo. W Mlecznej Dolinie nikt takich nie miał.

– Dlaczego nie chcesz go zatrzymać? Jest całkiem fajny.

– Chciałbym go zatrzymać, ale tata się nie zgadza.

– To słabo – stwierdziła i zmierzyła Homera od stóp do głów. – Jesteś turystą?

– Nie wiem. – Chłopiec nie chciał się przyznać, że uciekł z domu.

– Jak to nie wiesz? – Obeszła go dookoła, dokładnie mu się przyglądając. – Albo jesteś stąd, albo nie jesteś stąd.

Jej pytania były coraz bardziej wścibskie.

– Nie jestem stąd.

– Jak masz na imię?

– Homer.

W końcu przestała krążyć i się uśmiechnęła.

– Jak ten pisarz?

– Nie, jak mój dziadek.

– No dobra, Homer, ja jestem Lorelei. Masz ochotę na zupę pomidorową?

Wskazała na wózek, który stał na skraju chodnika. Do wózka przyczepiony był czerwony parasol z wielkim napisem: „Okropnie gorąca zupa pomidorowa”.

– Wyglądasz na człowieka, który ma ochotę coś zjeść. Chcesz coś zjeść?

– Chyba tak.

Kiedy podchodził do wózka, zaczęło mu burczeć w brzuchu. Dziewczyna podniosła metalową pokrywę, spod której buchnęła para.

– Masz pieniądze?

– Nie.

– Nie szkodzi. I tak mam jej dużo – stwierdziła i nalała czerwonego płynu do styropianowej miski. Homer usiadł na ławeczce obok i położył ją na kolanach. – A tu masz łyżkę.

– Dzięki – odpowiedział i zaczął dmuchać na zupę.

Po drugiej stronie ulicy grupka kobiet siedziała przy malowanych stolikach stojących przed piekarnią. Miały na sobie wymyślne kapelusze i piły herbatę z niewielkich filiżanek. Homer nagle zatęsknił za mamą. Kolejny raz dmuchnął na zupę, a potem jej spróbował.

– Całkiem dobra – stwierdził.

Pani Pudding nigdy nie serwowała zup na śniadanie.

Lorelei usiadła obok niego i otworzyła paczkę słonych krakersów. Co jakiś czas częstowała nimi Psa. Z pyska sypały mu się okruszki.

– Okropnie gorąca zupa! – wołała co jakiś czas, ale nikt do niej nie podchodził. – Większość ludzi woli hot dogi z dodatkami, wiesz? W Mieście roi się od wózków z hot dogami.

Homer żałował, że w Mlecznej Dolinie nie było wózków z hot dogami. Zjadł jeszcze dwie porcje zupy, podczas gdy Pies pochłonał

sześć paczek krakersów. Lorelei podciągnęła nogi i położyła je na ławce.

– Homer to jeden z moich ulubionych pisarzy – powiedziała. – Kocham *Odyseję*, wiesz? Czytałam ją już dziewięć razy. Jej bohater, Odyseusz, odwiedza wiele miejsc i spotyka dziwnych ludzi takich jak Cyklopy czy wiedźma. Czytałeś *Odyseję*?

– Tak. Pani Peepgrass zadała nam ją rok temu. – Pani Peepgrass z reguły dawała im do czytania powieści miłosne o ludziach takich jak Heathcliff czy Scarlett O'Hara. Homera z reguły nie interesowały. Z *Odyseją* było inaczej. – Była całkiem niezła.

– Całkiem niezła? – Lorelei zdjęła nogi z ławki. – To najlepsza książka na świecie. Odyseusz był prawdziwym bohaterem. Opuścił rodzinę, żeby walczyć w wojnie trojańskiej. Próbował później wrócić do domu, lecz napotykał jedno niebezpieczeństwo za drugim. Sądził, że wyjeżdża tylko na chwilę. W rzeczywistości nie było go dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat!

Homer przestał jeść. Tęsknota za domem zawisła nad nim jak jakiś cień.

– To uświadamia nam, że nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. – Dziewczyna zsunęła się na chodnik i podrapała psa po łbie. – Co robisz w Mieście?

Chłopiec odepchnął od siebie czarne myśli.

– Szukam biblioteki. Znasz jakąś?

– Jasne. Chodzę tam bez przerwy. Pokazać ci?

Homer sięgnął pod koszulę i wyciągnął kompas.

– Powiedz mi, w jakim kierunku mam iść, to sobie poradzę.

Lorelei otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i zerwała się na równe nogi.

– Hej, to kompas Galileusza! Skąd go masz? Czy twoi rodzice są bogaci?

Na ustach chłopca pojawił się szeroki uśmiech.

– Wiesz, że to kompas Galileusza?

– Oczywiście, że wiem. To najlepsze kompasy na świecie! Sama miałam jeden, ale gdzieś go posiałam! – Uważnie przyjrzała się jego tarczy. – Próbowałam go odnaleźć. Z milion razy prześledziłam swoje

kroki, ale bez rezultatu. Gdyby do mnie wrócił, nigdy już bym go nie zgubiła – westchnęła, po czym zebrała puste miseczki po zupie i wrzuciła do śmietnika. – Wiesz, w mieście naprawdę łatwo pomylić drogę, nawet jeśli ma się taki fajny kompas. Lepiej będzie, jeśli zaprowadzę cię do biblioteki – dodała, po czym zakręciła zbiornik z zupą i zaczęła pchać przed sobą wózek.

Homer i Pies ruszyli za nią.

Rozmawiając z nią, chłopiec nie czuł się tak zdenerwowany jak podczas spotkania z Carlottą. Lorelei nie przejmowała się tym, że była cała w kurzu, a jej włosy sterczały we wszystkie strony. Nie przejmowała się też tym, że stawiała potężne kroki jak jakiś chłopak. Do tego lubiła czytać i znała się na kompasach. Homer doszedł do wniosku, że to może być najfajniejsza dziewczyna na Ziemi.

– Dlaczego idziesz do biblioteki? – zapytała.

– Muszę coś sprawdzić. – Chłopiec nie był pewny, jak wiele może jej zdradzić. – Odziedziczyłem coś po wujku, który niedawno zmarł.

– To smutne – odpowiedziała. Kółka wózka stukały o chodnik. – Moi rodzice też już nie żyją. Podobnie jak dziadkowie.

– Bardzo mi przykro. – Homer odciągnął Psa od hydrantu. – Z kim teraz mieszkasz?

– Sama.

Jak to możliwe? Czy dziecko z Miasta może mieszkać samo? Chciał o to zapytać, kiedy Pies szarpnął za sznurek.

– Urrr!

Ściągnął go z chodnika i zaprowadził do niewielkiego klombu. Lorelei zatrzymała się, bo zwierzę zaczęło wachać ziemię.

– Nie wiem, dlaczego to robi – przyznał Homer, próbując go odciągnąć. – On stracił węch. Zupełnie nic nie czuje.

– Jeśli rozkopie kwiatki, możesz dostać mandat – stwierdziła Lorelei. – Ja dostałam kiedyś za plucie na chodnik.

Chłopiec nie zdołał odciągnąć Psa od klombu, bo zwierzę weszło za krzew róży i zaplątało sznurek o jego cierniste gałęzie. Kiedy próbował go odplątać, trzasnęły jakieś drzwi. Z budynku tuż obok wyskoczył wysoki mężczyzna. Zatrzymał się na schodach.

– Nigdy więcej! – zawołał ze złością w głosie, po czym zacisnął

pięść i uniósł ją w kierunku okien na górze. – Nigdy więcej nie przyjdę do kancelarii Snooty’ego i Snooty’ego. Słyszycie mnie? Nigdy więcej!

– Chce pan gorącej zupy? – zapytała Lorelei.

Mężczyzna warknął na nią, a potem popędził przed siebie chodnikiem.

Podczas gdy Pies wciąż węszył, Homer przypomniał sobie treść listu.

„Kancelaria prawna Snooty i Snooty z przykrością informuje, że państwa krewny, pan Drake Pudding, został uznany za martwego wskutek ataku apetytu pewnego krwiożerczego gada”.

Właśnie znajdował się przed biurem prawników wujka. Z pewnością wiedzieli, co się stało z należącymi do niego rzeczami.

– Uch, Lorelei – powiedział. – Muszę tu coś załatwić, zanim zajrzę do biblioteki.

– Nie przeszkadzaj sobie. – Wzruszyła ramionami. – Biblioteka jest osiem przecznic stąd w kierunku na północny wschód. Do zobaczenia. Cześć, Pies!

I poszła. Tak po prostu.

– Dziękuję! – zawołał Homer, gdy jej czerwony fartuch zniknął za rogiem.

Żałował, że nie spędził z nią więcej czasu. Była naprawdę miła.

Nagle smycz naprężyła się. Pies zaczął się tarzać w ziemi.

– Hej, uspokój się!

Zwierzę wstało i zaczęło kopać dół. Piach i bratki latały we wszystkie strony.

– Zaraz dostaniemy mandat! – zagroził chłopiec.

Dół szybko urósł i krzew róży się przewrócił. Przechodzący obok ludzie posyłali im nieprzyjemne spojrzenia. Kilka pąków wylądowało na głowie pewnej kobiety, a tulipan wpadł na ulicę. Homer pociągnął z całych sił za sznurek, stracił równowagę i wylądował na chodniku. Ten pies był równie uparty co jego siostra, Gwendolyn!

– Urrr!

W końcu przestał kopać i opuścił klomb. Stał nad Homerem, radośnie machając ogonem. Potem upuścił mu coś na kolana.

## Rozdział 16

### Panowie T. i S. Snooty

Homer podniósł się z chodnika i strzepnął ziemię z płaszcza oraz spodni. Obejrzał broszkę, uważając, żeby nie skaleczyć się zardzewiałą zapinką. Była w kształcie serca. Piach zajmował każdą jej szczelinę, ale po oczyszczeniu powinna być ładna.

– Potrafisz znajdować ciekawe rzeczy – pochwalił Psa i wsunął przedmiot do kieszeni.

Zwierzak zamachał krótkim ogonkiem, a potem kichnął. Ziemia wystrzeliła mu z nosa.

Chłopiec wsadził krzew róży w dołek i nadsypał go dookoła. Zebrał też inne poprzewracane rośliny i oczyścił klomb. Potem ruszył w stronę budynku. Przy schodach Pies zawahał się.

– Urrr!

– Nie martw się – uspokoił go Homer. – Nie chcę cię zwrócić. Obiecuję, że nigdy tego nie zrobię. Chcę tylko zadać Snootym jedno pytanie.

W zimnym, błyszczącym lobby budynku nie było nikogo. Chłopiec rzucił okiem na tablicę wiszącą na przeciwległej ścianie. „Kancelaria Palca i Dżemu, piętro 3. Kancelaria Ogórka i Kopra, piętro 18. Kancelaria Livingstona, Szwindla i Cytrynowki, piętro 25. Kancelaria Snooty’ego i Snooty’ego, piętro 32”.

Pies z trudem utrzymywał równowagę na śliskiej, marmurowej posadzce. Drapał ją swoimi małutkimi pazurami, próbując utrzymać kierunek marszu. Poślizgnął się dopiero przy fontannie i wjechał do pustej budki pucybuta. Kiedy się cofał, Homer złapał go za obrozę, żeby przypadkiem nie wyślizgnął się na zewnątrz. Potem chłopiec nacisnął guzik windy. Gdzieś w górnej części budynku rozległ się odgłos przypominający miażdżenie i kabina powoli zjechała.

Chłopiec nerwowo się wiercił. Nigdy jeszcze nie był w kancelarii prawnej ani też na trzydziestym drugim piętrze. W Mlecznej Dolinie nie było wind. Najbliższa znajdowała się w domu handlowym w sąsiednim miasteczku, ale wjeżdżała tylko na pierwsze i zarazem

ostatnie piętro.

Homer po raz kolejny nacisnął guzik. Z pewnością Snooty i Snooty będą wiedzieli, gdzie podziały się pozostałe rzeczy wujka. Przecież książki i sprzęt do poszukiwania skarbów nie mogły tak po prostu rozpląnąć się w powietrzu.

W końcu podwójne drzwi otworzyły się.

– Chodźmy – powiedział chłopiec i wszedł do pustej kabiny.

Pies, przebierając tylnymi łapkami niczym łyżwiarz, wsunął się za nim do środka.

Homer nacisnął guzik z numerem 32. Z sufitu dochodziła dziwna muzyka. Była to rytmiczna, lecz pozbawiona słów melodia. *Wa wa la la la la twing twing.*

Drzwi zaczęły się zamykać.

– Zatrzymać windę! – Rozległ się czyjś donośny głos.

Homer i Pies wcisnęli się w kąt, gdy muskularny mężczyzna wsunął aktówkę między drzwi, po czym wsunął się do środka. Zajął tak dużo miejsca, że chłopiec widział jedynie niebieskie paski jego garnituru.

– Trzymajcie się mocno! – ostrzegł nieznajomy, naciskając guzik. – Ta winda ma temperament.

Jak na zawołanie kabina uniosła się dobry metr do góry, a potem gwałtownie opadła na dół. Uszy Psa załopotwały nad jego łbem, a Homer odbił się od pleców mężczyzny.

Ten po raz kolejny nacisnął guzik.

– Przygotujcie się. Wygląda na to, że czeka nas niezwykła przejażdżka.

Winda ruszyła w górę, tym razem wznosząc się nieco wyżej. Potem jęknęła wyczerpana i opadła do lobby. Znajdująca się w brzuchu Homera zupa pomidorowa wykonała efektowne salto.

Mężczyzna naciskał na guzik kilka razy.

– Mam nadzieję, że nie zatłucze nas na śmierć tak jak biednego pana Lovelorda.

– Och, przepraszam – powiedział Homer, próbując się przepchnąć obok niebieskich pasków. – Chyba skorzystamy ze schodów.

– Tu nie ma schodów!

Winda podskoczyła po raz kolejny, po czym zaczęła się wspinać



powoli na górę. Jej kabel przez cały czas piszczał. Chłopiec zaparł się o ścianę. Pies zaskamlał i wcisnął się pomiędzy jego nogi.

Pisk. Skrzyp. Trzask.

– Widzę, że jedziecie na trzydzieste drugie piętro – stwierdził mężczyzna, zerkając przez ramię. – Macie jakąś sprawę do Snooty’ego i Snooty’ego?

– Snooty’ego i Snooty’ego! – Głośnik wydał z siebie dźwięk, który przypomniiał chłopcu odgłos kurczaków wykluwających się z jajek.

– Weźcie moją wizytówkę. Może wam się przydać, jeśli w drodze powrotnej spotka was jakieś nieszczęście. Snooty nie zajmuje się tego typu sprawami. – Nieznajomy wręczył Homerowi wizytówkę z napisem „Pan Koper, prawnik specjalizujący się w sprawach urazów oraz nieproszonych gości”. – Może i to wam się przyda – dodał, wyciągając z aktówki katalog i podając go chłopcu. „Stout i Poręczny: eleganckie ubrania dla eleganckich mężczyzn”. – Pierwsze wrażenie jest kluczowe, młody człowieku. To, że pochodzisz ze wsi, jeszcze nie oznacza, że musisz wyglądać jak ktoś pochodzący ze wsi.

W końcu kabina się zatrzymała. Zapalił się przycisk z liczbą osiemnaście. Gdy otworzyły się drzwi, fluorescencyjna poświata rozbłysła na suficie.

– Pamiętaj o mojej wizytówce – powiedział pan Koper. – Może ci się przydać – dodał i wyszedł z windy.

Zanim Homer zdążył uciec, drzwi się zamknęły.

– Zaczekaj! – zawołał.

Winda zadrżała tak gwałtownie, że chłopiec upuścił katalog i osunął się na podłogę. Objął drżącego Psa.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziały jego usta, choć umysł powtarzał „Zaraz zginiemy!”.

Poszukiwacze skarbów giną bez przerwy. To bardzo ryzykowne zajęcie. Inne związane z nim zagrożenia obejmują utratę kończyny, egzotyczną wysypkę oraz odrzucenie przez rodzinę i przyjaciół, którzy uważają cię za dziwaka. Jednak śmierć stanowi największe niebezpieczeństwo, bo kiedy się umiera, to później już się nie żyje.

Powszechnie wiadomo, że poszukiwacze skarbów rzadko umierają w tradycyjny sposób, na przykład z powodu zaawansowanego wieku

bądź długiej choroby. Milicent Smith umarła w pożarze. Na sir Richardzie usiadł jego słoń. Rumpold Smeller zginął zmuszony do spaceru po desce. Drake Pudding został pożarty przez gigantycznego żółwia. Jednak żaden poszukiwacz skarbów, przynajmniej według wiedzy Homera, nie zginął w windzie. To takie niesprawiedliwe, że zginie już pierwszego dnia swojej pierwszej misji. Przecież nie znalazł jeszcze nawet kawałka skarbu!

Zacisnął ręce wokół Psa. Kabina wznosiła się coraz wyżej, lecz przez te wszystkie piski, skrzypienia i wstrząsy zachciało mu się wymiotować. Futrzak dyszał. Kabel windy trzeszczał.

– Trzymaj się – szepnął Homer, zamykając oczy. – Już prawie jesteśmy na miejscu.

W końcu kabina zatrzęsała się, zadrżała konwulsyjnie co najmniej kilka razy i zatrzymała się. Wręcz zamarła. Nawet muzyka przestała grać! Zapalił się za to przycisk z liczbą trzydzieści dwa. Potem winda wydała z siebie przyjemny „ding”, zupełnie jakby była najmiłszą, najbardziej cywilizowaną windą na świecie, i drzwi się otworzyły.

Homer i Pies, potykając się o siebie, wypadli jak dwie bomby na zewnątrz.

Jeszcze nigdy w swoim dwunastoletnim życiu Homer Winslow Pudding nie cieszył się tak bardzo, kiedy poczuł pod nogami twardy grunt. Poczekał, aż żołądek mu się uspokoi, i rozejrzał się po recepcji. Na drzwiach w głębi zobaczył napis „Zakaz wstępu. Pomieszczenie prywatne”. Po ich obu stronach wisiały portrety w złotych ramach. Pierwszy przedstawiał starego mężczyznę w lokowanej peruce i czarnej todze. „Constantine Snooty”. Drugi przedstawiał tego samego starego mężczyznę w tej samej lokowanej peruce i czarnej todze. „Thermopolie Snooty”.

Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowało się puste biurko z napisem „Zadzwoń, jeśli potrzebujesz pomocy”.

Homer zadzwonił.

Nikt nie przyszedł, żeby mu pomóc. Chłopiec stał przez chwilę przed biurkiem, nerwowo przebierając nogami. Potem podniósł plaketkę z napisem „Pan Twaddle, sekretarz”. To był ten sam człowiek, który dostarczył listy na farmę Puddingów! Homer sięgnął

po ramkę z fotografią przedstawiającą pana Twaddle'a w kąpielówkach w kwiatki, ściskającego orzech kokosowy ze słomką.

– Pamiętasz tego gościa? – zapytał, pokazując Psu zdjęcie.

Futrzak stanął na tylnych łapkach i podrapał kieszeń płaszcz Homera.

– Urrr!

Potem podrapał ją ponownie.

– Co chcesz? To? – zapytał Homer, wyciągając broszkę w kształcie serca. Futrzak klapnął na podłogę i zamerdał ogonkiem. – Myślę, że mogę ci to dać. W końcu to twój skarb – zdecydował, po czym zabezpieczył igłę broszki i podał ozdobę Psu.

Zwierzę ostrożnie zaniósło przedmiot na drugą stronę sali i upuściło pod drzwiami z napisem „Zakaz wstępu. Pomieszczenie prywatne”. Potem usiadło i zaczęło się wpatrywać w drzwi.

„Ten pies zdecydowanie dziwnie się zachowuje”, pomyślał Homer i znów zadzwonił. Pan Twaddle najwyraźniej lubił wakacje, bo jedno zdjęcie przedstawiało go w kombinezonie narciarskim, drugie na koniu w miejscu zwanym Ranczo Kolesia, a trzecie na statku pasażerskim.

Chłopiec podniósł fotografię, na której pan Twaddle, ubrany w prążkowany garnitur, stał przed półką pełną jakichś książek.

Homerowi zdjęcie wydało się dziwnie znajome. Przyjrzał mu się bliżej i przesunął wzrokiem po grzbietach kolejnych tomów. Westchnął. To były książki poświęcone poszukiwaniu skarbów. Homer uderzył w dzwonek. A potem dzwonił nim i dzwonił.

– Moja kolej!

Drzwi biura otworzyły się. Pies zaszczekał. Zaskoczony Homer upuścił fotografię. Stary mężczyzna w lokowanej peruce i czarnej todze kręcił kołami jak szalony. Jego drewniany wózek inwalidzki pędził w stronę biurka. Pies zaszczekał po raz kolejny, po czym usunął mu się z drogi.

– To nie twoja kolej. Moja! – Inny stary mężczyzna, również w lokowanej peruce i czarnej todze, również siedzący na drewnianym wózku inwalidzkim, próbował wyprzedzić tego pierwszego. Wyglądali

dokładnie tak samo. Jak na portretach!

– Z wiekiem postradałeś zmysły! Zejdź mi z drogi! – huknął ten pierwszy.

Na chwilę oba wózki zaklinowały się w przejściu. Potem jeden z nich uderzył drugiego w głowę parasolką, zyskując w ten sposób przewagę.

– Cha, cha! Będę pierwszy!

– O nie, nie będziesz!

Wjechali do recepcji z przekrzywionymi perukami, okładając się parasolami. W końcu zatrzymali się z piskiem u stóp Homera.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytali jednocześnie.

Zapach starości, który doleciał do Homera, przypominał nieco maślanekę trzymaną przez mamę w kuchennej szafce. Był jednak zmieszany z ziołowym aromatem płynu na artretyzm.

Chłopiec cofnął się.

– Uch... Nazywam się Homer Pudding. Przysłaliście mi list.

Pierwszy Snooty zmarszczył się niezadowolony.

– Nie wiemy nic o żadnych listach. Zajmuje się nimi nasz sekretarz.

– Przysłaliście mi też tego psa.

Drugi Snooty wysunął dolną wargę.

– Nie wiemy nic o żadnych psach. Zajmuje się nimi nasz sekretarz.

– Czy chcesz kogoś pozwać? – zapytał pierwszy Snooty i otworzył szeroko oczy.

Drugi Snooty wysunął się lekko do przodu.

– Mógłbyś pozwać osobę, która zrobiła ci ten płaszcz. Jest okropny.

– Mógłbyś też pozwać mojego brata za to, że obraził twój gust.

Mężczyźni spojrzeli na siebie.

– Nienawidzę cię!

– Ale ja ciebie bardziej!

– Halo! Przepraszam! – zawołał Homer, bo bracia Snooty próbowali wydłubać sobie oczy. – Mój wujek Drake zmarł i wysłaliście mi list, w którym napisaliście, że zostawił mi tego psa.

Mężczyźni przestali się atakować i spojrzeli z uwagą na zwierzę.

– To najbardziej obwisły pies, jakiego widziałem.

– Widziałem bardziej obwisłe.

– Chcesz go zwrócić? Przy zwrotach obowiązuje nas pięciodniowy limit.

– Nie, nie chcę go zwrócić – powiedział Homer i posłał psu uspokajające spojrzenie. – Nie przyszedłem tu z powodu tego zwierzęcia. Chcę się dowiedzieć, co się stało z innymi rzeczami mojego wujka. Miał mnóstwo sprzętu, książek i map.

– Takimi sprawami zajmuje się nasz sekretarz, pan Twaddle – odpowiedzieli bracia.

– A gdzie jest pan Twaddle?

– Na wakacjach.

Homer zaczął się wiercić. Pan Twaddle powiedział jego mamie, że nic nie wie o rzeczach wujka Drake'a. Podobno zostały po nim jedynie buty i pies. Jednak w tym kontekście zdjęcie przedstawiające książki o poszukiwaniu skarbów wydało się chłopcu podejrzane.

– Wiecie, gdzie mieszkał mój wujek? Przed śmiercią? Nie podał nam adresu. Chciałbym wybrać się tam osobiście.

– Powtórz, kim jesteś? – zapytali jednocześnie.

– Urrr!

Pies podszedł do ich wózków, dźwigając w ustach broszkę. Potrząsnął łbem i wpuścił ją z pyska. Uderzyła pierwszego Snooty'ego w nos.

– Auuu!

Drugi Snooty wycelował parasolkę w Homera.

– Twój pies zranił mojego brata, Constantine'a. Dzwon do sądu. Zamierzam pozwać twojego psa!

„Oni są szaleni”, pomyślał Homer. Pewnie dlatego pan Twaddle tak często jeździł na wakacje.

– Zaczekaj! – Constantine kościstą ręką podniósł leżącą na jego kolanach broszkę i wyciągnął przed siebie. – Nie wierzę własnym oczom! To moja zaginiona broszka. Kupiłem ją w dniu, w którym moja ukochana przysięgła mi miłość. Jednak niemal od razu ją zgubiłem. Tak bardzo chciałem ją odnaleźć...

– Hm – warknął jego brat. – Co za nonsens! Ona nigdy nie przysięgła ci miłości!

Twarz Constantine'a zrobiła się czerwona.

– Owszem, przysięgła. Wybrała mnie, nie ciebie. Zamierzałem dać jej tę broszkę jeszcze tej samej nocy i powiedzieć, że też ją kocham. Niestety zniknęła – wyjaśnił i pochylił się tak, aby znaleźć się nos w nos z Psem. – Gdzie ją znalazłeś?

– Urrr!

– Znalazł ją w klombie – wyjaśnił Homer. – Przed budynkiem.

– W klombie? – Constantine Snooty podjechał do jedyne go okna w pomieszczeniu i zastukał parasolem w parapet. – Otwórz to, młodzieńcze.

Homer posłusznie otworzył okno.

– Teraz wyjrzyj i powiedz mi, co widzisz.

Chłopiec wystawił głowę na zewnątrz. Trzydzieści dwa piętra dzielące go od ziemi to okropnie dużo. Nawet diabelskie koło w Mlecznej Dolinie nie było tak wysokie.

– Widzę ulicę, ludzi i klomb, w którym Pies wykopał tę broszkę.

– Dokładnie tak! – zawołał Constantine i odwrócił wózek. Potem drżącym palcem wskazał swojego brata. – Wyrzuciłeś ją przez okno. Prawda, Thermopolie?

Thermopolie poprawił perukę.

– Bez komentarza. Mam prawo zachować milczenie.

– Wiedziałem! – zawołał jego brat. – Wyrzuciłeś ją przez okno, bo byłeś zazdrosny. Pragnąłeś jej, lecz ona wybrała mnie. Zamierzaliśmy spotkać się tej nocy u Chez Billa. Chciałem wręczyć jej tę broszkę i poprosić o rękę. Zostawiłem to świecidełko na biurku, lecz zniknęło. Potem musiałem wypełnić dokumenty policyjne i jeszcze winda się zepsuła... Kiedy dotarłem do restauracji, mojej ukochanej już nie było. I nigdy więcej jej nie zobaczyłem! – dodał i tupnął nogą w podpórkę wózka. – Pozwę cię za zrujnowanie mi życia!

Bracia Snooty krążyli wokół siebie na wózkach niczym koguty, strosząc peruki jak piórka.

– Uratowałem ci życie – odpowiedział Thermopolie. – Jaka przyszłość czekała cię z kobietą, która nie zmieściłaby się do windy czy na diabelski młyn?

Nie zmieściłaby się do windy czy na diabelski młyn? Czy to możliwe? Czy ta broszka miała trafić w rękę smutnej kobiety

z pociągu? Kiedy bracia Snooty unieśli parasole i wycelowali sobie w głowy, Homer zaczął się zastanawiać, co powinien zrobić. Mężczyźni najwyraźniej się nim nie interesowali. Gdyby zdołał porozmawiać z ich sekretarzem, panem Twaddle...

– Przepraszam, ale...

– Zabiję cię!

– Nie, bo ja zabiję cię pierwszy!

Ruszyli na siebie, wymachując parasolami i wytrzeszczając oczy. Ich starcie przerwał dopiero huk dobiegający zza pleców Homera. Przez otwarte okno wskoczył jakiś mężczyzna. Wylądował obok biurka sekretarza!

Początkowo chłopiec nie rozpoznał jego twarzy, bo kiedy widział ją poprzednio, znajdowała się do góry nogami. Czarne włosy opadały nieznajomemu na ramiona, a czarne wąsy sięgały brody. Ajitabh, czyli człowiek z chmury, zamachnął się mieczem na Homera.

– Musimy porozmawiać!

Serce chłopca podeszło aż do gardła. Śmierć od ciosu mieczem w *Encyklopedii poszukiwaczy skarbów* wyglądałaby lepiej od śmierci w windzie, jednak chłopiec nadal był zdania, że na śmierć wciąż był za młody. Bracia Snooty, zajęci duszeniem się nawzajem, przestali zwracać uwagę na nieznajomego. Pies zawarczał. Homer zaś, odzyskawszy kontrolę nad swoimi rozdygotanymi nogami, zaczął się cofać, aż w końcu znalazł się przy windzie.

– Homer, nie mamy czasu do stracenia – powiedział Ajitabh. – Musisz iść ze mną!

Pies krążył wokół niego, szczekając, ale utrzymywał rozsądny dystans. Chłopiec nacisnął guzik. Ding! Nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Winda wciąż znajdowała się na piętrze. Drzwi właśnie się otworzyły.

*Wa wa la la la la twing twing.*

– Pies! – zawołał.

Ajitabh chciał złapać zwierzę, ale kiedy wyciągnął rękę, bracia Snooty z impetem wpadli na niego. Kiedy próbował wydostać się spod wózków inwalidzkich oraz kończyn i parasoli wciąż zadających sobie ciosy, Homer zanurkował do wnętrza windy. Poślizgnął się na

katalogu Stouta i Poręcznego i uderzył w tylną ścianę, ale błyskawicznie wstał.

– PIES! – zawołał. Pies wtoczył się do środka i chłopiec nacisnął dolny guzik. – No szybciej, zamknijcie się, drzwi. Zamknijcie się!

– Przyznaję! – wrzasnął Thermopolie. – Wyrzuciłem broszkę przez okno!

– Wiedziałem! – wściekł się Constantine. – Przygotuj się na śmierć.

– Homer, zaczekaj! – Ajitabh odepchnął wózki na bok. – Muszę z tobą porozmawiać!

„Zamknijcie się, proszę, zamknijcie się, proszę, zamknijcie się, proszę!”. Homer po raz kolejny nacisnął guzik.

– Homer, wiem o monecie! Proszę... – zawołał człowiek z chmury, wyciągając rękę.

Drzwi windy zamknęły się.



## Rozdział 17

### Magazyn zup

Homer i Pies pędzili zatłoczonym chodnikiem, równie zaskoczeni co przerażeni. Odbijali się od przechodniów niczym piłeczki pingpongowe. Chłopiec nie miał czasu, żeby sięgnąć po smycz. Nie miał czasu zatrzymać się i zapytać o drogę. Człowiek z chmury mógł w każdej chwili sfrunąć na ziemię i go zaatakować. Skąd wiedział o monecie? Czy będzie starał się go zabić, dopóki jej nie zdobędzie? No i jak dotrzeć do Muzeum Historii Naturalnej?

– Uważaj, gdzie idziesz! – zawołała jakaś kobieta.

– Ostrożnie! – wydarł się mężczyzna, któremu Pies przebiegł między nogami.

– Przepraszam – odpowiedział po raz setny Homer.

Zamierzał jak najszybciej odnaleźć Gwendolyn. Chociaż ona i tak nie będzie chciała mu wierzyć. Wywróci tylko oczami i powie: „Nie chcę słyszeć tych twoich głupich historyjek”. Ale musi uwierzyć! Ajitabh miał przecież zabójczo poważne plany odnośnie monety.

Pies zaskamlał, zwolnił, a potem zaczął truchtać. Język zwisał mu z pyska. Homer też ledwo zipał, ale miecz Ajitabha wydał mu się na tyle ostry, że należało biec dalej.

Gustav Gustavson, szwedzki poszukiwacz skarbów, który zasłynął odnalezieniem szczoteczki do zębów należącej do samej Afrodyty, w pojedynku na miecze stracił czubek nosa. Chłopiec dotknął swojego. To musiało boleć!

Pies zaczął się chwiać, zupełnie jakby zaraz miał się przewrócić.

– Hej, weź go na smycz!

– Zabierz go z drogi!

– Przepraszam!

Homer nie miał siły iść. Bolały go wszystkie mięśnie, a na stopach lada moment mogły się pojawić pęcherze. Płuca paliły go przy każdym oddechu.

Spojrzał za ramię. Nie zobaczył chmury, a jedynie zanieczyszczone miejskie powietrze. Stwierdził, że może sobie pozwolić na krótki

odpoczynek.

Nagle zauważył znajomą czerwoną parasolkę.

– Okropnie gorąca zupa! – wydzierała się Lorelei. – Kupujcie okropnie gorącą zupę pomidorową!

Homer musiał prezentować się okropnie, bo dziewczyna na jego widok upuściła chochlę.

– Co się stało? Wyglądasz, jakby ktoś chciał cię zabić.

– Ktoś chciał mnie zabić! – odpowiedział, łapiąc oddech. Pies przewrócił się obok wózka, rżąc niczym stara ciężarówka taty. – Pewien facet próbował rozciąć mnie mieczem.

Lorelei chwyciła go za ramię.

– Dlaczego ktoś miałby cię rozcinać?

– Czegoś ode mnie chce – wyjaśnił Homer i wsunął rękę do kieszeni, żeby upewnić się, czy podczas ucieczki nie zgubił pudełka po zapalkach. – Nie mogę mu tego dać.

Wzrok dziewczynki padł na jego kieszeń. Potem go puściła.

– No cóż, już się nauczyłam, że gdy ktoś bardzo czegoś pragnie, to zrobi wszystko, żeby to dostać. Lepiej będzie, jeśli pójdiesz ze mną. Wiem, gdzie możesz się schować – powiedziała i zakreśliła zbiornik z zupą. – Twój pies nie wygląda zbyt dobrze – zauważyła. Zwierzę wciąż leżało na boku i ciężko dyszało, a na dodatek zezowało. – Lepiej będzie, jeśli go podwiozę.

Wzięła futrzaka za przednie łapy, a Homer za tylne, po czym z wysiłkiem podnieśli go z chodnika.

– Ale jest ciężki! – jęknęła dziewczynka, kiedy położyli go na wózku.

Psu język wciąż zwisał z pyska. Nawet nie zauważył, gdzie teraz się znajduje.

– Podejrzewam, że nie przepada za bieganiem – stwierdził chłopiec. Nie chciał przyznać, że sam również za tym nie przepada.

Złapali za rączkę wózka i zaczęli go pchać po chodniku. Lorelei wskazywała kierunek. Homer oglądał się za siebie tak często, że kiedy powiedziała: „Jesteśmy na miejscu”, zdziwił się, bo nie miał pojęcia, kiedy tam doszli.

Stali w wyłożonej kostką chodnikową alejce znajdującej się między

dwoma otynkowanymi budynkami. W powietrzu czuć było wilgoć, a także mieszaną nieprzyjemnych zapachów unoszącą się od strony przewróconego śmietnika.

– Ale gdzie my właściwie jesteśmy? – szepnął Homer w obawie, że przeszkodzi szczerom budującym gniazdo w porzuconej sofie.

Chłopiec nie lubił szczurów. Jako wieśniak często z nimi walczył, bo te gryzonie uwielbiały mieszkać na farmach. W stodołach znajdowały mnóstwo smacznego jedzenia porzuconego przez zwierzęta gospodarskie, a także siano niezbędne do budowy gniazd. Homer wiedział jednak, że szczury roznoszą różne choroby i potrafią się przegryźć przez niemal wszystko. Poczł ciarki na plecach, gdy jeden z nich przebiegł mu przed nosem, stukając pazurkami o ziemię. Pies otworzył jedno oko i po chwili usiadł. Spomiędzy jego warg wydobył się głuchy warkot.

Lorelei wyciągnęła klucz i otworzyła metalową bramę. Na drzwiach tuż za nią widać było napis „Magazyn zup”.

– Pomóż mi wprowadzić wózek do środka – poprosiła po otwarciu drzwi.

Zamknęła je od wewnątrz, po czym włączyła światło. Homer i Pies rozejrzeli się dookoła.

Na zimnej, cementowej podłodze stały wieże zbudowane z kartonów. Każda z nich miała napis w stylu „grochowa”, „włoska z klopsikami” czy „małżowa ze śmietaną”. Były tam wszystkie zupy, jakie tylko można było sobie wyobrazić.

Lorelei poprowadziła chłopca obok sterty rosołów z kluskami i rosołów z ryżem i weszła do kolejnego pokoju z kartonowymi wieżami. „Bobowa”, „fasolowa”, „bekonowo-fasolowa”.

– Zostaw tu wózek – zdecydowała.

Zdjęli psa i położyli na podłodze. Przestał już dyszeć i schował język tam, gdzie język powinien się znajdować. Zaczął nawet wachać ziemię, a po chwili podniósł się i zniknął za wieżą z „bulionem warzywnym”.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, że on nic nie czuje.

– Bo nie czuje. Hej, Psie? – zawołał Homer. Odnalazł go drapiącego w szparę pomiędzy dwoma wieżami. – Co tam masz?

Chłopiec wsunął rękę w otwór i namacał coś zimnego i okrągłego.

– Mój kompas! – zawołała Lorelei. Wyglądał dokładnie tak samo jak ten Homera, lecz nie był tak błyszczący. Wydał mu się też nieco lżejszy. No i nie miał inskrypcji na tylnej kopertce. – Nie wierzę, że go znalazłeś! Jestem taka szczęśliwa! Dziękuję, Psie!

Dziewczynka zawiesiła gadżet na szyi, a potem uściskała futrzaka. Homer poklepał go po łbie.

– Dobry Pies! – powiedział z uznaniem.

Z pewnością czułby się fatalnie, gdyby zgubił swój kompas.

– Chodź, pokażę ci, gdzie mieszkam.

– Gdzie mieszkasz?

Podreptali za Lorelei za stertę kartonów z „rosołem z makaronem w gwiazdki” i zatrzymali się przy drzwiach z napisem „Szafa na narzędzia”. Dziewczynka otworzyła je i klęknęła.

– Będziemy musieli się tam wczołgać – wyjaśniła i pchnęła tylną część szafy. Panel u dołu nieoczekiwanie odskoczył. – Chodźcie za mną!

„Ajitabh z pewnością nie wpadnie na pomysł, żeby szukać mnie w szafie na narzędzia stojącej w magazynie zup”, pomyślał Homer.

– No dalej – powiedział, lekko popychając Psa.

Jednak zwierzę się zaparło, odmawiając wejścia do środka. Chłopiec przecisnął się obok niego, ocierając boki o futrynę. Futrzak ruszył za nim.

Lorelei zapaliła zapałkę, a potem dwie świece.

– No i? Co sądzisz? – zapytała z dumą. – To moje mieszkanie.

Większość ludzi powiedziałaby, że taki pokój to niewiele. Po prostu stary śpiwór i poduszka, a także kilka skrzynek na mleko wypełnionych ubraniami i klapkami. Zdaniem Homera pomieszczenie było świetne. Od dawna marzył o własnym mieszkaniu, w którym mógłby trzymać kolekcję książek oraz map. I nikt – NIKT! – nie mógłby mu ich zabrać.

– Znalazłam ten magazyn w zeszłym roku. Robotnicy przypadkowo zostawili otwarte drzwi. Przychodzą tu w nocy, żeby rozładować i załadować kartony. Mój wózek tak po prostu stał tutaj. Nie używali go, więc go pożyczyłam. Nikt nie wie, że tu mieszkam. I mogę jeść to,

na co mam ochotę.

Dziewczynka zdjęła fartuch i wrzuciła go do jednej ze skrzynek. Potem sięgnęła po otwieracz i otworzyła jedną z puszek.

– Chcesz? Na zimno też nieźle smakuje.

Homer zmarszczył brwi.

– No, śmiało. Właściwie to niczego tu nie kradnę. Odstraszam szczury i w zamian biorę trochę zupy.

Brzmiało to uczciwie. Tata wydawał mnóstwo pieniędzy na pułapki na szczury.

Homer wziął puszkę i plastikową łyżeczkę, po czym zanurzył ją w zupie. Minestrone smakowała lepiej po podgrzaniu, ale nie przejmował się tym, bo po otarciu się o śmierć czuł się wyczerpany. Patrzył, jak Lorelei otwiera sobie inną puszkę. Powinien jej współczuć, bo nie miała mamy, która smażyłaby jej naleśniki, ani wujka, który opowiadałby jej niezwykle historie, ani też brata, którego mogłaby huścić. Nie miała taty, który zakazywałby jej gadania o skarbach, ani też starszej siostry, która się szarogęsiła. Poza tym Lorelei nie musiała chodzić do szkoły.

– Ale z ciebie szczęściara. Możesz robić to, na co masz ochotę.

– No tak. Mogę. – Uśmiechnęła się. – Kiedy chcę poczytać, idę do biblioteki. Kiedy chcę skorzystać z toalety, zaglądam do restauracji Froodle w Piątej Alei. Kiedy mam ochotę się wykapać, idę na basen, a kiedy chcę coś zjeść, biorę sobie puszkę z tego magazynu. Fajnie jest!

– Masz rację.

Pies jęknął.

– Chyba jest głodny – stwierdził Homer.

– Jak sądzisz, jaką zupę by zjadł?

– Może rosół z makaronem w gwiazdki?

Lorelei otworzyła puszkę i przelała ją do miski. Pies machnął kilka razy językiem, po czym uniósł łeb i zjeżył się, choć miał krótkie futro.

– Grrr.

Potężny szczur wysunął łeb z otworu w ścianie.

– Tam jest szczur! – jęknął Homer.

– W porządku, to tylko Stokrotka – uspokoiła go Lorelei.

Szczurzyca Stokrotka spojrzała na psa. Poruszyła noskiem i czarnymi wąsikami, jednak nawet nie mrugnęła. Pies zaczął szczekać jak szalony. Homer złapał go za obrozę i przyciągnął do siebie.

– Wydawało mi się, że mówiłaś coś o przeganianiu szczurów! – zawołał, próbując przekrzyczeć futrzaka.

– Owszem. Właściwie to Stokrotka je odstrasza. Nie cierpi konkurencji. Jest moim zwierzątkiem domowym – odpowiedziała dziewczynka i wyciągnęła rękę. Szczur skoczył na jej dłoń, a potem na kolana. – Mieszka ze mną – dodała Lorelei.

– Och – rzucił Homer. Zacisnął dłonie na pysku Psa i wykrzywił się, bo Lorelei zaczęła głaskać szczura. Chciał jej uświadomić, że te zwierzęta są brudne i niebezpieczne. Jednak uznał, że zachowałyby się niegrzecznie, mimo że powiedziałby prawdę. – Ciii – szepnął do Psa, a potem go puścił.

Zwierzę uspokoiło się. Przez chwilę obserwowało, jak dziewczyna głaszcze szczura, po czym wróciło do jedzenia zupy.

– No dobra, to dlaczego ten facet chce cię zabić? – zapytała Lorelei.

– Z powodu monety – powiedział chłopiec i niemal zakrztusił się fasolą.

Dlaczego to zrobił?

Wujek go ostrzegał, żeby nie ufać nieznajomym. Ale on po prostu musiał komuś zaufać! Po powrocie do domu nie będzie mógł używać słowa „skarb”. Nie będzie miał z kim rozmawiać. Tymczasem siedząca po turecku i głaszcząca szczura dziewczyna z różowymi włosami sterczącymi we wszystkie strony wyglądała na osobę dostatecznie twardą, żeby wiedzieć, jak poradzić sobie z facetem uzbrojonym w miecz. Poza tym była miła dla Homera i jego psa.

Czasami samotność utrudnia ocenienie innego człowieka. Ignorując wszystko, czego nauczył go wujek, Homer złożył swoją historię u odzianych w trampki stóp Lorelei.

Opowiedział jej wszystko.

Tak jest. Wszystko.

## Rozdział 18

### Żółwie z miejskiego parku

A teraz siedzę w tym magazynie i jem zupę – zakończył swoją opowieść Homer.

Objął rękami kolana i lekko się zgarbił. Czekał na reakcję, z którą zawsze się spotykał: „Jesteś naprawdę dziwny, wiesz?”.

Początkowo Lorelei nic nie powiedziała. Pies kończył wylizywać miskę, a ona siedziała w milczeniu, przytulając śpiącego szczura. Homer poruszył się nerwowo. Jak mógł się spodziewać, że dziewczyna mu uwierzy? Może po prostu chciał, żeby tak się stało? Chciał, żeby ktoś go zrozumiał?

– Chyba wiesz, że również Odyseusz spotkał podczas swojej wędrówki giganta – odezwała się w końcu Lorelei.

Chłopiec wciąż nie wiedział, czy mu uwierzyła.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej pudełko po zapalniczkach.

– Zobacz! – Otworzył je, odsłaniając monetę.

Dziewczynka uniosła brwi.

– Jest piękna!

– Właśnie – potwierdził Homer. – Na jednej stronie znajduje się skrzynia ze skarbami, na drugiej zaś literki L.O.S.T.

Lorelei przebiegła palcami po ogonie szczura.

– Uściślijmy to. Twój wujek powiedział, że znalazł coś niesamowitego, co pomoże mu odnaleźć piracki skarb...

– Skarb Rumpolda Smellera.

– Ale to nie była mapa?

– Nie.

– I nigdy nie powiedział, co to jest?

– Powiedział za to, że gdybym wiedział, to znalazłbym się w niebezpieczeństwie.

– I myślisz, że tym czymś jest ta moneta?

– Być może. – Homer odgarnął kosmyk włosów z oczu. – Tak naprawdę tego nie wiem. Stwierdził, że musi zebrać fundusze niezbędne do zorganizowania wyprawy. Może ta moneta jest warta

mnóstwo pieniędzy i wujek zamierzał ją sprzedać muzeum.

Pies wdrapał mu się na kolana. Chłopiec nie zaprotestował, chociaż zwierzę ważyło tyle co worek cementu, śliniło się i bez przerwy puszczało bąki. Miał psa od kilku dni, a w tak krótkim czasie wydarzyło się bardzo dużo: zostali niemal zabici przez winę, a później zaatakowani przez faceta z mieczem. Doświadczenia tego typu przyspieszają nawiązywanie trwałych więzi. Początkowy plan szukania psu nowego domu nagle zaczął się wydawać wielkim błędem.

Lorelei podrapała szczura w łeppek.

– Poza tym przypuszczasz, że ktoś ukradł resztę rzeczy twojego wujka?

– Tak. Przecież rzeczy tak po prostu nie znikają. Sądzę, że sekretarz Snootych może wiedzieć więcej na ten temat. Na jednej z jego fotek widziałem książki o poszukiwaniu skarbów. Możliwe, że stara się odnaleźć skarb Rumpolda Smellera. A jeśli to on zabrał rzeczy mojego wujka?

Dziewczynka pokiwała powoli głową.

– Możliwe, że podobnie jak facet z chmury szuka tej twojej monety. Coś mi się zdaje, że jesteś w poważnym niebezpieczeństwie!

Zrozumiała!

– Dlatego chcę iść do biblioteki – wyjaśnił chłopiec. – Muszę się dowiedzieć, co to za moneta.

– To dobre miejsce na rozpoczęcie poszukiwań. Ale potem powinniśmy zajrzeć do Muzeum Historii Naturalnej. W sali, w której trzymają minerały i kamienie szlachetne, znajduje się również kolekcja monet. Jest na trzecim piętrze. Znam sposób, żeby dostać się do środka bez płacenia za bilety.

I tak we wtorek w samo południe Lorelei, Homer i Pies opuścili magazyn zup i ruszyli do samego serca miasta. Stokrotka została, żeby bronić swojego terytorium.

Niektórzy ludzie zarabiają, oprowadzając innych po mieście. Opowiadają wówczas ciekawostki o budynkach i pomnikach. „Kapitan Warp, słynny astronauta, mieszkał właśnie w tym bloku. Pani Dreary, poetka, miała nieopodal dom”. Jednak żaden



przewodnik nie mógł się równać Lorelei. Dziewczyna oprowadziła Homera po, jak to określiła, Ulubionych Miejscach Lorelei.

Zaczęli od czytelnicy w bibliotece publicznej. Sięgające sufitu okna z pancernymi szybami przepuszczały jedynie miękkie, błękitne światło. Relaksowało ono do tego stopnia, że wszyscy w pomieszczeniu niemal zasypiali, wliczając w to bibliotekarzy. Pewnie dlatego nikt się nie poskarżył, kiedy smutno wyglądający Pies zaczął się przechadzać między nimi.

Ciche chrapanie unosiło się już w powietrzu, kiedy Lorelei położyła książki o monetach na stole.

– Pokaż mi ją jeszcze raz – szepnęła.

Homer pokazał jej monetę. Kiedy wsunął ją z powrotem do kieszeni, każde z nich sięgnęło po jeden tom i zaczęło mozolne poszukiwania. Lorelei nie skarżyła się. Przerzucała ochoczo strony i szturchała Homera, kiedy jego powieki robiły się zbyt ciężkie, a głowa mu opadała.

– To była ostatnia książka – powiedział dwie godziny później, nawet nie kryjąc zawodu.

Bibliotekarz podniósł głowę, mruknął coś o kartach bibliotecznych, po czym znów zasnął.

– Zbierajmy się stąd – zdecydowała Lorelei. – Zanim i my zaśniemy.

Psa znaleźli w dziale czasopism, śpiącego na częściowo zjedzonym wydaniu „Świata Robaków Wodnych”.

– Niedobry pies – szepnął Homer i wsunął resztki magazynu pod półkę. Potem zauważył przerzute egzemplarze „Pięknych Balkonów” i „Miesięcznika Wieprzowiny”. – Och, nie! – jęknął i spojrzął na półkę. Rząd pogryzionych czasopism ciągnął się niemal do końca alejki. – Bardzo zły pies!

Za każdym razem, gdy trafiali do biblioteki, działo się coś niedobrego.

Pies obudził się i zamachał ogonem.

– Urrr!

Lorelei zabrała resztki czasopisma sprzed jego nosa.

– Często jada papier?

– Nawet nie masz pojęcia jak często.

Homer czuł się okropnie, ale co mógł zrobić. Nie miał pieniędzy, żeby zapłacić za szkody, nie miał też czasu na siedzenie w więzieniu. Pewnego dnia, kiedy znajdzie swój pierwszy skarb, kupi im tyle czasopism, ile będą mieli miejsca na półkach. „Obiecuję, że was spłacę”, napisał na jednej z wydartych stron, po czym wsunął ją pod ramię śpiącego bibliotekarza.

– Jestem głodna – stwierdziła Lorelei, kiedy wynurzyli się z usypiającego błękitnego światła i zanurzyli w mglistym, miejskim powietrzu. – Wiem, gdzie możemy coś zjeść! – dodała, po czym zaprowadziła Homera i Psa do kolejnej miejskiej atrakcji, czyli schroniska dla bezdomnych.

Ludzie siedzieli przy stołach grupami, czytali gazety lub grali w karty. Niektórzy wyciągali ręce, żeby pogłaskać psa.

– Mają tu darmowe pączki – wyjaśniła Lorelei. I rzeczywiście, pudełka ze smakołykami z poprzedniego dnia stały na ladzie. – Najbardziej lubię te z różową posypką.

Homer i Pies zjedli po trzy.

– Dlaczego ci ludzie nie mają domów? – szepnął chłopiec.

Lorelei wzruszyła ramionami.

– Z różnych powodów. Ale na ogół dlatego, że nie mają nikogo, kto by się nimi zaopiekował.

Homer nie odezwał się. Zdał sobie sprawę, że gdyby jego przyjaciółka nie znalazła magazynu z zupami, też byłaby bezdomna. A co się z nią stanie, gdy straci swój pokój? Dokąd pójdzie? Zastanawiał się, czy nie przygarnełaby psa, ale teraz wydało mu się to niewłaściwe. Choć go lubiła, potrzebował ciągłej opieki, a ona miała już szczura, którym musiała się zajmować.

Potem Lorelei pokazała mu, jak zakraść się do kina przez tylne drzwi. Pochłonęli ostatnie pół godziny filmu o inwazji z kosmosu, podczas gdy Pies zżerał leżący na podłodze popcorn. Podekscytowany i zapchany pączkami Homer zapomniał o monecie, która znajdowała się w jego kieszeni.

– Widziałam to już cztery razy – powiedziała dziewczyna i ostrzegła go przed każdą krwawą sceną.

Po filmie pokazała mu, jak jeździć za darmo trolejbusem, jak wyciągać monety z fontanny spełniającej życzenia i zamienić je na hot dog o smaku chilli, najlepszy, jaki chłopiec kiedykolwiek jadł. A gdy w mieście zaczął zapadać zmierzch, zaprowadziła go do parku.

– Żółwie mieszkają niedaleko. Pomyślałam, że chciałbyś je zobaczyć.

Chłopiec przełknął ostatni kęs hot doga. Czy chciał zobaczyć miejsce, w którym zginął jego wujek? Nie za bardzo, ale przyjechał przecież do Miasta po odpowiedzi, a na razie nie znalazł żadnej.

Jego humor zmienił się z beztrąsko zabawnego w upiornie poważny. Zmienił się również teren wokół. Na końcu żwirowej alejki drzewa wyglądały mizernie, a ich liście zwijały się niczym papierki od cukierków. Pnie miały brudne, niemal czarne. Homer nie zdziwiłby się, gdyby nagle zaczęły kasłać.

– Kiedyś ten park był naprawdę piękny – stwierdziła dziewczynka.  
– Nie wiem, co się stało...

Ścieżka prowadziła dookoła mrocznego jeziora. Płot z łańcuchami oddzielał spacerowiczów i rowerzystów od jego niebezpiecznych mieszkańców.

– Postawili go, kiedy twój wujek... – Lorelei nie dokończyła zdania. Nie musiała. Stała bowiem pod wielką tabliczką z napisem „Niebezpieczeństwo. Nie karmić gigantycznych żółwi”.

– Są tam – powiedziała.

Parkowe latarnie, wiszące wysoko na drzewach, oświetlały jezioro. Pies przytknął nos do płotu i zaczął szczekać. Homer nigdy nie widział gigantycznego żółwia, a teraz zobaczył ich tuzin wypoczywających na wielkich głazach na skraju jeziora. Kiedy Pies próbował przecisnąć się pod płotem, obróciły swoje zielone łby w jego stronę.

Homer błyskawicznie złapał go za obrozę.

– Nie wiem, jakim cudem jedno z nich mogło zjeść człowieka – zastanawiała się Lorelei, chwytając się łańcucha. – Ich pyski nie są aż tak duże.

Homer zgodził się.

Największy z żółwi był rozmiarów taczki, ale głowę miał nie

większą od kantalupy. Kiedy gad spojrział w jego stronę, chłopiec zadrżał i się odwrócił. Te kaprawe oczka były ostatnią rzeczą, jaką wujek zobaczył w życiu.

– Żółw zabójca najprawdopodobniej uciekł – wyjaśniła Lorelei. – Czytałam o tym w gazecie. Dozorca zamierzał go schwytać, ale zwierzę rozpląnęło się w powietrzu.

– Rozpląnęło się w powietrzu?

– Właśnie. Może być teraz wszędzie. A więc może spacerować i pożerać kolejnych ludzi.

Homer miał ochotę naciągnąć płaszcz na głowę. Nagle zatęsknił za rodzicami. Zatęsknił za swoim pokojem z czterema prostymi ścianami. Powoli zapadał mrok i chłopiec wyobraził sobie gadzie ślepiea spoglądające łapczywie na kolejną ofiarę. Potem przypomniał sobie Gwendolyn. Tak dobrze się bawił, że zupełnie o niej zapomniał. Co robiła przez cały dzień? Wyciągnął rękę i szarpnął za smycz.

– Muszę odnaleźć siostrę – oświadczył.

– Racja. Powinieneś pójść na tę imprezę. – Lorelei kopnęła nogą w ziemię.

– Możesz pójść ze mną.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się. – Nigdy nie byłam na przyjęciu dla VIP-ów – powiedziała, po czym spojrzała na swój zmechacony sweter i dzinsy. – Ale nie jestem odpowiednio ubrana.

– No i co z tego? – Tym razem uśmiechnął się Homer. – Jestem VIP-em i to ja decyduję, kto jest moim gościem. Kiedy dostaniemy się do środka, rzucimy okiem na tę kolekcję monet.

Pospiesznie opuścili park.

W Mieście zapadła noc i wszystko się zmieniło. Tłumy zniknęły. Autobusy i taksówki zniknęły. Szczury panoszyły się na chodnikach i ulicach. Pies czekał na nie, aż dostał chrypki. Homera rozboleły stopy, bo pędził za stawiającą ogromne kroki Lorelei. Jednak nie narzekał. Czuł się szczęśliwy, bo wreszcie miał przyjaciółkę.

Ten dzień był naprawdę niesamowity. Dzień biednej Gwendolyn pewnie był długi i nudny.

– No, jesteśmy na miejscu – oświadczyła w końcu Lorelei.

Stali przed ogromnym, kamiennym budynkiem. Na kamiennym

łuku widniał napis „Muzeum Historii Naturalnej”. Pokryte bluszczem filary ozdabiały szerokie, kamienne schody. Pies chciał spróbować bluszczu, ale chłopiec go odciągnął. Rozglądał się za Gwendolyn, ale miejsce wyglądało na opuszczone. Wszedł po kamiennych schodach i zajrzał do kasy. „Zamknięte”. Nie było nawet wartownika. Zegar nad kasą wskazywał godzinę 21.50.

– Nie spóźnił się – powiedział z ulgą w głosie. – Impreza zaczyna się o dziesiątej. Wejście dla VIP-ów znajduje się po południowej stronie budynku.

Obydwoje sięgnęli po kompas, a potem poszli ścieżką prowadzącą przez ogród na południową stronę budynku. Reflektory umieszczone na dachu muzeum świeciły jasnym, niemal białym światłem.

– To tutaj – oznajmił Homer, zatrzymując się przed drzwiami z odręcznie napisaną kartką przyklejoną taśmą do ściany: „Wejście dla VIP-ów”.

– Gwendolyn! – zawołał. Próbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Zapukał. – Gwendolyn?

– Jesteś pewien, że mieliście się tutaj spotkać?

– Tak. Tylko po to przyjechała do Miasta. Chciała być tutaj – wyjaśnił i nerwowo rozejrzał się dookoła. Potem zapukał po raz kolejny. Pies nasiusił na rosnący tuż obok krzaczek. – Nie wpuściliby jej beze mnie. To moje imię jest na zaproszeniu.

– Co to? – zapytała Lorelei i podniosła wiewiórkę. – Myślę, że jest wypchana!

Serce Homera mocniej zabiło, kiedy wziął zwierzę od przyjaciółki.

– Należy do Gwendolyn. A ona nigdy nie zostawia za sobą martwych zwierząt.

Chłopiec nie tylko opuścił dom bez zezwolenia, ale jeszcze zgubił swoją siostrę. Ojciec ukarze go tak, że będzie cierpieł do końca życia.

Homer zaczął się dobijać do drzwi.

– Co się stało? Gwendolyn!

**Część czwarta**  
**Muzeum Historii Naturalnej**

## Rozdział 19

### Przyjęcie dla Bardzo Ważnych Ludzi

Nagle drzwi się otworzyły.

– Pan Pudding?

W korytarzu stała kobieta, której górna część była znacznie chudsza od dolnej. Czarne włosy miała obcięte idealnie prosto.

Pan Pudding?

Homer niepewnie zerknął przez ramię. Czyżby tata był za nim?

Nieznajoma chrząknęła.

– Pan Homer W. Pudding?

Chłopiec podrapał się po uchu.

– Och, ma pani na myśli mnie!

Wyciągając dłoń w rękawiczce, kobieta podeszła bliżej.

– Miło mi pana poznać. Bardzo rzadko mam okazję witać tak... bardzo ważną osobę. Czy mogę zwracać się do pana Homer?

– Jasne – zgodził się chłopiec i podał jej dłoń.

Miała boleśnie silny uścisk.

– Nazywam się Madame la Directeur i na mocy królewskiego dekretu jestem dyrektorem wykonawczym Muzeum Historii Naturalnej. Dostałeś zaproszenie?

Kiwnął głową. Ręka wciąż go bolała.

– Postąpiłeś zgodnie z instrukcjami? – zapytała, unosząc brwi. – To znaczy przyjechałeś bez rodziców?

– Oni są... – Homer bawił się smyczą Psa. – Zostali w Mlecznej Dolinie.

– Cudownie. Chodź za mną.

– Czy widziała pani moją siostrę, Gwendolyn? Umówiliśmy się tutaj.

– Twoja siostra jest już w środku.

– Naprawdę? – Uczucie ulgi podziało na Homera niczym szklanka zimnej wody. – Cudownie! To jest moja przyjaciółka, Lorelei. Ona też chciałaby wpaść na przyjęcie.

– Cześć! – powiedziała dziewczynka i pomachała do nich.

Madame zacisnęła swoje wiśniowe usta i skierowała wzrok na Lorelei. Obejrzała ją od stóp do głów, po czym przejechała palcem w rękawiczce po idealnie białych perłach, które wisiały na jej szyi.

– To przyjęcie jest tylko dla zaproszonych gości.

– Och! – jęknął Homer. – Ale sądziłem...

– Wyłącznie.

– Niech będzie – wtrąciła dziewczyna. – Nie muszę iść na to głupie przyjęcie – dodała, po czym spojrzała na chłopca. – Przynajmniej wrócę do domu, zanim pojawią się pracownicy magazynu. Wpadniesz do mnie jutro?

– Tak mi przykro, Lorelei – powiedział Homer. – Nie sądziłem, że będą robić problemy...

Wzruszyła ramionami.

– Spoko wodza. Zobaczymy się jutro, dobrze? Będę sprzedawać zupę w tym samym miejscu co dziś – stwierdziła, a potem wyszeptała: – Kolekcja monet jest na trzecim piętrze!

Zanim zdążył ją zatrzymać, rozplynęła się w ciemnościach. Doskonale wiedział, jak się czuła. Nieraz bywał spławiony, kiedy miał okazję trafić do czegoś „wyjątkowego”. „Nie możesz wstąpić do naszego klubu, Homer. Nie możesz grać w naszej drużynie. Nie przyjmujemy dziwaków i łamag, chłopie”. Zdawał sobie sprawę, że za wzruszeniem ramionami i słowami „spoko wodza” kryją się tak naprawdę zranione uczucia. Normalnie pobiegłby za nią, ale chciał zobaczyć kolekcję monet, która znajdowała się w muzeum. Po prostu musiał ją obejrzeć!

– Zostaw to stworzenie na zewnątrz – powiedziała Madame la Directeur, wskazując wiewiórkę, którą Homer wciąż miał w rękach.

– Ale ono należy do mojej siostry.

– Po prostu zostaw je na zewnątrz – dodała kobieta i zmrużyła oczy. Chłopiec postawił wiewiórkę na ziemi, a potem wszedł do środka. Głos Madame robił się coraz bardziej nieprzyjemny. – Psów nie wpuszczamy do muzeum. Również i to stworzenie musisz zostawić na zewnątrz.

– Mojego psa? – Homer ścisnął mocniej smycz. – A jeśli ktoś mi go zabierze?



– Kto miałby go zabrać? To najbardziej obwisły pies, jakiego widziałam w całym swoim życiu!

Odrobina śliny zwisała z pyska zwierzęcia. Futrzak uniósł jednak łeb i spojrzał na Homera.

– Urrr!

– Ale ja muszę się nim zajmować. Stracił węch i jeśli nie będę go pilnować, może zjeść coś trującego albo się zgubić.

– Tu nie ma niczego trującego. Poza tym możesz przywiązać go do drzewa – powiedziała i zastukała palcami w biodra. – Chcesz wejść na to przyjęcie czy nie?

Homer zwiesił głowę. Nie licząc rodzinnych urodzin, nigdy nie był na żadnym przyjęciu. A impreza dla VIP-ów brzmiała wyjątkowo ekscytująco.

– Tylko na chwilę – szepnął, klękając obok Psa. – Nic ci się nie stanie. Zostawię cię na chwilę, a potem wrócę po ciebie.

Zostawienie Psa samego w nocy, za muzeum, wydawało się Homerowi nie najlepszym pomysłem, ale co innego mógł zrobić? Zostać z nim w ogrodzie i stracić możliwość obejrzenia kolekcji monet? Chłopiec odwrócił się i wyszedł na zewnątrz. Smycz naprężyła się. Pies zaparł się na łapach i nawet nie drgnął.

– No chodź! – ponaglił go Homer.

Pies usiadł. Chłopiec szarpnął za smycz. Pies przesunął się o kilkanaście centymetrów, po czym chwycił sznur w zęby i cofnął odrobinę. Chłopiec znów szarpnął za smycz. Pies zrobił to samo. W lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Zniecierpliwiona Madame zaczęła tupać swoim szpiczastym butem.

– Czekam! – stwierdziła.

– Uch! – jęknął Homer i puścił smycz. – Jest zbyt ciężki. Czy jednak mógłby pójść ze mną? Obiecuję, że będzie grzeczny. – Chłopiec nie był pewny, czy zdoła dotrzymać tej obietnicy, ale mimo wszystko chciał spróbować. – I niczego nie obsika. – Tego też nie mógł zagwarantować.

Madame przyglądała spódnicę, po czym wzięła głęboki oddech.

– No dobrze, ponieważ muzeum jest już zamknięte, to zgodzę się na taki wyjątek. Ale nie wolno mu wałęsać się samemu.

Najwyraźniej dyrektorka muzeum nie przepadała za zwierzętami. Z pewnością nie przygarnęłaby psa.

– Dziękuję! – powiedział Homer i podniósł smycz, a potem szepnął:  
– Bądź dobrym psem.

Zwierzę zamachało ogonem.

Stukając szpilem, Madame la Directeur poprowadziła chłopca korytarzem. Mijali mnóstwo pomieszczeń wypełnionych gablotami i witrynami. Minęli również drzwi z napisem „Śmietnik”. Był uchylony i kątem oka Homer zobaczył znajomy kształt. Zatrzymał się i zajrzał do środka. W śmietniku znajdowała się torba sportowa Gwendolyn. Wystawała z niej wypchana mysz oraz szop pracz. Dziewczynka nie wyrzuciłaby swoich prac. Nigdy!

– Przepraszam! – odezwał się chłopiec. – Dlaczego...?

– Nie ma czasu na pytania. Idziemy – stwierdziła Madame i przyspieszyła.

Kiedy dotarła na sam koniec korytarza, skrzyła w bramę i zniknęła wśród oślepiającego światła. Homer i Pies starali się ją dogonić. Przechodząc przez bramę, przymrużyli oczy.

– Witam w sali głównej muzeum – zawołała Madame ze środka olbrzymiego pomieszczenia.

Kiedy wzrok Homera przyzwyczaił się do światła, wziął głęboki oddech. Stał bowiem pomiędzy nogami szkieletu dinozaura, a dokładniej tyranozaura. Jego białe kości sięgały niemal do kopuły sufitu. Pies od razu zaczął warczeć, lecz Homer momentalnie zacisnął ręce na jego pysku.

– Obiecałem, że będziesz grzeczny – szepnął. Kiedy warkot ucichł, chłopiec go puścił. – Dobry pies!

Wszystko w głównej sali było gigantyczne. Pterodaktyl o blisko dwumetrowych skrzydłach wisiał w rogu pomieszczenia, ze szponami wyciągniętymi przed siebie, jakby próbował coś schwytać. Przed głównymi schodami stał z kolei mamut z uniesioną trąbą. Akwarium, w którym była zamknięta gigantyczna ośmiornica, ciągnęło się wzdłuż całej ściany. Nawet złoty zegar wiszący nad wejściem do sklepu z pamiątkami miał rozmiary koła od wozu.

Homer podszedł do pojemnika z napisem „Mapy”. Zawahał się.

– Możesz wziąć jedną – stwierdziła Madame i zaczęła wchodzić po schodach wyłożonych czerwonym dywanem.

– Dziękuję!

Homer rozłożył błyszczący papier, a potem wyprostował go, aż mapa zrobiła się całkowicie płaska. Była to mapa turystyczna, kolorowa, przejrzysta, jednym słowem masowa produkcja. Nie zawierała żadnych sekretnych wskazówek, a jedynie proste, łatwe do zrozumienia informacje, dzięki którym nie sposób było się zgubić w muzeum. Sala Człowieka Prehistorycznego, Sala Ssaków Afrykańskich, Oceanarium, Świat Ptaków. Kolorowa legenda ułatwiała również znalezienie takich pomieszczeń jak łazienki, szatnie, sklep z pamiątkami czy kawiarnia. W prawym górnym rogu znajdowała się strzałka wskazująca linię północ–południe, która ułatwiała życie każdemu posiadaczowi kompasu.

– Na imprezę tędy! – zawołała Madame ze schodów.

Potem ruszyła wzdłuż poręczy balkonu i zniknęła Homerowi z oczu. Chłopiec starannie złożył mapę i schował ją do kieszeni płaszcza.

Czy próbowaliście kiedyś złożyć mapę? Większość ludzi nigdy się tego nie nauczy. To naprawdę skomplikowane zadanie, które wymaga sporej cierpliwości i precyzji. Najlepiej więc w ogóle jej nie rozkładać, chyba że nie ma się żadnych planów na resztę dnia.

Pies stał u stóp Homera, ściskając w pysku kość.

– Och, nie! Skąd ją masz?

Po krótkiej walce wyrwał mu ją z pyska. Potem spojrzał na *Tyrannosaurus rex*, któremu brakowało jednego z palców u nogi. Szybko odłożył ją na miejsce. Pies próbował zabrać kolejną kość, więc go odciągnął.

– Może jednak powinienem zostawić cię na zewnątrz – szepnął.

– Homer! – zawołała z góry Madame.

Chłopiec ukląkł i uniósł łeb psa. Spojrzał prosto w jego czerwone, nabrzmiące oczy.

– Posłuchaj mnie uważnie – stwierdził cicho. – Nie wiem, czy mnie rozumiesz, ale proszę, nie rób nic, za co mogliby nas wyrzucić. Naprawdę zależy mi na obejrzeniu tej wystawy o monetach...

– Urrr! – odpowiedział Pies i polizał go po twarzy.

– Fuu! – jęknął chłopiec i otarł twarz rękawem płaszcza.

Potem uśmiechnął się i był przekonany, że Pies również się uśmiechnął. W końcu drgnęły mu kąciki pyska.

Na górze Madame poprowadziła ich na wystawę Życie na Krawędzi, która mieściła się w długim, wąskim korytarzu przedstawiającym stworzenia żyjące na obu biegunach. Podłoga była tu przezroczysta niczym lód, a ściany pomalowane na chłodny niebieski kolor. Nawet klimatyzację tak ustawiono, żeby wokół panował mróz. Dzięki temu człowiek miał wrażenie, że przeniósł się do Arktyki.

Chłopiec zadrżał.

– Homer! – zawołała Gwendolyn i pomachała do niego.

Siedziała na ławce naprzeciwko gabloty z pingwinami. Na kolanach miała paczkę z ciasteczkami miętowymi. Tuż obok niej unosił się przywiązany do ławki balonik.

Chłopiec odmachął jej. Jego siostra naprawdę się uśmiechała. W kącikach ust miała okruchy ciasteczka.

– Też chcesz? – zapytała Madame i wyciągnęła niewielką paczuszkę z kieszeni płaszcza, po czym podała ją Homerowi.

To były herbatniki w kształcie dinozaurów, które sprzedawano w sklepie z pamiątkami. Nazywały się Dinookies.

– Dziękuję.

Madame spojrzała na Gwendolyn.

– Dobrze się bawisz na przyjęciu?

– Cudownie – odpowiedziała dziewczynka. – To najlepsza impreza w historii.

Najlepsza impreza w historii? Homer zdziwił się. Jakim cudem to miała być najlepsza impreza w historii? Brakowało chociażby wstążeczek, a balon był tylko jeden. Nie widział też czapeczek i nie słyszał muzyki. Przydałyby się też naczynia z ponczem i czekoladowe fontanny. Piñaty i ciasteczka!

– Rozgość się, Homerze. Mamy sporo do omówienia – stwierdziła Madame i wskazała puste miejsce obok Gwendolyn.

Omówienia? Owszem, Homer miał mnóstwo pytań, na przykład

„dlaczego mnie tu zaprosiliście?” i „dlaczego nie ma innych gości?”. Dwie osoby to nie impreza. Zwłaszcza jeśli te dwie osoby spędzają razem niemal całe dni.

Nagle gdzieś nad jego głową zadzwonił brzęczyk i z głośnika wiszącego na ścianie doleciał do nich męski głos.

– Madame?

– Co się dzieje? – zapytała opryskliwym tonem.

– Ktoś zakłóca porządek na zewnątrz.

– Nie poradzisz sobie z tym?

– Wiesz, że nikt nie może mnie tu widzieć. Oficjalnie jestem na wakacjach.

– Świetnie! – Madame zacisnęła zarówno usta, jak i pięści. – Wszystkim muszę się zajmować sama! – dodała, po czym posłała dzieciom poważne spojrzenie. – Pod żadnym pozorem nie wolno wam opuszczać tego pomieszczenia.

Kiedy wychodziła, stuknęła szpilkami, a jej włosy huśtały się na boki.

– Prawda, że jest piękna? – zapytała Gwendolyn. – A to miejsce jest chyba z milion razy większe, niż wynikało z przewodnika. Spędziłam tu cały dzień. Kiedy powiedziałam w kasie, kim jestem, Madame wpuściła mnie do środka. W kawiarni zjadłam makaron z serem. I to wcale nie kozim! Tutaj w ogóle nie serwują koziego sera. Sam powiedz, czy to nie cudownie! Pokazałam Madame zwierzęta i bardzo jej się spodobały. Powiedziała, że moim przeznaczeniem jest posada Królewskiego Wypychacza. Może nawet największego wypychacza w historii – dodała rozanielona. – W historii, rozumiesz?

Homer usiadł obok niej. Wsunął paczkę z ciasteczkami za siebie, tak aby Pies jej nie widział. Zwierzę zjadło już przecież popcorn, czasopisma i pączki z różową posypką, choć nie powinno tego jeść. Prędzej czy później musiało dostać jedzenie odpowiednie dla psów.

– Powiedziałaś, że Madame spodobały się twoje zwierzęta? – zapytał.

– Oczywiście, że jej się spodobały, Homer. Dlaczego miałyby się nie spodobać? Wzięła całą torbę i obiecała, że umieści je na wystawie. Dostanę własne skrzydło muzeum. Wyobrażasz sobie? Skrzydło

Gwendolyn Maybel Pudding!

Ale Homer widział jej torbę w śmietniku. To oznaczało, że Madame okłamała jego siostrę. Tylko dlaczego?

– Gwendolyn... Sądzę, że powinnaś wiedzieć, że...

– Jest taka miła! – Dziewczynka oparła się o szklaną gablotkę z pingwinami. – Kiedy dorosnę, chcę być taka jak ona. Ukończyła herpetologię na uniwersytecie, co – jeśli nie wiesz, a pewnie nie wiesz – jest nauką o płazach i gadach. Potem została Królewskim Wypychaczem i kilka razy awansowała, aż trafiła się jej posada dyrektora tego muzeum. Rozmawialiśmy naprawdę długo!

Pies przycisnął swój czarny nos do szyby, a z jego gardła zaczął się wydobywać niski warkot. Wpatrywał się w wypchanego niedźwiedzia polarnego wypoczywającego na skraju sztucznego lodowca.

Homer stuknął w balon.

– Tu właściwie nie ma żadnej imprezy. Czy Madame wyjaśniła ci, po co mnie tu zaprosiła?

– Od razu ją o to zapytałam. Powiedziałam, że pewnie zaszła jakaś pomyłka, bo przecież to ja napisałam wszystkie te listy. Przyznała mi rację. Stwierdziła, że to ja jestem VIP-em, a nie ty – oznajmiła Gwendolyn i teatralnym gestem odgarnęła włosy do tyłu. – Jej zdaniem poszukiwanie skarbów nie jest tak ważne jak wypychanie zwierząt.

Podczas gdy Pies krążył po wystawie, zostawiając ślady nosa na kolejnych szybach, Homer coś sobie uświadomił.

– Czy powiedziałaś jej, że jestem poszukiwaczem skarbów?

– Nie. – Gwendolyn splotła ręce na piersiach. – Bo nie jesteś poszukiwaczem skarbów. Czytanie o poszukiwaniu skarbów to nie to samo co ich szukanie.

– Więc skąd ona wiedziała....

– Ona wie o tobie wszystko. Jest naprawdę inteligentna. Nawet знаła wujka Drake'a. Pytała, czy nie zostawił ci czegoś specjalnego. Opowiedziałam jej o psie. Zapytała wówczas, czy nie zostawił ci czegoś innego. Wtedy przypomniałam sobie tę monetę...

W pomieszczeniu od razu zrobiło się chłodniej. Homer zerwał się na równe nogi.

– Powiedziałaś jej o monecie?

– Masz z tym jakiś problem?

Cała sytuacja przypominała mu mapę z białymi plamami.

Homer już wiedział, że zaproszenie wcale nie było źle zaadresowane. Dostał je, ponieważ Madame chciała z nim porozmawiać. Gdyby interesowała się Gwendolyn, nie wyrzuciłaby jej torby na śmietnik. Czy również i ona chciała zabrać mu monetę? Czy tak jak Ajitabh jest zdolna zrobić wszystko, żeby ją zdobyć? I czy gdy Homer nie odda jej swojego skarbu, to zobaczy jeszcze swoich rodziców? A może stanie się częścią wystawy o człowieku prehistorycznym? „Zobacz, Agnes, to najgrubszy wypchany jaskiniowiec, jakiego kiedykolwiek widziałam!”.

– Gwendolyn, chyba mamy kłopoty – oznajmił i złapał siostrę za ramię. – Musimy się stąd wydostać.

Dziewczynka wyrwała mu się.

– Zwariowałaś? Ja się stąd nie ruszam!

Homer wybiegł na paluszkach z wystawy Życie na Krawędzi i wyjrzał przez poręcz. Główna sala była pusta. Panowała w niej cisza, nie licząc oczywiście warczącego Psa, który stał nos w nos z wypchanym morsem.

– Chyba nie powinieneś stąd wychodzić – szepnęła Gwendolyn.

Stała tuż przy drzwiach wystawy.

– Nikogo nie ma na dole – odpowiedział. – Możemy uciekać. No dalej!

Dziewczynka położyła ręce na biodrach.

– Dlaczego miałabym stąd uciekać?

Homer nie zdążył jej odpowiedzieć, kiedy zaryczały syreny. Niebieskie światła zabłyśły za oknami głównej sali i zaczęły pulsować między nogami *Tyrannosaurus rex*. Chłopiec zbiegł po schodach. Zatrzymał się dopiero przy oknach, które wychodziły na ulicę. Przyłożył nos do zimnego szkła.

Przy chodniku stał policyjny samochód. Madame la Directeur rozmawiała z oficerem. Obok niej, pod latarnią, stał mężczyzna w czapce i kombinezonie.

– To tata! – zawołał Homer.

## Rozdział 20

### Jaskinia Geniuszu

Chociaż Homer nie słyszał rozmowy, był przekonany, że jego tata się wścieka. Widać to było po sposobie, w jaki wymachiwał pięścią. Madame stała nieruchomo, z rękami złożonymi za szerokimi biodrami.

– Co powiedziałaś? – zawołała z balkonu Gwendolyn.

– Tata jest na zewnątrz.

– A niech to! – Dziewczynka zbiegła po schodach i przycisnęła twarz do szyby tuż obok twarzy brata. – Pewnie chce nas zabrać do domu. A ja nie chcę wracać. Nie zmusi mnie do tego! Zostaję!

Ponieważ szyba zaszła parą, Homer przetarł ją rękawem płaszcza. Bardzo chciał wyjść, bo był przekonany, że Madame nie odbierze mu monety w obecności pana Puddinga. Tyle że ukrywanie się za szerokimi plecami taty nie pomogłoby w rozwiązywaniu zagadki ani też nie było czymś, co zrobiłby prawdziwy poszukiwacz skarbów. Chłopiec wciąż nie odkrył tajemnicy monety i nie odnalazł rzeczy wujka.

No i Ajitabh był gdzieś tam, nie wiadomo gdzie, i prawdopodobnie ostrzył miecz. Madame знаła adres Homera, a mężczyzna z chmury odwiedził nawet jego farmę. Obydwoje bez trudu odnaleźliby go w Mlecznej Dolinie. A tam właśnie zawióźliby go tata, gdyby teraz wybiegł na zewnątrz.

Dom. Powrót do czarnej, osmolonej dziury, która niegdyś była biblioteką. Powrót do pustej sypialni. Powrót do ludzi, którzy bez przerwy mu powtarzali, że jest dziwny i nigdy nie zostanie prawdziwym poszukiwaczem skarbów.

A najgorsze ze wszystkiego było to, że powrót oznaczałby zwrócenie psa braciom Snootym.

– Powiem tacie, żeby przestała krzyczeć na Madame la Directeur – zdecydowała Gwendolyn. – Zawstydz mnie!

– Gwendolyn, zaczekaj!

Ale gdy siostra Homera coś sobie wymyśliła, to nie dało się jej



zatrzymać. Błyskawicznie minęła kasę i otworzyła drzwi wejściowe. Homer po raz kolejny przetarł szybę i patrzył, jak dziewczynka zbiega po schodach, mija dwie statuetki przedstawiające lwy i pędzi chodnikiem. Kiedy dotarła do taty, tuż obok zatrzymał się samochód i wyszedł z niego dryblas w garniturze w niebieskie paski. Chłopiec rozpoznał mężczyznę, z którym jechał windą. Zanurzył ręce w kieszeni i po chwili znalazł jego wizytówkę. „Pan Koper, prawnik specjalizujący się w sprawach urazów oraz nieproszonych gości”. Madame zamieniła z nim kilka słów, mężczyzna zaś porozmawiał z policjantem. Madame wskazała na tatę.

Czy bycie nieproszonym gościem rzeczywiście było przestępstwem?

Pan Pudding nawet nie zauważył Gwendolyn, bo dyskutował z policjantem. Dziewczynka szarpnęła go więc za rękaw. Tata porwał ją w ramiona i uściskał, po czym, trzymając na wyciągnięcie ręki, znowu nerwowo gestykulował. Homer skrzywił się. Razem z siostrą wpadli jak śliwka w kompot. Co do tego nie miał wątpliwości. Za karę lista ich obowiązków wydłuży się tak, że nie będzie widać jej końca. Do Mlecznej Doliny będą przyjeżdżać dziennikarze, żeby zrobić wywiad z dziećmi, które bez przerwy pracują.

Zanim Homer na dobre wyobraził sobie obowiązki, które ojciec doda do jego aktualnej listy, wydarzenia na dole przyjęły niekorzystny obrót. Policjant wyciągnął pałkę i zamierzył się na tatę. Tata zacisnął pięści, a z głowy spadła mu czapka. Po chwili policjant złapał go za ramię i wepchnął do samochodu. Wściekła Gwendolyn kopnęła go, więc oficer również ją wepchnął do pojazdu, po czym zamknął drzwi. Przez cały ten czas Madame la Directeur stała obok i nawet nie kiwnęła palcem.

– Stop! Zaczekajcie! – zawołał Homer i podbiegł do kasy. Zamierzał otworzyć drzwi, kiedy nagle sobie coś przypomniał. – Pies?! – zawołał. Gdzie on się podział? – PIES!

Radiowóz odjechał. Madame uścisnęła rękę pana Kopra. Potem podniosła czapkę taty i wyrzuciła ją w zarośla. Kiedy szła w stronę muzeum, na jej twarzy pojawił się okrutny uśmiech. Homer nie miał już cienia wątpliwości, że zbliża się prawdziwe niebezpieczeństwo – bestia w szpilkach, która zamierza wepchnąć się między niego

a misję. Nie zamierzał nikomu oddawać monety!

Wrócił do wielkiej sali. Błyskawicznie rozłożył mapę muzeum. Lorelei powiedziała, że kolekcja monet znajduje się na trzecim piętrze. Spojrzał na indeks. Monety. Jaskinia Geniuszu, trzecie piętro. Złożywszy mapę, popędził na schody przykryte dywanem.

– Chodź, Psie! – zawołał, kiedy mijał wystawę Życie na Krawędzi.

Pies, który bawił się w „kto pierwszy mrugnie” z wypchanym morsem, poślizgnął się na wyfroterowanej podłodze i popędził za Homerem. Gdzieś na dole trzasnęły drzwi i o marmurową posadzkę wielkiej sali zaczęły stukać obcasy.

Chłopiec znalazł drzwi prowadzące na klatkę schodową. Za nic nie chciał skorzystać z windy. W połowie drogi na górę Pies zaczął dyszeć i stękać, więc Homer wsunął mu rękę pod brzuch i uniósł zwierzę.

– Nie możesz tyle jeść – poskarżył się. Kiedy wdrapał się na trzecie piętro, położył go na podłodze i sięgnął po smycz. Wstrzymał oddech. Winda nie ruszała się. Stukanie obcasów ucichło. – Chodźmy – szepnął.

Biegając korytarzem, minęli gigantyczną modliszkę broniącą wejścia na wystawę Świat Robactwa. Na jej widok Pies zaskamlał i przyspieszył. Przed wystawą Świat Ptaków stał wypchany struś.

– To tam – szepnął Homer.

Na samym końcu korytarza w otworze przypominającym wejście do gigantycznej świątyni błyskało jasne światło. Dopiero tam chłopiec i pies zatrzymali się.

To było miejsce rodem ze snów Homera czy opowieści jego wujka. Skarby stały rzędami, poustawiane na czarnych, atlasowych tkaninach, chronione przez podświetlane szklane witryny. Rubiny, szafiry, diamenty, turkusy, bursztyny i jadeity. Piraci wciągali żagle na maszt, a poszukiwacze skarbów opuszczali domy właśnie dla nich – błyszczących, połyskujących cudów ukrytych w głębi ziemi!

Chłopiec nie miał czasu na ich podziwianie. Kiedy ujrzał gablotę umieszczoną z tyłu sali, poczuł rosnące podniecenie. Poprowadził Psa wzdłuż ściany z geodami. Po chwili dotykał już rękami szyby i wodził oczami wzdłuż rzędów monet – rzymskich, egipskich i celtyckich. „No dalej, dalej, gdzie ona jest?”. Greckie i perskie monety. Monety

Majów. W końcu poczuł się zawiedziony. Ani jedna z nich nie przypominała tej, na której widniała skrzynka ze skarbami i litery L.O.S.T.

– Ona musi tu być!

Pies zawarczał.

Homer odwrócił się.

U wejścia do jaskini stała Madame la Directeur.

– Tu jej nie znajdziesz – powiedziała chłodno.

Szlachetne kamienie mieniły się w jej czarnych oczach.

– Och, czego nie znajdę? – zapytał Homer i odsunął się od gabloty z monetami. – Nie wiem, o czym pani mówi! – dodał.

Serce zabiło mu szybciej, kiedy zdał sobie sprawę, że jaskinia nie ma drugiego wyjścia.

– Nie musisz udawać, chłopcze. Wiem o monecie.

– Jakiej monecie? – Homer czuł się uwięziony niczym skamielina w skale.

Madame weszła do pomieszczenia.

– Monety, którą twój wujek w jakiś sprytny sposób przekazał tobie. Podejrzewam, że nie zechcesz mi jej zaoferować w zamian za zaproszenie na nasze małe przyjęcie?

Chłopiec zacisnął usta i nie powiedział ani jednego słowa. Czy ona oszalała? Nawet gdyby impreza okazała się szaloną balangą, nie oddałby tej monety. Nie ma mowy!

– Mogę ci pokazać, skąd ona pochodzi – powiedziała i uniosła brwi. Potem zrobiła kolejny krok. – Czy po to tutaj przyjechałeś? Chcesz się tego dowiedzieć?

Homer myślał intensywnie nad swoimi możliwościami. Mógł próbować ucieczki, ale dokąd by pobiegł? Przyjechał do Miasta rozwiązać zagadkę, a na razie niczego się nie dowiedział. Tej kobiecie nie można było ufać. Okłamała Gwendolyn i kazała ją aresztować razem z tatą, ale jednocześnie wiedziała coś, o czym on również chciał wiedzieć.

Zacisnął rękę na smyczy.

– No dobrze. Pokaż!

## Rozdział 21

### Królestwo Gadów

Gwendolyn miała rację”, pomyślał Homer, wychodząc za Madame la Directeur z Jaskini Geniuszu. Kobieta była piękna. Ale nie było to takie ciepłe piękno, którym promieniała jego mama – piękno płynące z uśmiechniętej twarzy i opatulające wszystkich wokół niczym miękka pierzyna. Madame czerpała swój urok z olbrzymich ilości kosmetyków do makijażu, modnych ubrań i biżuterii. To było piękno, które miało imponować już od pierwszego spojrzenia. Tyle że na Homerze nie robiło większego wrażenia. „Nie wszystko złoto, co się świeci – powtarzał mu często wujek. – Pamiętaj, że piryt może wyglądać jak złoto, ale w rzeczywistości jest bezwartościowym kamieniem”.

Na końcu korytarza Madame nacisnęła guzik windy. Homer pokręcił głową, a pies się cofnął.

– Nie lubimy wind.

– Musimy zjechać na pierwsze piętro – odpowiedziała. – Wsiadajcie.

– Nie. – Chłopiec uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. – Zejdziemy po schodach.

Kobieta zacisnęła zęby. Jej kark i policzki zrobiły się czerwone.

– Dobrze! Zejdziemy po schodach.

Na pierwszym piętrze Homer i Pies poszli za Madame do Królestwa Gadów. Ciężkie, gorące powietrze powitało ich już na progu. Ścieżka ze sztucznej trawy wiła się pomiędzy sztucznymi tropikalnymi drzewami. Wypchane pytony, boa dusiciele i kobry zwisały z gałęzi, obserwując przechodzących wygłodniałymi szklanymi oczami. Pies nastroszył sierść na karku, a z głębi jego krtani wydobył się głuchy warkot.

– Trzymaj tego kundla z dala od wystawy – powiedziała Madame, prowadząc ich do samego środka dżungli. – To pomieszczenie to moja duma – dodała.

W końcu zatrzymała się przed szklaną ścianą. Zachowując od niej

bezpieczny dystans, Homer spojrział poprzez swoje odbicie na zamrożone oczy mężczyzny ubranego w strój safari. „Takich ubrań potrzebuję”, pomyślał, podziwiając szorty khaki z wieloma kieszeniami i podobnie uszytą koszulę. Wujek Drake nosił taki strój. Chłopiec przesunął dłonią po swoim sztruksowym płaszczu. Szkoda, że w domu handlowym Walkera nie sprzedawali takich ubrań!

Obserwował mężczyznę z zazdrością. Miał wodoodporny kapelusz o szerokim rondzie, doskonale chroniący przed słońcem. Buty trekkingowe oraz wyjątkowo grube wełniane skarpety zabezpieczały go przed pijawkami i węzami. Na dodatek ścisnął w dłoni oryginalną lornetkę Boringtona. Za nim, oparte o namiot, stały strzelba i plecak. Na niewielkim polowym stolyczku leżały książki i mapy, a także aparat fotograficzny.

– Kim on był? – zapytał chłopiec.

– To figura przedstawiająca doktora Lionela Wortworthy’ego – wyjaśniła Madame. – Największego herpetologa w historii.

– Aha. Chodzi o to, że badał płazy i gady?

– Tak. Doktor Wortworthy złapał i wypchał każde zwierzę znajdujące się w tym pomieszczeniu.

– Każde?

W sali znajdowały się setki zwierząt, od drobnych, czerwonych neonowych żabek po żółtą anakondę grubości pnia drzewa.

– Przepraszam! – Madame wskazała tę część szyby, którą dotknął Homer. Potem wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i starła jego odciski palców. Kątem oka chłopiec zauważył, jak Pies podnosi nogę tuż obok wypchanej iguany. – Poświęciłam tej wystawie mnóstwo czasu. Wszystko to, co tu widzicie, jest autentyczne. To oryginalne ubrania doktora Wortworthy’ego, jego własny namiot oraz ukochany aparat fotograficzny. Nie ma tu żadnych modeli. Oczywiście oprócz samego doktora. Ale ta figura do złudzenia go przypomina.

– Kim są ci ludzie? – zapytał Homer, wskazując dwie twarze ukryte w zaroślach za Wortworthym.

Wskazując je, niechętny puścił smycz psa, który postanowił zwiedzić salę.

– To kanibale. Właśnie w ten sposób doktor zakończył swój żywot.

– Och.

W głowie chłopca pojawił się okropny obraz przedstawiający naukowca siedzącego w olbrzymim garnku. Madame rzuciła chusteczkę w stronę stojącego w kącie śmietnika. Nie trafiła. Mrucząc coś, podniosła ją i włożyła do pojemnika. Potem go kopnęła. Raz, drugi. Wreszcie wzięła głęboki oddech i odwróciła się w stronę Homera.

– O czym to ja mówiłam? Ach tak! Doktor Wortworthy był moim ojcem. Swoje życie poświęcił poszukiwaniu rzadkich i nieznanych gatunków płazów oraz gadów. Pomiedzy ekspedycjami zatrzymywał się tu, w muzeum, i zostawiał swoje znaleziska. Ponieważ był wyjątkowo utalentowanym kolekcjonerem, jego żona, Wilma von Weiner, podarowała mu niezwykle prezent.

– Wilma von Weiner? – Zdziwił się chłopiec. – To jedna z najbardziej znanych poszukiwaczek skarbów! Odnalazła Zaginioną Świątynię Króla Gadów!

Madame wykrzywiła usta.

– Jeśli mi przerywasz, to przynajmniej mów coś, czego nie wiem – stwierdziła i zaczęła krążyć w kółko. – Jak już mówiłam, ten niezwykle prezent, który moja mama podarowała ojcu, był monetą. Pamiątkową monetą z literkami L.O.S.T. po jednej ze stron.

– L.O.S.T.! – zawołał Homer. Po chwili zaczął oglądać guziki swojego płaszcza, próbując ukryć podniecenie. – Uhm... Może przypadkiem wiesz, co te litery oznaczają? Nie to, żeby mnie to interesowało, ale...

– Oczywiście, że wiem, co oznaczają – odpowiedziała Madame la Directeur i zatrzymała się. – Oznaczają... no... One oznaczają... tego, no... Listę Oryginalnych Stworzeń Tropikalnych. Tak, tak, dokładnie. To Lista Oryginalnych Stworzeń Tropikalnych. No bo doktor Wortworthy wypchał wiele oryginalnych, tropikalnych zwierząt.

Nazwa nie brzmiała zbyt przekonująco. Poza tym sposób, w jaki Madame się jąkała, przypominał Homerowi sposób, w jaki on czasami się jąkał. Na przykład wtedy, gdy okłamał panią Peepgrass, mówiąc, że uważa na lekcjach. „Nie, pani Peepgrass, wcale nie myślałem o poszukiwaniu skarbów. Ja... tego... no... no... myślałem o...

ułamkach zwykłych i dziesiętnych”.

Opowieść Madame la Directeur nie miała większego sensu. Jeśli moneta upamiętniała wypchanie tak wielu zwierząt, to dlaczego znajdowała się na niej skrzynia ze skarbami?

– Monetę, którą moja mama dała ojcu, masz teraz w kieszeni – powiedziała kobieta i podeszła do Homera. – Należy do muzeum. Jeśli mi ją oddasz, umieszczę ją tam, gdzie jej miejsce. Na wystawie.

– Ale ja nie...

Madame tupnęła obcasem.

– NIE OKŁAMUJ MNIE! Drake ukradł monetę z muzeum i dał ją tobie. Wiem, że masz ją w kieszeni, w pudełku po zapalkach. Chcę ją dostać! – zawołała, wyciągając dłoń w rękawiczce.

Homer odsunął się na bok, próbując uniknąć przeszywającego wzroku kobiety, i niemal przewrócił się o wypchanego żółwia skórzastego. Dlaczego wujek miałby kraść monetę z muzeum, skoro całe życie poświęcił na znajdowanie różnych rzeczy i przekazywanie ich podobnym placówkom? I dlaczego Madame wspomniała o pudełku po zapalkach? Gwendolyn wiedziała o monecie, ale nie o pudełku!

– To dlatego mnie tu zaprosiłaś? Bo uważasz, że mam tę monetę?

– Oczywiście. Chyba nie sądzisz, że jesteś VIP-em? – zakpiła. – Chociaż tak naprawdę miałam nadzieję, że Drake dał ci coś innego. Coś, czego od dawna szukaliśmy. Potraktuję tę monetę jak nagrodę pocieszenia.

Homer walczył z instynktem, który mu podpowiadał, że należy wsunąć rękę do kieszeni i w ten sposób bronić skarbu. Zamiast tego ostrożnie przeszedł na drugą stronę żółwia.

– Powinienem już iść – stwierdził.

Gdzie się podział Pies?

– Nigdzie nie pójdziesz. Chcesz, żebym zadzwoniła na policję i powiedziała, że masz przy sobie kradziony przedmiot? – zapytała Madame i ruszyła w jego kierunku. – W Mieście samo posiadanie kradzionego przedmiotu jest karalne. Grozi ci nawet więzienie.

– Węzienie?

Na czole Homera pojawiły się kropelki potu. Panująca

w pomieszczeniu tropikalna temperatura oraz świecące oczy gadów wywoływały u niego zawroty głowy. Spojrzał za Madame, w przeciwny koniec sali. Pies wbił właśnie zęby w wypchanego aligatora.

– Nikt nie musi wiedzieć, że twój wujek był złodziejem. To może być nasz sekret. – Kobieta ponownie wyciągnęła rękę i poruszyła palcami. – W każdej chwili będziesz mógł przyjść i popatrzeć na to świecidełko. Chyba nie chcesz, żeby inni ludzie nie mogli go podziwiać?

– Wujek Drake nic nigdy nie ukradł z muzeum. Zawsze mawiał, że skarbów szuka się w szczytnym celu – powiedział Homer i zagwizdał, próbując zwrócić na siebie uwagę Psa. Gdyby rzucił się do ucieczki, wypadłby na korytarz przed Madame. W szpilkach nie mogła przecież zbyt szybko biegać. – Pies! – zawołał. – Chodź tutaj, Pies!

– Grrr! – Zwierzę siłowało się z aligatorem i w końcu go przewróciło.

Madame la Directeur spojrzała wściekłym wzrokiem na chłopca.

– Wolność lub więzienie. Wybieraj.

– Yhy... Muszę skorzystać z łazienki. Za chwilę wrócę.

Homer odwrócił się w stronę wyjścia.

– Pies?

– Grrr.

Noga aligatora przeleciała przez salę.

Madame zacisnęła pięści.

– Posłuchaj, ty głupi wiejski kmiecie, moneta należy do mnie! Oddaj ją albo...

Pies przeszedł przez pomieszczenie, ściskając w zębach drugą nogę aligatora. Madame złapała jego smycz.

– ...albo już nigdy nie zobaczysz swojego Psa!



## Rozdział 22

### Pod Mikroskopem

Madame la Directeur szarpnęła za smycz. Pies zaskowyczał i puścił nogę aligatora. Szarpnęła mocniej, więc Pies głośniej zaskowyczał.

– Nie rób tak! – powiedział Homer. – To go boli.

Kobieta pochyliła się i wsunęła palce pod obrozę zwierzęcia. Zaczęła ciągnąć za nią, więc Pies zaczął się dusić. Zapiszczał i spojrzał błagalnie na chłopca. „Dlaczego ona mi to robi?”, mówiły jego załzawione oczy.

– Stój! Proszę, puść go! – zawołał Homer. – To mój pies! Nie rób mu krzywdy!

Z wyraźnym wysiłkiem Madame uniosła psa do góry za obrozę. Jego krótkie, przednie nóżki straciły kontakt z ziemią. Zaczął nimi przebierać. Wisiał jednak w powietrzu, a jego długie uszy bujały się.

– Pies albo moneta – zażądała kobieta.

Pies zapiszczał, walcząc o każdy oddech.

– STÓJ!

Chłopiec rzucił się na Madame i złapał ją za rękę. Mama zawsze powtarzała, że pod żadnym pozorem nie powinien bić dziewczyn. Tylko czy miała na myśli dziewczyny, które duszą psy? Szarpnął kobietę za ramię, próbując zmusić ją do rozluźnienia uścisku. Niestety była zaskakująco silna. Próbował wykręcić jej palce, lecz wtedy uniosła nogę i nieoczekiwanie kopnęła go w goleń szpiczastym obcasem.

– Au! – zawołał i się przewrócił. Poczul rozdzierający ból, ale był on niczym w porównaniu z agonią, którą czuł, patrząc na duszącego się psa. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął pudełko zapalek. – MASZ, WEŻ! – krzyknął. – No weź je. Po prostu je sobie weź! – dodał, po czym rzucił pudełkiem w kobietę.

Madame puściła obrozę i złapała skarb w locie. Pies wylądował na sztucznej trawie.

Homer padł na kolana i go objął.

– Tak mi przykro – szepnął w jedno z jego długich uszu.

Pies dotknął jego policzka swoim mokrym nosem i zamachał ogonem. Rodzice zawsze powtarzali, że złe traktowanie zwierząt jest grzechem. Gwendolyn, choć uwielbiała je wypychać, nigdy nie skrzywdziła żadnego futrzaka. Za każdym razem korzystała z martwych okazów znalezionych przy drodze lub zabitych przez mieszkające na farmie koty i psy. Dusząc Psa, Madame dowiodła, że jest okropną osobą. Chłopiec nie miał już żadnych wątpliwości.

– „Sklep z błyskotkami Zeldy” – powiedziała zde gustowana, spoglądając na pudełko po zapalkach. Wyjęła z niego monetę, a samo opakowanie wyrzuciła. – Ten dryblas będzie zaskoczony, kiedy dowie się, że go przechytrzyłam.

Dryblas? Homerowi opadła szczeka. Wysoka kobieta z pociągu poradziła mu, żeby schował monetę do pudełka po zapalkach. Potem obserwowała, jak wkłada błyszczący krążek do środka i chowa do kieszeni. To ona powiedziała o wszystkim dyrektorce! „Ja też robiłam straszne rzeczy. Trudne do opisanie”, wspomniała jeszcze w pociągu.

Chłopiec intensywnie myślał. A więc Zeldy i Madame współpracują. Olbrzymka nie zabrała mu momenty w pociągu, bo konduktor usłyszałby jego wołanie o pomoc. Zostawiła brudną robotę dyrektorce muzeum. Homer czuł, jak narasta w nim złość. Obserwował Madame przyglądającą się monecie. Jednak tak szybko, jak narastała złość, rosło też uczucie wstydu. Zawiódł wujka. Całkowicie, nieodwołalnie go zawiódł.

Kobieta nacisnęła znajdujący się na ścianie guzik. Z głośnika u góry dobiegł ich głos mężczyzny. To był ten sam głos co poprzednio.

– Co jest?

– Królestwo Gadów. I to już! – zażądała.

– Dlaczego?

– Nie płacę ci za zadawanie pytań. Masz pozbyć się psa i tego głupiego dzieciaka.

Pozbyć się? Ona bez wątplenia zamierza ich zabić!

Homer złapał smycz i zaczął biec przed siebie.

– Ucieczka nie ma sensu – zawołała Madame, jednak nie zadała sobie wysiłku, żeby ruszyć za nim. – On i tak cię znajdzie. Kamery są wszędzie!

Homer chciał przebiec przez główną salę i wybiec na zewnątrz drzwiami obok kasy. Taki właśnie miał plan. Nieoczekiwanie winda zrobiła „ding”. Przyjechała z piwnicy! A to oznaczało, że nie zdąży zrealizować planu!

– Chodź! – zawołał i pociągnął Psa w stronę wystawy zatytułowanej Pod Mikroskopem.

Szukał miejsca, w którym można było się ukryć. Pośrodku pomieszczenia stał gigantyczny mikroskop. Znajdujący się pod jego soczewkami pierwotniak widoczny był na wielkim ekranie. Styropianowe bakterie wysokości taty stały w dużej grupie. Z sufitu zwisało jądro atomowe wraz z orbitującymi elektronami.

Homer pobiegł na sam koniec pomieszczenia i wcisnął się za coś, co przypominało olbrzymie jajko na twardo i zgodnie z tabliczką nazywało się ameba.

– Cicho – szepnął chłopiec i ukucnął obok Psa. – Nie ruszaj się! – dodał.

Wyraźnie słyszał bicie własnego serca. Futrzak wsunął mu nos w rękaw.

– Twaddle! – zawołała wściekła dyrektorka.

– Co?

Chłopiec ostrożnie wyjrzał zza ameby. Madame i pan Twaddle, sekretarz Snootych, stali przed wejściem na wystawę. Mężczyzna miał na sobie ten sam garnitur w paski i dwukolorowe buty, które założył w niedzielę, gdy przywiózł na farmę Psa. Czy ten facet nie powinien być przypadkiem na wakacjach?

– Frontowe drzwi są zamknięte, więc na pewno nie uciekną. Podejrzewam, że schowali się gdzieś na tym piętrze – mówiła kobieta.

– Kiedy się ich pozbędziesz, przyjdź do mojej kryjówki. Musimy wreszcie przejrzeć do końca te wszystkie graty.

– Ale ja już je przejrzałem!

Madame podsunęła mu monetę pod nos.

– Zobacz, idioto. Widzisz ten niewielki otwór? Drake przemycił to świecidełko, przyczepiając je do obroży psa. Nie trzeba być specjalistą od operacji na otwartym mózgu, żeby się tego domyślić! – dodała i uderzyła go w klatkę piersiową. – Poza tym nie mów mi, że

przeszukałeś wszystkie graty, bo przecież wciąż nie znalazłeś tej mapy. A ona musi tu gdzieś być! – Uderzyła go po raz drugi, tym razem na tyle mocno, że niemal się przewrócił.

Homer wstrzymał oddech. Madame la Directeur miała rzeczy jego wujka, lecz wciąż szukała mapy. Pewnie chodziło jej o tę mapę, której również szukał Drake. Tę jedyną, wyjątkową mapę!

– Co jest takiego niezwykłego w tej monecie? – zapytał pan Twaddle.

– Nie wciskaj nosa w nieswoje sprawy. Od dawna o niej marzyłam i wreszcie ją mam – stwierdziła i ją pocałowała. – No, co tak stoisz? Szukaj tego dzieciaka.

– Dobrze, dobrze – gderał pan Twaddle.

– No szybciej! – Szturchnęła go. – Spotkamy się u mnie.

W pomieszczeniu z mikroskopem rozległa się na chwilę cicha muzyka – to drzwi windy otworzyły się i zamknęły. Pies wyciągnął nos z rękawa Homera i zaczął ziewać. Chłopiec błyskawicznie złapał go za pysk.

– Ciii!

– Hej, chłopcze! – zawołał mężczyzna. – Gdzie jesteś? Chłopcze!

Jego odgłos dobiegał z coraz większej odległości. Najwyraźniej pan Twaddle szukał go na innej wystawie.

Jeśli wujek Drake znalazł mapę Rumpolda Smellera, to Madame nie miała do niej żadnych praw. Tyle że ostatnią rzeczą, jaką Homer chciał zrobić, to pójść za nią do tej kryjówki. Wszyscy przecież wiedzą, że kryjówki są okropnymi miejscami należącymi do okropnych ludzi. Otaczają je trujące fosy, a w środku znajdują się izby tortur i narzędzia ostatecznej zagłady.

Tylko czy Homer miał inne wyjście? Gdyby poszedłna komisariat, policjanci by mu po prostu nie uwierzyli. Uśmiełoby się, słysząc, że dyrektorka królewskiego muzeum ukradła monetę oraz rzeczy należące do jego wujka. Nie miał zresztą żadnych dowodów. Nie mógł nawet zaprowadzić ich do tej kryjówki. Z pewnością stwierdziliby, że wszystko to sobie wymyślił.

Oczywiście mógł wrócić do domu i zabrać się za wypełnianie obowiązków z przedłużonej listy. Mógł unikać miejsca, w którym

stała niegdyś biblioteka. Mógł próbować zapomnieć o tym, że zawiódł wujka i stracił jego najcenniejszy skarb. Mógł wyrzec się marzeń i patrzeć, jak tata oddaje Psa.

Pomasował bolące miejsce na pomarszczonym karku zwierzęcia. Tam, gdzie Madame je dusiła.

– Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził – szepnął. – Ale musimy odnaleźć tę jej kryjówkę. Tylko w ten sposób zdobędziemy dowody...

Pies spojrzał na niego swoimi wielkimi, zażawionymi oczami i zamachał ogonem... uderzając nim w amebę.

– Tu jesteś! – zawołał pan Twaddle, złapał chłopca za ramię i go podniósł.

Pies zaczął szczekać.

– Puść mnie! – wydarł się Homer i kopnął mężczyznę w kostkę.

– Przestań się rzucać!

Choć sekretarz nie był o wiele większy od Homera, bez trudu wyciągnął go na korytarz. Pies złapał go zębami za nogawkę.

– Puść mnie! – huknął pan Twaddle i zamachał nogą. Zwierzę poleciało do tyłu, ściskając w pysku kawałek materiału. – Hej, lubiłem te spodnie!

Homer próbował kopnąć go w drugą kostkę, ale mężczyzna pchnął go na ścianę.

– Mówiłem, przestań się rzucać! Tylko wszystko utrudniasz!

Przecież o to chodziło? Co on myślał? Że Homer grzecznie pójdzie za nim nie wiadomo gdzie?

Pies podniósł się i zatopił zęby w kostce pana Twaddle'a.

– Auuuuu! – wydarł się mężczyzna, puścił chłopca i złapał psa. Stęknął, unosząc go i przerzucając przez swoje ramię. – Nie mogę uwierzyć, że wciąż masz tego głupiego kundla. Tylko Drake mógł zainteresować się takim tępym zwierzęciem! – dodał, po czym ruszył w głąb korytarza.

Przy każdym kroku futrzak odbijał się od jego pleców.

– Puść go! – zawołał Homer.

– Daj spokój, chłopaku, nic wam nie zrobię. Muszę się tylko upewnić, że opuścicie muzeum – odpowiedział pan Twaddle, po czym odwrócił się i spojrzał na niego. – Ale jeśli kopniesz mnie jeszcze raz,

to być może zmienię zdanie!

Pies zapiszczał.

Gdzieś w głębi serca Homer wierzył, że mężczyzna nie zamierza się ich „pozbyć”. Może nie miał podstaw, aby tak sądzić, ale to czuł. Zabicie dziecka to coś dużo bardziej poważnego niż kradzież monety. Nie oznaczało to jednak, że Twaddle nie potrafiłby ich skrzywdzić. Dlatego Homer postanowił nie walczyć i się nie kłócić. Zamiast tego powędrował za facetem na dół. Po drodze główkował: „Może zdołam wydusić z niego jakieś informacje?”.

– W biurze Snootych widziałem pana zdjęcie. To z książkami o poszukiwaniu skarbów – powiedział.

Mężczyzna nawet się nie zatrzymał.

– On waży z tonę. Czym go karmisz? Pączkami?

– Ja też mam sporo książek o skarbach – dodał Homer.

– To się ciesz.

Korytarz kończył się tuż obok sklepu z pamiątkami, naprzeciwko szerokich schodów głównej sali. Tuż obok stał pojemnik z wypolerowanymi kolorowymi kamieniami. Małe dzieci wierzyły, że to skarby.

– Dlaczego Madame la Directeur zabrała rzeczy mojego wujka?

– Stąpasz po kruchym lodzie, chłopcze. Zadajesz zbyt dużo pytań i kto wie, czy nie spotka cię to samo co jego. Ta kobieta jest zdolna do wszystkiego. Posłuchaj mojej rady i zabieraj się z muzeum tak szybko, jak to możliwe. Wtedy przeżyjesz!

„Kto wie, czy nie spotka cię to samo co jego”.

Kiedy Homer szedł za panem Twaddlem przez pokrytą marmurem salę główną, w jego głowie pojawiła się przerażająca myśl. A jeśli to nie był wypadek? Gwendolyn twierdziła, że żółwie nie jadają ludzi. Lorelei zauważyła, że mają zbyt małe pyski, żeby to w ogóle było możliwe.

„Ta kobieta jest zdolna do wszystkiego”.

A co, jeśli Madame la Directeur ponosiła odpowiedzialność za śmierć wujka Drake’a?

Pan Twaddle odsunął zasuwę w drzwiach i otworzył je na oścież. Potem wyrzucił Psa na zewnątrz.

– Idź do domu, chłopcze. Miasto to nie jest dobre miejsce dla wieśniaków.

Homer chciał mu zadać jeszcze kilka pytań, ale mężczyzna wypchnął go na zewnątrz i trzasnął drzwiami, a potem starannie je zamknął. Chłopiec patrzył przez szybę, jak zabiera paczkę ciasteczek ze sklepu z pamiątkami i oddala się niespiesznym krokiem.

Wujek Drake został zamordowany. Ale dlaczego? Żeby Madame la Directeur mogła położyć łapę na jego rzeczach i odnaleźć mapę Rumpolda Smellera? To w końcu najśłynniejsza piracka mapa na świecie. Wielu poszukiwaczy skarbów o niej marzyło, ale na razie żaden jej nie znalazł...

A jeśli wujkowi to się udało? Czy można pozwolić, żeby ta zabójczyni zdobyła mapę i nie poniosła kary?

– Cześć, Homer!

Ze strachu chłopiec niemal wyskoczył z butów. Kiedy odwrócił się, zobaczył uśmiechniętą twarz, a tuż nad nią różowe włosy.

– Nie mogłam wejść do magazynu, bo robotnicy byli już na miejscu. Postanowiłam zaczekać na ciebie i dowiedzieć się, jak było na imprezie.

– Lorelei! – Homer nigdy jeszcze tak bardzo nie ucieszył się na czyjś widok. Nawet Pies wydawał się szczęśliwy, bo stuknął dziewczynę swoim wilgotnym nosem. – Lorelei, potrzebuję twojej pomocy! Powiedziałaś, że potrafisz wejść do muzeum o każdej porze. Możesz mi pokazać, jak to zrobić?

Jego przyjaciółka skrzywiła się.

– Nie możesz po prostu wejść przez wejście dla VIP-ów? Po co chcesz się tam włamywać?

Chłopiec zdradził jej swoje tajemnice. Dlaczego miałby nie powiedzieć o tym, co się wydarzyło w środku? Słowa same cisnęły mu się na usta.

– Ona zabiła mojego wujka. To nie był wypadek. Nie wiem, jak to zrobiła, ale ludziom tylko się wydawało, że pożarł go żółw. Przecież żółwie nie jedzą ludzi! Gwendolyn zna się na tych rzeczach. Poza tym nigdy nie znaleziono jego ciała, a jedynie buty. Może ktoś położył buty obok żółwia, żeby wyglądało to na...

– Uspokój się, Homer. Oddychaj, bo zemdlejesz!

Chłopiec wziął głęboki oddech.

– Nazwała go złodziejem. Potem zabrała mi monetę. Stwierdziła, że należy do muzeum, ale gdyby tak było, mój wujek nigdy by mi jej nie dał. Nie był złodziejem. A ona zabrała wszystkie jego rzeczy, bo myśli, że jest wśród nich mapa. To dlatego pan Twaddle powiedział moim rodzicom, że wujek nie miał żadnych rzeczy. On pracuje dla niej, a ona zabrała wszystko. Dusił psa – wyrzucił z siebie Homer i pokazał ślad na karku zwierzęcia.

Dziewczynka ukucnęła i pogłaskała Psa.

– Kim jest ta „ona”?

– Madame la Directeur, szefowa muzeum. Ta ciemnowłosa kobieta chodząca na wysokich obcasach. Ma tu gdzieś kryjówkę.

Lorelei zaśmiała się.

– Kryjówkę? No co ty?! Byłam w tym muzeum milion razy i nie widziałam żadnej kryjówki.

Homer zrobił się czerwony. A więc mu nie wierzyła. Zresztą dlaczego miałyby wierzyć? Mówił jak szaleniec. No bo kto normalny ma kryjówki? To nie jest żaden film science fiction. Chłopiec spodziewał się, że za chwilę usłyszy jej śmiech. Ale dziewczynka zachowała spokój. Pogłaskała Psa po grzbiecie, a potem spojrzała w górę.

– No dobra. Sprawdźmy, czy zdołamy znaleźć tę kryjówkę.

Homer kiwnął głową.

Uwierzyła mu! Był tak wdzięczny, że prawie ją uściskał. Nie chciałby sam szukać tego miejsca. Kiedy Pies zaczął skubać źdźbła świeżo ściętej trawy, chłopiec rozłożył mapę muzeum. Razem z Lorelei oparł się o kamiennego lwa i oświetlił błyszczący papier latarką. Przyjrzał się każdemu piętru.

– Czasami można znaleźć jakieś ukryte miejsce, porównując kształt budynku z ułożeniem pomieszczeń w jego wnętrzu – wyjaśnił.

Lorelei, przytulając się do niego ramieniem, szukała kryjówki z porównywalną determinacją. W szkole nikt nigdy nie pomagał Homerowi. Pewnie nie uwierzyliby, gdyby powiedział im o kryjówce upiornej pani dyrektor. „Jesteś takim dziwakiem, Homer”, usłyszałyby.



A Lorelei wciąż w niego wierzyła. Gdyby po zakończeniu całej tej historii potrzebowała dachu nad głową, to powie rodzicom, żeby ją adoptowali. Przerobiliby strych na jej pokój. Chodziliby razem do szkoły i razem jadaliby obiady, więc nie musiałyby już korzystać z zup z puszek...

Na razie jednak przesuwali palce po mapie. Jego palec poruszał się wzdłuż zewnętrznych murów, jej wzdłuż wewnętrznych. Wszystko wydawało się być na swoim miejscu. W końcu chłopiec przesunął palec na tereny okalające budynek.

– Hej, co to? – zapytał, wskazując parę grubych niebieskich linii.

Lorelei spojrzała na legendę.

– Tu jest napisane, że to miejski kanał.

– Kanał? Taki z wodą?

– Tak mi się wydaje. – Wzruszyła ramionami. – Nigdy nie widziałam żadnej wody w pobliżu muzeum. Nie licząc oczywiście zbiorniczków, w których kąpią się ptaki.

– Według mapy kanał biegnie wzdłuż zachodniej ściany muzeum, a potem skręca na wschód. Podejrzewam, że znajduje się pod budynkiem! – Chłopiec wyciągnął kompas. – Co nie jest niemożliwe, bo znajdujemy się przy wschodniej ścianie i nie widzimy żadnego kanału.

Homer podniósł się i rozejrzał po ogrodzie.

– Spójrz na tamten klomb – powiedział w końcu. – Jest naprawdę szeroki. Ciągnie się od ściany muzeum aż po ulicę – dodał i podbiegł bliżej.

Przyjrzał się tabliczce wbitej w ziemię. „Niecka starego kanału miejskiego”.

– Taki sam klomb znajduje się po drugiej stronie – stwierdziła Lorelei. – Chyba rozumiem. Kanał został zasypywany!

– Albo – zamachał mapą chłopiec – przykryty ziemią. A jeśli wciąż jest pod nami? Jeśli rzeczywiście biegnie pod muzeum?

– Wtedy idealnie by się nadawał na kryjówkę!

Homer uśmiechnął się. Razem stanowili naprawdę dobrą drużynę.

– Muszę się dostać do środka i przyjrzeć mu bliżej. Pokażesz mi, jak tam wejść?

– Jasne, ale obiecaj, że nikomu nie powiesz o tym przejściu. Jeśli inni ludzie zaczną z niego korzystać, pracownicy muzeum szybko je odnajdą i zamurują. Wtedy nie będę już mogła wchodzić do środka bez opłaty!

– Obiecuję! – odezwał się poważnym tonem Homer.

Uścisnęli sobie ręce.

– No dobrze. Chodź za mną!

Chłopiec wyłączył latarkę i złożył mapę. Oba przedmioty wsunął do kieszeni płaszcza. Potem sięgnął po smycz psa i ruszył za Lorelei na drugą stronę budynku. Dawno już stracił poczucie czasu. Podejrzewał, że jest północ, ale blask ulicznych lamp i reflektorów umieszczonych na dachu muzeum zawiesił ogrody gdzieś między nocą a dniem.

Przez chwilę biegli wzdłuż północnej strony gmachu. Tę część terenu porastały krzewy. Nie było tu parkingu ani ogrodów, tylko dziko rosnąca roślinność. Mniej więcej w połowie drogi Lorelei rozsunała liście bluszczu, odsłaniając metalową kratę wystającą z ziemi.

– Sądzę, że to rodzaj wentylacji, ale nie jestem pewna – powiedziała, po czym wyciągnęła coś z kieszeni swetra i rzuciła Homerowi.

To coś przyczepiło się do jego płaszcza.

Chłopiec wstrzymał oddech. Szczurzyca Stokrotka patrzyła na niego swoimi przypominającymi paciorki oczami, poruszając ze zdenerwowania wąsami. Potem wdrapała się na kołnierz i dotknęła nosem jego policzka. Czyżby chciała przegryźć mu tętnicę szyjną?

Zwierzątko powąchało jego kark, usta, potem prawe i lewe ucho. Stał nieruchomo, lekko zezując, gdy powąchała jego nos.

– Miły szcurek – szepnął.

– Grrr! – zawarczał Pies u jego stóp.

Lorelei uklękła i z trudem uniosła kratę. Potem włożyła głowę do znajdującej się za nią metalowej rury.

– Trochę trzeba się poczołgać. – Jej głos odbił się echem od stalowych ścian. – I jest tam mnóstwo pajaków. Informuję na wypadek, gdybyś się ich bał.

Pajaki były jednak najmniejszym z jego problemów. Homer nie był

pevien, czy zmieści się do środka.

– Rura prowadzi do piwnicy. Po jej drugiej stronie również znajduje się krata, ale bez trudu ją otworzysz. Piwnicy nigdy nie badałam. Podejrzewam, że jest tam po prostu kilka biur.

– Lorelei? Czy mogłabyś... – Skrzywił się Homer, gdy Stokrotka obwąchała jego twarz.

– Ach, no tak. Sorki.

Dziewczyna oderwała szczurzycę od jego koszuli. Chłopiec zadrżał.

W tym samym momencie w powietrzu rozległ się wirujący odgłos i oślepiło go jasne światło. Czyjeś ręce wysunęły się z góry, chwyciły go i uniosły.

Lorelei krzyknęła.

**Część piąta**  
**Wieża na tle nieba**

## Rozdział 23

### Chmury, wszędzie chmury

Uświadomienie sobie, co się stało, zajęło Homerowi trochę czasu. Blask go oślepił, więc zrobił zeza i wyciągnął przed siebie rękę. Rozpłynęła się w nicości. Powyżej niego, poniżej i wszędzie dookoła była biel.

Chłopiec znajdował się we wnętrzu chmury!

Czy wyglądałeś kiedyś przez okno samolotu przelatującego przez cumulusy? Widać tam zupełnie inny świat. Świat wypełniony cienutkimi białymi łodygami i kłębiastymi liśćmi. Pewnie też wyobrażałeś sobie, że przeskakujesz z jednej chmury na drugą jak na trampolinie albo zjeżdżasz w dół niczym z górki? Oczywiście ktoś na tyle głupi, żeby tego spróbować, spadłby z dużej wysokości. Chmury nie są przecież ciałem stałym, a jedynie nagromadzeniem pary wodnej.

Właśnie dlatego Homer był w szoku. Czuł, że na czymś siedzi. I to na czymś twardym. Jego nogi spoczywały na podłodze, a kiedy wyciągnął rękę, namacał dach. Otarł wilgoć z oczu i rozejrzał się po otoczeniu pozbawionym kolorów.

– Pies? – zapytał.  
– Urrr! – Czyjaś łapa stanęła na jego bucie.  
– Tutaj jesteś – powiedział z ulgą i położył zwierzę na swoich kolanach.

Pies dotknął zimnym nosem jego ucha.

– Gdzie my jesteśmy? – Rozległ się dziewczęcy głos.  
– Lorelei? To ty?

Najpierw zobaczył jej różowe włosy, a dopiero potem zadarty nos. Jego przyjaciółka wysunęła głowę z nicości.

– Ktoś mnie porwał – stwierdziła roztrzęsionym głosem.  
– Mnie też. – Homer zaczął machać rękami, aż chmury nieco się przerzedziły, odsłaniając Lorelei siedzącą tuż obok niego.

Kiedy jednak przestał wachlować, biel powróciła.

Dziewczynka westchnęła.

– Poruszamy się. Czujesz to? Gdzieś lecimy!

– Racja. – Chłopiec czuł ucisk w żołądku, zupełnie tak jak w windzie. – Myślę, że jesteśmy w chmurze, o której ci wspomniałem.

– Masz na myśli faceta z mieczem? – Lorelei wzięła głęboki oddech i zaczęła dmuchać, aż powietrze pomiędzy nimi się przeredziło. Ze strachu szeroko otworzyła oczy. – Musimy się stąd wydostać!

– Jak?

– Nie mam pojęcia. Ale nie podoba mi się tutaj! – Biel, która była między nimi, wróciła. – Zamierzam zeskoczyć na ziemię.

Homer na wszelki wypadek przytrzymał Psa.

– Nie możesz tego zrobić. Przecież nie wiemy, jak wysoko się znajdujemy.

– Ale musimy coś zrobić – upierała się Lorelei, łapiąc go mocno za ramię. – Zostaliśmy porwani, nie rozumiesz? Ludzie, którzy porywają dzieci, są źli do szpiku kości!

Najwyraźniej zło było głównym tematem dnia.

– Ja się stąd zabieram – zdecydowała, a Homer usłyszał odgłos przesuwania i zanim zdążył jej powiedzieć, że to fatalny pomysł, jego fotel się przechylił.

– Co ty, do diabła, wyrabiasz? Przestań się tam kręcić! – odezwał się ktoś męskim głosem.

Pies zeszywniał. Homer również zeszywniał, ponieważ rozpoznał akcent mężczyzny. To był Ajitabh.

– To on – szepnął. – Lorelei? Wszystko w porządku?

Znów usłyszeli dziwne odgłosy, a potem jego fotel wrócił do poprzedniej pozycji.

– Tak – odpowiedziała dziewczynka. – Jednak się rozmyśliłam. Z bieli, tuż przed twarzą Homera, wyłoniła się para gogli.

– Lepiej będzie, jeśli je założysz – powiedział Ajitabh.

– Odwieź nas do muzeum! – zażądał chłopiec.

– Właśnie. I to natychmiast! – zawołała Lorelei.

– Nie mam czasu na pogawędki. Chmurokopter lata na znacznych wysokościach. Jeśli nie chcecie, żeby zamarzyły wam gałki oczne, to założcie gogle. No chyba że planujecie przez resztę życia być ślepi jak krety... – Z chmur wyłoniła się kolejna para. – Te są dla psa.

Temperatura rzeczywiście spadła. Homer założył gogle, po czym sięgnął po drugą parę i wsunął ją na łeb futrzaka. Pies potrząsnął nim, próbując się ich pozbyć.

– Lorelei, dostałaś gogle? – zapytał chłopiec.

– Tak. – Dziwne było siedzieć tak blisko niej i zupełnie jej nie widzieć. – Hej, gościu od chmury, dokąd nas zabierasz? – zawołała.

Powietrze zrobiło się jeszcze zimniejsze. Homer cieszył się, że wziął ze sobą ciepły płaszcz.

– Jeśli nie chcecie spać i się zabić, przyjaciele, to zapnijcie pasy. W chmurokopterze nie ma drzwi, a ja zamierzam za chwilę ostro skrócić.

Rozległo się kliknięcie. To Lorelei zapięła pas. Homer nie chciał umierać tego dnia (ani żadnego innego), więc zaczął się rozglądać za swoim pasem.

– Nie mogę go znaleźć – powiedział. Czuł rosnący ciężar w żołądku. Nagle chmura przechyliła się i Pies zaczął się ześlizgiwać z jego kolan. – POMOCY! – zawołał. Ponieważ chmura nadal się przechylała, Homer miał wrażenie, że zsuwa się z siedzenia. – Spadniemy! – wydarł się.

Jedną ręką trzymał się kurczowo podłokietnika, drugą owinał wokół swojego włochatego przyjaciela.

– Homer! – Lorelei złapała go obiema rękami za ramię. – Trzymaj się!

Z całych sił ścisnęła rękaw jego płaszcza, on zaś wtulił się w fotel, przytrzymując wolną ręką Psa. Walcząc z grawitacją, naciskał stopami podłogę i starał się przykleić swoją pupę do fotela. Z wysiłku nogi zaczęły mu drżeć.

Chmura przechyliła się jeszcze bardziej.

– Pomóż mu! – zawołała Lorelei. – Nie przypiął się.

– Co mówisz? – odezwał się Ajitabh. – Nie słyszę cię!

Homer zacisnął powieki, wysyłając wszystkie swoje siły do mięśni rąk i nóg. Przedramiona i barki bolały go coraz bardziej. Pies zapiszczał i zsunął się jeszcze kawałeczek. Ważył zdecydowanie zbyt dużo. Za chwilę pewnie spadnie i zginie. Nic nie dało się zrobić!

Futrzak zaczął przebierać łapami, a potem wyślizgnął się Homerowi

z rąk. Chłopiec w ostatniej chwili złapał go za obrozę.

– POMOCY!

– Trzymajcie się! – zawołał Ajitabh. – Wychodzę ze skrzytu... Teraz!

Nagle chmura znalazła się w pierwotnym położeniu. Pies wrócił na kolana Homera, a Lorelei, wciąż ukryta w bieli, puściła ramię chłopca, a potem podała mu płócienny pas.

– Zobacz, tutaj jest.

Kiedy przeciągnął go nad Psem i zapiął, serce miał niemal w gardle.

Lorelei znów zaczęła dmuchać, aż powietrze między nimi się oczyściło. W goglach wyglądała jak jakiś insekt.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak – odpowiedział w przerwie między głębokimi oddechami. Wyciągnął nogi i potarł bolące ramiona. – Dziękuję. Uratowałeś nas.

– Cóż, może następnym razem to ty mnie uratujesz.

Chmura znów zasnuła przestrzeń między nimi i twarz Lorelei zniknęła.

Homer poczuł wilgoć pod kołnierzem i zadrżał. Nie miał wątpliwości, że Ajitabhowi zależało na jego monecie. Przyleciał po nią na farmę Puddingów, a potem rozbił szybę w kancelarii Snooty'ego i Snooty'ego. Jednak chłopiec nie miał już tego świecidełka. Jak mężczyzna na to zareaguje? Czy puści ich wolno? A jeśli zdenerwuje się i zrzuci ich z chmurokoptera?

– Uwolnij Lorelei! – zawołał. – Ona nie ma z tym nic wspólnego!

– Trzymajcie się! Przed nami turbulencje!

Kiedy chmura się zatrzęsała, Pies zapiszcział. Lorelei odgoniła biel rękami i nachyliła się w stronę Homera tak mocno, jak to było możliwe.

– Musimy... wymyślić... jakiś... plan – powiedziała, a jej głos wibrował przy każdym podskoku. – Kiedy... wreszcie... te... turbulencje... się skończą... pobiegniemy... do przodu... i go... zrzucimy!

– A potem co?

Pies tak podskakiwał na jego kolanach, że aż zdętwiały mu nogi.

– Czy ja... muszę... myśleć... o wszystkim?

Wstrząsy się nasiliły. Homer bał się, że jego głowa oderwie się od



reszty ciała. Próbował przeanalizować plan Lorelei. Nawet gdyby udało im się zepchnąć Ajitabha z chmury, co z pewnością zostałyby uznane za morderstwo, to w jaki sposób dostaliby się do domu?

Chłopiec nie miał pojęcia, jak kierować chmurokopterem. Nie wiedział nawet, czym tak naprawdę jest to urządzenie i gdzie się znajdowali!

– Nie możemy go zepchnąć. To zbyt niebezpieczne. Coś wymyślę, ale na razie skorzystajmy z kompasu. Powinniśmy śledzić trasę lotu, żeby wiedzieć, którądy wrócić do domu. Będę zapisywać twoje odczyty.

– Dobry pomysł!

Pomiędzy kolejnymi podskokami Homer sięgnął do kieszeni i wyciągnął szwajcarski scyzoryk. Wśród narzędzi znalazł miniaturowy ołówek i zaczął na wolnym kawałku mapy muzeum notować dane, które Lorelei przekazywała mu szeptem.

Czas płynął. Każda minuta turbulencji oddalała ich od Miasta. Czy będą musieli wracać do domu pieszo? Gdyby Lorelei miała prawo jazdy, mogliby po prostu ukraść ciężarówkę.

– Ile masz lat? – zapytał Homer.

– Dwanaście – odpowiedziała.

No tak, będą musieli iść pieszo. Czy to będzie ich „Odyseja”? Czy Homer spędzi poza domem okrągłe dwadzieścia lat?

W końcu turbulencje ustały i chmurokopter łagodnie szybował po nocnym niebie. Co jakiś czas przez grube warstwy chmur przebijała się jakaś gwiazda. Pies wyciągnął się na kolanach Homera, wystawiając tyłek poza siedzenie, po czym zasnął. Jego tyłek z kolei Homer wykorzystał jako stolik do zapisywania kolejnych odczytów kompasu.

Minęła godzina, a potem kolejna. Powieki zaczęły mu ciążyć, a głowa lecieć do przodu. Nagle się przebudził. Chmura zatrzymała się. Lodowate powietrze kłuło go w nos.

– Chyba wylądowaliśmy – szepnęła Lorelei.

Ponieważ dziwny odgłos wirowania ustał, zdjęli gogle. Para wodna powoli się rozrzedzała i po chwili przyjaciele po raz pierwszy zobaczyli chmurokopter w całej okazałości.

W rzeczywistości był to niewielki, pozbawiony drzwi śmigłowiec z dwoma siedzeniami z tyłu i kokpitem z przodu. Z maszyny sterczały błyszczące metalowe tuby. Z jednej z nich, znajdującej się tuż obok Homera, wynurzyła się spóźniona chmurka.

Chłopiec i pies wychylili się za podłokietnik. Okazało się, że wylądowali na dużej, okrągłej platformie. Była pozbawiona ścian i barierek, po prostu kończyła się przepaścią. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się góry. Ich pokryte śniegiem szczyty sięgały gwieździstego nieba.

– No i co siedzicie jak skamieliny? – Ajitabh wysunął głowę z dziury w platformie. Miał na sobie skórzaną kurtkę pilotkę, a gogle przesunął na czoło. – Nie ociągajmy się. Herbatka i coś na ząb? – Brzmiał dość wesoło jak na porywacza.

Lorelei złapała Homera za rękę. Stokrotka wy dostała się spod swetra i usiadła na jej ramieniu.

– Nie idź. Chciał cię zabić, pamiętasz?

Chłopcu nikt tego nie musiał przypominać. Błysk miecza wyrzył się na zawsze w jego umyśle.

– Puść Lorelei i psa. Potem dam ci monetę – wydukał zmarzniętymi ustami.

– Puść też Homera! – zawołała dziewczynka. – On nie ma już tej monety. Zabrała mu ją dyrektorka muzeum.

Chłopiec żałował, że to powiedziała. Zamierzał wykorzystać monetę jako kartę przetargową. Jedyłą, jaką miał.

Czy Ajitabh się wścieknie? O dziwo, porywacz przyglądał tylko swój długi wąs.

– Cholerna szkoda. Ale nie łamta się. Wciąż możesz ubiegać się o członkostwo. Nawet bez monety.

– Członkostwo? – obniżyła głos Lorelei. – O czym on mówi?

– Nie wiem.

– Chodźcie, chodźcie. Wszyscy. Pies i szczur też. Mumble poczęstuje nas curry z ciecierzycy. Stara się, jak może, żeby odtworzyć odrobinę Indii w moim samotnym górskim domeczku.

Głowa Ajitabha zniknęła w dziurze.

Homer nie wiedział, czym jest ciecierzycy. Na pseudoimprezie dla

VIP-ów nie zjadł nawet jednego ciasteczka i jego żołądek właśnie zaczynał skrecać się z głodu. I to mimo dość szarpanej podróży!

– To mi wygląda na pułapkę – stwierdziła Lorelei. – Pamiętasz, co Kirke zrobiła Odyseuszowi? Podała mu i jego ludziom mnóstwo jedzenia, a potem zamieniła ich wszystkich w świnie – wyjaśniła, po czym wdrapała się do kokpitu. – Może zdołamy gdzieś polecieć. Mamy dane z kosmosu. Moglibyśmy wrócić do domu – dodała i przebiegła rękami po wskaźnikach widocznych na pulpicie. – Wiesz, jak tym się lata?

– Nie – przyznał Homer. Burczało mu w brzuchu. Ale bardziej niż głód męczyła go ciekawość. O jakie członkostwo mógł się ubiegać? – Chyba pójdę i porozmawiam z nim. Możesz tu zostać – dodał, po czym zsunął Psa z kolan i wyskoczył z chmuropłotera.

Wylądował na platformie.

– Hauuuuuuu!

– Nie martw się. Nie zamierzam cię zostawić.

Chłopiec wyciągnął rękę i zdjął futrzakowi gogle, po czym pomógł mu wyjść z maszyny. Przywiązał smycz do obroży, tak aby zwierzę przypadkiem nie spadło z platformy.

Stokrotka przeskoczyła z ramienia Lorelei na ramię Homera, a potem zeszła na ziemię i popędziła do jakiejś dziury.

– Wygląda na to, że idę z tobą – stwierdziła Lorelei i zeskoczyła na dół. – Tu zresztą jest zbyt zimno.

Potem podeszła do krawędzi platformy i lekko się wychyliła.

– Znajdujemy się na szczycie jakiejś wieży – zauważyła. – Dziwne miejsce do życia.

Kiedy Homer stanął obok niej, poczuł, że ma lęk wysokości. W oddali rozciągała się przykryta śniegiem dolina. Wieża wydała mu się jednak znacznie wyższa niż trzydzieści dwa piętra biurowca.

– Przepraszam, że cię w to wciągnąłem – powiedział, a jednocześnie się cofnął.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Byłam w gorszych miejscach. – Wiatr zmierzwił jej różowe włosy. Przez moment stali i patrzyli sobie w oczy. – Boję się – przyznała.

– Ja też.

Dziura w platformie okazała się wejściem na dość strome schody.

Wewnątrz Homer odpiął psu smycz, złożył ją i schował do kieszeni.

– Pozwolę ci zjeść pierwszemu – zdecydowała Lorelei. – I jeśli zamienisz się w świnie, biorę nogi za pas. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Powoli schodzili po schodach, z psem pośrodku. Jeden ostrożny krok za drugim...

## Rozdział 24

### Zdobywca niebios

Homer, Pies i Lorelei powoli schodzili po spiralnych schodach. Świece umieszczone w niewielkich wnękach rzucały niepokojące cienie na kamienne ściany. Pierwsze osiem drewnianych drzwi zamknięto na cztery spusty. Dopiero dziewiąte stały otworem.

– Tutaj! – zawołał Ajitabh.

Z korytarza dopływało ciepłe powietrze. Przyjaciele spojrzeli na siebie z trwogą, po czym powoli weszli do środka.

Na wyłożonej dywanami podłodze leżały kolorowe poduszki. Kociołek z wodą bulgotał na niewielkim piecyku opalanym drewnem. Ajitabh, już bez kurtki lotniczej i gogli, sięgnął po niego i postawił na niskim, okrągłym stoliku. Potem nalał parujący brązowy płyn do trzech szklanek.

– No chodźcie – powiedział, zachęcając ich ręką. – Mam nadzieję, że lubicie czaj.

Homer spojrzał z uwagą na twarz mężczyzny, który próbował go zabić. Czarne wąsy i broda, łukowato wygięte brwi oraz niemal czarne oczy nadawały mu cech przestępcy. Strój mężczyzny nie wyglądał jednak złowieszczo. Sięgająca kolan biała, haftowana koszulka zwisała nad parą znoszonych dżinsów. Stopy miał gołe. Miecz odłożył na półkę.

Homer czuł, że musi się zbuntować.

– Czego chcesz? – zapytał surowym tonem. Pies wepchnął się między jego łydki, a Lorelei zerknęła zza jego pleców. – Dlaczego nas tu sprowadziłeś?

Ajitabh odstawił czajnik na bok.

– Przywiozłem was tutaj, bo musimy porozmawiać. Wciąż uciekałeś przede mną. Dlaczego, do jasnej ciasnej, brałeś nogi za pas?

– Dlaczego? – Chłopiec otworzył usta. – Bo wciąż mnie ścigałeś! I próbowałeś mnie zabić tym swoim mieczem!

– Próbowałem cię zabić? – Uśmiechnął się Ajitabh. – Co za pomysł! Jesteś bratankiem mojego najlepszego przyjaciela. Nigdy bym cię nie

skrzywdził. Miecz noszę przy sobie za każdym razem, gdy lecę do Miasta. To szatańskie miejsce. Nie zliczę, ile razy mnie tak okradli!

Homer zmrużył oczy.

– Jeśli nie chciałeś mnie zabić, to dlaczego wpadłeś przez okno do tej kancelarii?

– Przecież nie mogłem tak po prostu wylądować chmurokopterem na ulicy! Na szczęście ta maszyna potrafi unosić się w miejscu – wyjaśnił, głaszcząc swoją brodę. – Sądziłeś, że chcę cię zabić? Co za nieszczęśliwe nieporozumienie! Przyjmij moje najszczerze przeprosiny.

– A dlaczego złapałeś mnie w sadzie wiśniowym? Podarłeś mi koszulę!

Ajitabh skrzywił się.

– Ponownie przepraszam. Desperacko pragnąłem z tobą porozmawiać. Bałem się, że nie będę miał drugiej szansy!

Jego wyjaśnienia miały sens, ale Homer wciąż nie był przekonany.

Pies warknął na widok Stokrotki biegnącej przez dywan. Wskoczyła na żółtą poduszkę i zaczęła myć swój ogonek. Lorelei podeszła bliżej.

– A co ze mną? Dlaczego mnie uprowadziłeś? Ja nic nikomu nie zrobiłam!

Ajitabh podniósł jedną ze szklanek i podmuchał na czaj.

– Kim ty właściwie jesteś?

Dziewczyna położyła ręce na biodrach.

– Co z ciebie za porywacz, jeśli nawet nie wiesz, kogo porwałeś? Pytasz, kim jestem? A kim ty jesteś? To właśnie chciałyby wiedzieć. I dlaczego mieszkasz w tej wieży?

– Słuszne pytania – stwierdził i napił się. – Nazywam się Ajitabh, co oznacza „Zdobycza Niebios”. Urodziłem się w Indiach, ale większość życia spędziłem w Wielkiej Brytanii. Jestem doktorem wydziału wynalazków uniwersytetu w Cambridge. Ta wieża to mój dom i miejsce pracy. Potrzebuję... odosobnienia. – Pociągnął kolejny łyk. – Jesteś tu dlatego, młoda damo, że policja przeczesywała teren muzeum w poszukiwaniu nieproszonych gości. Gdybym cię tam zostawił, opowiedziałyby im o chmurokopterze. Oczywiście nie uwierzyliby ci, ale Madame la Directeur owszem. Niewiele

brakowało, a odnalazłaby moją wieżę. Nie chciałbym dać jej powodu do wznowienia poszukiwań – dodał i zachęcił ich, żeby usiedli.

W pomieszczeniu nie było krzeseł. Homer poprowadził Psa do przypominającej zebra poduszki w paski i usiadł na niej ze skrzyżowanymi nogami. Lorelei klapnęła na poduszce w czerwone paski. Obydwoje odłożyli gogle na stół. Pies umościł się obok Homera i choć zamknął oczy, po chwili otworzył jedno, aby sprawdzić, co robi Stokrotka.

– Dlaczego Madame la Directeur szukała twojej wieży? – zapytał chłopiec.

– Bo chce położyć swoje chciwe łapska na moich wynalazkach. Wprost marzy o tym, żeby zajrzeć do moich laboratoriów. I to wszystkich piętnastu!

– Masz piętnaście laboratoriów? – Zdziwił się Homer.

– Wybudowałbym więcej, ale wieża była bliska przewrócenia się – wyjaśnił, po czym odsunął na bok gazety i usiadł na niebieskiej, atlasowej poduszce. – Gdzie, u diabła, jest nasze jedzenie? Mumble!

W drzwiach pojawił się stary Hindus. Był całkiem łysy i zgarbiony. Ręce wytarł w zatłuszczony fartuch.

– Tak?

– Jedzenie?

– Ale twoja przyjaciółka dopiero wylądowała. Też będziesz ją karmił?

– Owszem, ale ona nie przepada za curry z ciecierzycy! Może zrobiłbyś jej ulubione naleśniki?

Mumble skrzywił się i na jego twarzy pojawiły się miliony zmarszczek.

– Ta kobieta zje jak wieloryb! Będę robił te naleśniki przez całą noc! – poskarżył się, po czym poczłapał do kuchni.

Homer przypomniał sobie naleśniki z borówkami swojej mamy, lekko przysmażone i posmarowane dżemem truskawkowym. Zduślił ziewnięcie. Choć wciąż bał się, że Ajitabh chce go skrzywdzić, to miał wielką ochotę się zdrzemnąć. Nie zmrużył oka od wyjścia z pociągu, a to było dzień wcześniej. Marzył o tym, żeby zwinąć się jak Stokrotka.

Ajitabh położył dłoń na stole.

– Homer, jak już mówiłem, nie masz się czym przejmować. Tutaj jesteś całkowicie bezpieczny. Byłem w miejskim więzieniu i zapłaciłem kaucję. Twój tata i siostra są już na wolności. Na szczęście bycie nieproszonym gościem to tylko wykroczenie. Wysłałem też do twojej mamy wiadomość, że wszystko jest w porządku. Sprzedałem jej genialną historyjkę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Chyba rozumiesz, że nie mogłem napisać prawdy. Jeszcze nie teraz. Poinformowałem ją, że jako gość VIP dostałeś od Muzeum Historii Naturalnej zaproszenie na darmową wycieczkę i wrócisz do domu za kilka dni. Nie chciałem, żeby się martwiła. Na Jowisza, twój wujek ją uwielbiał!

Mówiąc to, pochylił się i podsunął dzieciom szklanki z czajem.

Być może rzeczywiście zapłacił kaucję. Ale równie dobrze mógł kłamać. Z całą pewnością zaakceptował fakt, że Homer nie ma już monety. A jeśli tak, to po co ich więził?

Homer podniósł szklankę i napił się. W czaju wyczuł cynamon. Lorelei z szeroko otwartymi oczami obserwowała, jak przęłyka napój. Przez chwilę zastanawiał się, czy tak dla żartu nie zakwiczeć. Jednak sytuacja była zbyt poważna.

– Skąd znasz... znałeś mojego wujka?

Ajitabh uniósł brwi.

– Z przyjemnością ci to wyjaśnię, ale moja odpowiedź jest raczej poufnej natury – stwierdził i spojrzał na Lorelei.

– Chcesz, żebym wyszła? – zapytała, wyprostowując się. – Świetnie. Tylko odwieź mnie do Miasta.

– Na razie nie mogę tego zrobić. Chmurokopter musi się naładować. MUMBLE!

– Tak? – Usłyszeli z korytarza.

Starszy mężczyzna momentalnie pojawił się w drzwiach, z poobijaną drewnianą łyżką w garści.

– Podaj naleśniki pannie...

– Lorelei – powiedziała Lorelei.

– Tak, no właśnie. Podaj naleśniki pannie Lorelei i jej szczirowi, ale w kuchni. Potem pokaż jej pokój dla gości. Jestem przekonany, że



na pewno będzie chciała się zdrzemnąć.

Dziewczynka zerwała się na równe nogi. Pies zerwał się na krzywe łapy.

– Oszalałeś? Nie zostawię tu Homera. Chciałeś go zabić!

– Jak już próbowałem wyjaśnić, to było zwykłe nieporozumienie.

Homer wstał z przypominającej zebkę poduszki i podprowadził przyjaciółkę do okna.

– Możesz iść – szepnął, spoglądając na Ajitabhę. – Zostanę tu i dowiem się, o co chodzi.

– Ale jeśli się rozdzielimy, staniemy się dla niego łatwiejszymi celami.

Chłopiec potarł zmęczoną twarz.

– Spróbuj dowiedzieć się czegoś od kucharza.

Lorelei kiwnęła głową.

– No dobrze. Nawet niezły plan. Ale żadne z nas nie odleci stąd bez drugiego. Zgoda?

– Zgoda.

Dziewczynka posłała Ajitabhowi nieprzyjemne spojrzenie, a potem podniosła leżącą na żółtej poduszce Stokrotkę i poszła za starym kucharzem.

Homer odwrócił się w stronę mężczyzny.

– Więc skąd znasz mojego wujka?

Jednak Ajitabh nie odpowiedział, bo w tym samym momencie ktoś wszedł do pokoju. Homer od razu zrozumiał, że ma poważne kłopoty.

## Rozdział 25

### Jeszcze jeden list

Homerze, to moja przyjaciółka Zelda. Ach, no tak! Przecież już się poznaliście!

Olbrzymia kobieta z pociągu, ta sama, która przyznała się do zrobienia strasznych, wręcz trudnych do opisanie rzeczy, weszła do pokoju. Zgarbiona huśtała latarenką, którą miała w dłoni. Zdjęła gogle, po czym wyprostowała swoje podłużne ciało. Do sufitu brakowało jej zaledwie kilku centymetrów. Odgarnęła siwe włosy opadające na oczy i posłała chłopcu poważne spojrzenie.

– Cieszę się, że widzę cię całego i bezpiecznego, Homerze Puddingu  
– powiedziała, po czym ostawiła latarenkę na półkę, tuż obok miecza.  
– Wybacz mi zabłocone buty, Ajitabh. Noc przyniosła mi smutne myśli. Spacerowałam właśnie po bagnach, kiedy pojawił się chmurokopter – dodała i zrzuciła buty.

Jeden z jej palców wystawał z postrzępionych czarnych skarpetek.

– To ty! – Homer cofnął się. Był coraz bardziej czerwony na twarzy.  
– To ty powiedziałaś Madame la Directeur, że monetę ukryłem w kieszeni, w pudełku po zapalkach!

– Uspokój się, chłopcze. Zelda nigdy nie przekazałaby tego typu informacji Madame.

– Ale to zrobiła! – Homer podszedł do Psa. – Tylko ona wiedziała, że moneta znajduje się w pudełku. Sama kazała mi tam ją schować. To pamiątka po wujku. Należy do mnie!

– Owszem, należy – zgodziła się kobieta i przerzuciła pelerynę na plecy. Jej niski głos dudnił niczym syrena mgłowa. – Domyślam się, że obecnie ma ją Madame?

– Mówisz, jakbyś nie wiedziała, że mi ją zabrano – denerwował się chłopiec.

Ajitabh skrzywił się.

– Zabrano? Siłą?

– No... Właściwie to sam ją oddałem, ale tylko dlatego, że próbowała zabić psa.

Homer czuł, że jego serce szaleje. Miał wrażenie, że gdzieś biegnie, ale nie wiedział gdzie.

– Podjąłeś właściwą decyzję – stwierdziła Zelda i w czterech krokach przeszła na drugą stronę pokoju. Nachyliła się i pogłaskała Psa. Zwierzę zamachało ogonem. – Uważam takie obwisłe psy za znacznie ciekawsze od tych naciągniętych.

Homer cofnął się i przywołał do siebie futrzaka.

– Zeldo, czy mogę zaproponować ci krzesło? – zapytał Ajitabh. – Gdzieś jakieś tu chyba mamy.

– Ale po co? Jestem przyzwyczajona do dyskomfortu. Bez niego czułabym się dziwnie – oświadczyła, po czym stękając i jęcząc usiadła na różowej poduszczyce w kropki. Nawet w tej pozycji jej kolana znajdowały się powyżej stolika. Swoją torbę położyła tuż obok poduszki, a potem sięgnęła po czaj. – Wydajesz się przestraszony, Homerze. Czego on się boi, Ajitabh?

– Wydaje mu się, że chciałem go zabić – wyjaśnił mężczyzna i przesunął dłonią po swoich czarnych włosach. – Powiedziałem mu oczywiście, że to bzdury...

Zelda westchnęła.

– Homer, pewnie któregoś dnia staniesz twarzą w twarz z osobą, która będzie chciała cię zabić. Jednak tu, w tym pokoju, jesteś wśród przyjaciół. Oboje kochaliśmy twojego wujka.

Chłopiec splótł ręce na piersiach.

– Dlaczego miałbym wam wierzyć?

– Gdzie, do diabła, jest ten list? – zapytał Ajitabh. – Po prostu pokaż mu go.

Zelda wsunęła rękę do torby i wyciągnęła z niej czystą kopertę.

– Drake dał mi go w sobotę, tydzień temu. Wpadł z niezapowiedzianą wizytą do mojego sklepiku. Wydawał się czymś wstrząśnięty. Był zdenerwowany i wciąż spoglądał przez okno. Powiedział mi, że znalazł się w niebezpieczeństwie i chce mieć pewność, że dostaniesz ten list, gdyby... – Otarła łzę. – Gdyby coś mu się stało. Nie chciał przekazywać ci go za pośrednictwem swojego prawnika. Nie winię go. Obaj panowie Snooty są dość... zapominalscy – dodała, zdławiony płacz. – Masz. Przeczytaj.

Chłopiec wyciągnął list z jej ręki. Potem usiadł na poduszce w zebnię i odwrócił kopertę. Woskowa pieczęć z inicjałami wujka, literami D.H.P., była nietknięta. Kiedy Pies zagrzebał się w poduszkach, Homer złamał pieczęć i wyciągnął z niej zapisaną kartkę. Smutek otulił go niczym koc, gdyż rozpoznał charakterystyczne pismo. Zaledwie kilka dni temu dowiedział się o śmierci wujka. Wciąż nie mógł w nią uwierzyć. Odwrócił się tyłem do Zeldy oraz Ajitabha i zaczął czytać. W myślach słyszał pewny siebie głos wujka.

*Drogi Homerze,*

*Jeśli czytasz ten list, to mnie już nie ma na tym świecie. Bardzo mi przykro. Nie chciałem opuszczać go tak wcześnie. Mam nadzieję, że przed śmiercią stoczyłem dobrą walkę i wciąż możesz być ze mnie dumny, tak jak ja zawsze byłem dumny z Ciebie. Poznałeś już moich najbliższych przyjaciół, Ajitabha i Zeldę. To wierna paczka i ufam im bezgranicznie. Poprosiłem ich, żeby zaopiekowali się Tobą i nauczyli Cię, jak szukać skarbów. Ajitabh to genialny wynalazca i kiedy zaczniesz przygotowywać swoją pierwszą wyprawę, zaopatrzy Cię we wszystko, czego będziesz potrzebował. Zelda to ceniony archeolog. Z zamkniętymi oczami odróżni oryginał od podróbki. Możesz na nich polegać, tak jak ja to robiłem. Nigdy Cię nie zawiodą!*

*Mam nadzieję, że dostałeś już przesyłkę od Snooty'ego i Snooty'ego. Zależy mi na tym, żebyś dobrze nią się zaopiekował, bo to mój największy skarb. Nie napiszę, dlaczego jest tak ważny, bo ten list może wpaść w niewłaściwe ręce, ale jestem przekonany, że wkrótce sam zrozumiesz, dlaczego właśnie Tobie go przekazałem. Pilnuj go jak oka w głowie. I nikomu nie zdradź jego tajemnicy.*

*A co najważniejsze, mój kochany bratanku, nigdy nie rezygnuj ze swoich marzeń. Czekają na Ciebie wielkie przygody. Musisz po prostu je odnaleźć.*

*Udanego polowania na skarby!*

## *Twój kochający wujek Drake*

Kiedy Homer czytał ten list po raz kolejny i jeszcze następny, łzy płynęły mu z oczu. Potem pochylił się i otarł twarz rękawem płaszcza.

– Nie musisz ukrywać łez – powiedziała Zelda. – Smutku nie należy się wstydzić. To najlepszy dowód na to, że wciąż żyjesz.

– Sądziłem, że miłość jest tego dowodem – stwierdził Ajitabh.

– Nie mów mi nic o miłości – poprosiła powoli, jakby każde słowo sprawiało jej ból.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Drewno w palenisku trzaskało, a pies chrapał ukryty między poduszkami. W końcu, gdy łzy przestały już płynąć, Homer odwrócił się i spojrzał na przyjaciół wujka. Jego strach gdzieś się ulotnił, a ich okrutne postacie złagodniały. Wcześniej nie widział tego figlarnego błysku w oczach Ajitabha oraz nie słyszał łagodności w głosie Zeldy.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi w pociągu, kim jesteś?

– Uznałam, że Ajitabh powinien porozmawiać z tobą pierwszy. W końcu to on był najlepszym przyjacielem twojego wujka – stwierdziła i spojrzała w dal. – Poza tym ludzie się mnie boją.

– Dlaczego wujek nigdy mi o was nie opowiadał?

Mężczyzna napił się czaju.

– Chciał, żebyś najpierw ukończył szkołę, a dopiero potem wyruszył z nami na wyprawę.

Homer nie wierzył własnym uszom. Podniósł się i usiadł na kolanach.

– Wyruszył z wami?

– Ależ oczywiście. Kiedy dorośniesz.

– Na dachu wspomniałeś, że wciąż mogę się ubiegać o członkostwo. O jakie członkostwo chodzi?

– Ach tak. Jeszcze to! – powiedział Ajitabh i wstał.

Podszedł do piecyka, otworzył szklane drzwiczki i wrzucił do środka kilka szczap. Kiedy ciepło rozpełzło się po pokoju, Homer zdjął sztruksowy płaszcz. Przygotował się na kolejną ekscytującą opowieść. Tymczasem mężczyzna chrząknął.

– Kiedy dowiedziałem się, że Drake zmarł, poleciałem do ciebie.

Chciałem się upewnić, że dostałeś od niego monetę. Tymczasem dowiedziałem się, że dostałeś jedynie tego psa.

Spod sterty poduszek widać było jedynie tyłek zwierzęcia. Chrapało jednak coraz głośniej.

– Szczerze mówiąc, zaskoczyło mnie to. To najpewniej jakiś przybłąda, którego twój wujek przypadkiem przygarnął. To miło, że zaopiekowałeś się nim.

– Nie mam nic przeciwko opiece nad nim – wyjaśnił chłopiec i wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać. Jednak cofnął ją, bo zdał sobie sprawę, że może go obudzić. – Niestety mój tata chce go oddać. Pies nic nie czuje i pochłania dziwne rzeczy, ale go lubię.

– Każdy chłopiec powinien mieć psa – powiedział Ajitabh, poprawiając płonące kłody pogrzebaczem.

– A co z dziewczynami?

– Oczywiście dziewczyny nieźle sobie radzą z psami. Z kotami, końmi, ze szczurami i z innymi zwierzętami również. Ale psy i chłopców łączy coś więcej. Pasują do siebie tak jak dżdżownice i deszcz. To uniwersalne połączenie. Dlatego mam nadzieję, że twój tata zmieni zdanie – stwierdził i odłożył pogrzebacz, po czym usiadł na swojej poduszce. – Wracając do bieżących spraw... Kiedy mi powiedziałaś, że dostałeś tylko psa, poleciałem do mieszkania Drake'a. Ogołocoło je ze wszystkiego.

– Wiem, co się stało z jego rzeczami – oświadczył podekscytowany Homer. – Ukradła je Madame la Directeur i schowała w swojej kryjówce.

Ajitabh klepnął się w kolano.

– Na Jowisza, tak podejrzewałem, ale nie miałem czasu, aby przeprowadzić śledztwo. Zelda zadzwoniła do mnie i powiedziała, że wpadła na ciebie w pociągu i to ty masz monetę. Śledziłem cię od stacji kolejowej. Próbowałem porozmawiać z tobą w kancelarii prawnej, ale uciekłeś.

– Moja siostra wspomniała Madame o monecie. Dyrektorka upierała się, że to świecidełko należy do muzeum, a wujek je po prostu ukradł!

– To nonsens! – ryknęła ze złością Zelda. – Drake Pudding nigdy

niczego nie ukradł. Ta moneta należy do ciebie. Dając ci ją, wujek przekazał tobie swoje członkostwo w tajnym stowarzyszeniu. Teraz możesz zająć jego miejsce.

– W tajnym stowarzyszeniu?

– Tak – odpowiedziała, splatając ręce na piersiach. –  
W Stowarzyszeniu L.O.S.T.

## Rozdział 26

### Sekrety i syropy

Co? – Homer pochylił się nad stolikiem. – Że gdzie?

– W L.O.S.T., czyli w Stowarzyszeniu Legend, Odkryć, Skarbów i Tajemnic – wyjaśnił Ajitabh i napełnił szklanę Zeldy.

Homer poprawił włosy.

– Madame powiedziała, że ten skrót oznacza Listę Oryginalnych Stworzeń Tropikalnych. Tak czułem, że mnie oszukuje. Ale jednocześnie upierała się przy tym, że moneta należy do muzeum. Podobno stanowiła część wystawy poświęconej Worthworthy'emu.

Zelda wyciągnęła się i poklepała Homera po dłoni.

– Zapomnij o wszystkim, co powiedziała ci Madame. To oszustka. Pragnie tej monety, bo o członkostwie w stowarzyszeniu marzy równie mocno co o fortunie. A może nawet bardziej.

– Wyleciała z niego pięć lat temu – dodał Ajitabh. – Wtedy odkryliśmy, że zarabiała na sprzedaży kradzionych skarbów.

Homer próbował ułożyć sobie w głowie wszystkie usłyszane informacje.

– Powiedziała, że znała mojego wujka. Pewnie dlatego, że oboje należeli do tego... stowarzyszenia!

– Naleśniki gotowe! – stwierdził Mumble, pędząc przez pokój z tacą w rękach. Po chwili postawił talerze na stole. Kiedy zapach parującej potrawy uniósł się w powietrzu, żołądek Homera zaczął wariować. – Zrobiłem je wyjątkowo duże – dodał stary kucharz i spojrzał ze współczuciem na Zeldę. Z kieszeni fartucha wyciągnął butelkę syropu klonowego, butelkę syropu truskawkowego i butelkę syropu jagodowego. – Jest też i curry z ciecierzycy! – Postawił wazę na stole, a potem z tej samej kieszeni fartucha wyjął kość okraszoną mięsem. – Dla psa – wyjaśnił.

– Bardzo dziękujemy, Mumble. Jak się ma dziewczyna? – zapytał Ajitabh.

– Zjadła pięć naleśników, a potem zasnęła w pokoju dla gości. Ale jej szczur ukradł moją srebrną łyżkę. Dostałem ją od matki. Bardzo ją



sobie cenilem! – oznajmił i wyszedł.

Szerta naleśników była wyższa nawet od tej z konkursu jedzenia naleśników rozgrywanego podczas targu w Mlecznej Dolinie. Ajitabh rozdał talerze, sztucce i serwetki. Zaczęli jeść. Homer szturchnął jeszcze Psa i pokazał mu kość. Zwierzę rzuciło się na nią, machając ogonem.

– Są cudowne – przyznał chłopiec już po pierwszym gryzie.

Choć Zelda zmieściłaby cały naleśnik w ustach, pocięła go na drobne kawałeczki.

– Poproszę syrop – powiedziała.

– Który? – zapytał Homer, wylewając truskawkową rzekę na swój talerz.

– A co to za różnica? Wszystkie są równie słodkie i podniosą mi poziom cukru we krwi, co wywoła lekkie zawroty głowy. Ale i tak zostanę wielką kobietą, która mieszka sama i nie może jeździć na diabelskim młynie. I która nigdy nie pozna smaku miłości.

– Miej litość, Zeldo, i nie zaczynaj! – zawołał Ajitabh i podał jej syrop klonowy.

Homer chciał zapytać, czy jej smutek ma coś wspólnego z randką z panem Snootym w restauracji Cheza Billa, która to randka nie odbyła się, ale tak bardzo się krępował, że w końcu nie zapytał.

Kiedy wypełnił żołądek ciepłymi, pulchnymi naleśnikami, poczuł, że wypełnia go również szczęście. Tu, w wieży na szczycie góry, wyraźnie odczuwał bliskość wuja.

Gwendolyn oraz tata wyszli już z więzienia i pewnie spali we własnych łóżkach. Rodzice nie martwili się o niego, bo pewnie sądzili, że pojechał na wycieczkę z muzeum.

– Opowiecie mi o tym stowarzyszeniu? – poprosił.

– Spoko! – Ajitabh zjadł łyżeczkę curry, po czym usiadł na swojej poduszce. – Wszystko zaczęło się od Wilmy von Weiner, która czterdzieści pięć lat temu odnalazła Zaginioną Świątynię Króla Gadów. Dzięki temu odkryciu stała się jedną z najbardziej znanych osób na świecie. Nie mogła nawet wyjść do warzywniaka, żeby nie mieć na karku tłumu fotoreporterów. Przedzieranie się przez dżunglę pełną jadowitych węży nie sprawiało jej problemów, ale bycie

w centrum uwagi – owszem. Była chronicznie nieśmiała. Dlatego właśnie postanowiła się ukryć.

Homer znał tę opowieść, ale w książkach historycznych kończyła się właśnie w tym momencie.

– Dokąd wyjechała? – zapytał.

– Do Ameryki Południowej. Z mężem, doktorem Wortworthy. Pomagała mu poszerzyć kolekcję rzadkich gadów i płazów. I choć żyła z dala od fleszy, nie była szczęśliwa. Wortworthy nie interesował się skarbami, a Wilma odkryła, że nie lubi łapania i wypychania żab. Oczywiście cieszyła się towarzystwem córeczki, ale jednocześnie czuła się bardzo samotna.

– Tą córeczką była Madame – stwierdził Homer.

– Tak. I właśnie samotność podsunęła Wilmie pomysł założenia Stowarzyszenia L.O.S.T. Miało ułatwić miłośnikom szukania skarbów wzajemne spotykanie się oraz planowanie wypraw. Wszystko w sekrecie. Wilma osobiście wybrała pierwszych członków stowarzyszenia, a każdy z nich musiał przysiąc, że zachowa jego istnienie w tajemnicy.

– Dlatego nigdzie nie można przeczytać o L.O.S.T.?

Ajitabh pokiwał głową.

– To jedno z niewielu tajnych stowarzyszeń, które rzeczywiście są tajne. W ręce jego członków trafiają naprawdę cenne przedmioty. Pomyśl, co by się stało, gdyby jakiś złodziej odkrył miejsce naszych spotkań!

Zajęty obgryzaniem kości Pies podszedł do stolika i wsunął nos do jednej ze szklanek.

– Chyba chce mu się pić – stwierdził chłopiec.

Niemal natychmiast pojawił się Mumble i postawił na podłodze miskę z wodą. Wielkie uszy psa błyskawicznie się w niej zanurzyły. Zwierzę zaczęło chleptać.

– Dziękuję – powiedział Homer, gdy służący się oddalił.

Był doskonały!

– Gdzie to ja byłem? – zapytał Ajitabh.

– Stowarzyszenie L.O.S.T. – odpowiedziała Zelda i nałożyła sobie kolejny naleśnik.

– Ach, tak! Założycieli stowarzyszenia łączyła pasja, czyli poszukiwanie skarbów. Zgadziali się też z Wilmą, że celem ich działalności powinno być odkrywanie cudów i tajemnic przeszłości w celu uczenia, wzbogacania i oświecania obywateli. Każdy z członków L.O.S.T. złożył więc drugą przysięgę. Obiecał, że wszystkie odnalezione skarby przekaże odpowiedniemu muzeum lub uniwersytetowi.

– Więc Wilma nie była tak zła jak jej córka? – zapytał Homer.

– Nigdy jej nie poznałem, ale słyszałem, że była czarująca – odpowiedział mężczyzna. – Niestety zmarła zaledwie dziesięć lat po założeniu stowarzyszenia. Pojawiło się wówczas pytanie, w jaki sposób będzie się ono rozwijać, gdy jego członkowie umrą. Ostatecznie podjęto decyzję, że w przyszłości do stowarzyszenia będzie można dołączyć na dwa sposoby – poprzez dziedziczenie lub osiągnięcia. W dodatku każdy nowy członek będzie musiał złożyć pierwszą przysięgę, przysięgę dochowania tajemnicy, oraz drugą przysięgę, w myśl której będzie wykorzystywał swoje umiejętności dla dobra ogółu. My jesteśmy najnowszymi członkami stowarzyszenia. Podobnie twój wujek.

Wypełniony naleśnikami brzuch Homera w nieprzyjemny sposób naciskał na pasek spodni. Chłopiec odłożył talerz na bok i zrobił miejsce Psu, który zwinął się na poduszce i wrócił do żucia kości.

– W jaki sposób wujek został członkiem L.O.S.T.?

– Poprzez osiągnięcia. Zwrócił na siebie uwagę stowarzyszenia, gdy odnalazł strój kąpielowy króla Tut. Wkrótce dostał zaproszenie.

– I wtedy właśnie poznał Madame la Directeur – dodała Zelda, wycierając syrop z ust. – Odziedziczyła członkostwo po matce, ma się rozumieć.

– Ponieważ doktor Worthworthy nie miał pojęcia o istnieniu L.O.S.T., Madame też długo o nas nie wiedziała. Przez cały czas była pod naszą obserwacją. Początkowo szła w ślady ojca. Została nawet doktorem herpetologii. Stowarzyszenie otworzyło jednak przed nią zupełnie nowe perspektywy. Złapała bakcyła i pokochała szukanie skarbów. Razem z Drake'em wyruszyła na poszukiwania zatopionego statku HMS Bombastic.

Homer nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Oczywiście wiedział o odkryciach swojego wujka. Drake wspomniał też, że miał „partnera”, ale nigdy nie wymienił jego imienia.

– Mój wujek i Madame wyruszyli razem na wyprawę? Dlaczego miały z nią gdziekolwiek jeździć? Przecież to potwór!

Zelda poprawiła się na poduszce. Jej długie nogi chrupnęły, kiedy wyciągnęła je przed siebie.

– Drake nie widział w niej potwora. Przynajmniej nie wtedy. Podejrzewam, że ożeniłby się z nią, gdyby go nie oszukała.

– Ożeniłby się z nią?

Homer wyobraził sobie ciocię la Directeur przyjeżdżającą na farmę na świąteczne obiady, duszącą psy, kradnącą monety ze świnki Piska i wyrzucającą wypchane zwierzęta Gwendolyn do śmietnika.

– Dzięki zasilanemu wodorostami podwodnemu okrętowi morskemu, zresztą mojemu wynalazkowi, Drake i Madame dotarli do szczątków HMS Bombastic i wydobyli skrzynię należącą do kapitana. Podejrzewam, że wiesz, dlaczego jest to tak ważne odkrycie?

– Jasne! Bombastic to ostatnie miejsce, w którym widziano Rumpolda Smellera. To właśnie tam zmuszono go do spaceru po desce.

– Dokładnie tak. Drake i Madame przywieźli skrzynię do siedziby stowarzyszenia. Niestety, kiedy Madame dowiedziała się, że jej zawartość trafi do British Museum, bardzo się zdenerwowała. W rezultacie ukradła większą część skarbu i sprzedała go na czarnym rynku. Członkowie stowarzyszenia postanowili wykluczyć ją ze swoich szeregów. Nie przejmowali się tym, że to jej matka założyła L.O.S.T. Przecież Madame złamała drugą przysięgę... Od tej pory robi wszystko, żeby wrócić do naszego grona.

Homer wiercił butem dziurę w podłodze, wstydząc się zadać kolejne pytanie. Wujek zawsze powtarzał, że chciwość jest najgorszym wrogiem poszukiwacza skarbów. Ale jak miał odbudować bibliotekę w Mlecznej Dolinie, jeśli nie mógł sprzedać nawet okruszka?

– A co, jeśli ktoś chce zachować część skarbu? Wiem, że najlepiej oddać całość do muzeum, ale...

– Nie martw się – odpowiedział Ajitabh. – Członkowie stowarzyszenia dostają wynagrodzenie, bo inaczej nie sfinansowaliby kolejnych wypraw. Każde muzeum płaci pewną, z reguły niewielką część sumy, którą można by otrzymać za dar na czarnym rynku. Rozumiesz?

– Tak. – Uśmiechnął się Homer.

Niewielka część to i tak lepiej niż nic.

Mężczyzna wsunął rękę za kołnierz koszuli i wyciągnął spod niej długi, złoty łańcuch. Zdjął go przez głowę i podał chłopcu. Wisząca na nim moneta wydała mu się znajoma.

– Wygląda tak samo jak moja – stwierdził.

– To moneta członkowska Stowarzyszenia L.O.S.T. Każdy z nas nosi ją przy sobie. Drake wysłał swoją tobie, więc przekazał ci członkostwo.

– Ale ja już jej nie mam.

– To bez znaczenia. Wciąż możesz do nas dołączyć. Zelda i ja potwierdzimy, że moneta trafiła w twoje ręce.

– To może nie być takie proste – wtrąciła kobieta. – Madame będzie się upierać, że dostała ją od Drake’a. Są ludzie, którzy z przyjemnością przyjęliby ją z powrotem w nasze szeregi. Niektórzy z nich pewnie dostają od niej prezenty. Ona ma też spore wpływy wśród muzealników. Nie cofnie się przed niczym, byle tylko wrócić do stowarzyszenia.

– Jeśli zamierza sprzedawać skarby na czarnym rynku, to po co miałyby wracać? – Zaciekawiał się Homer.

– Istnieją pewne korzyści wynikające z przynależności do L.O.S.T. – wyjaśniła Zelda. – Na przykład przed wyruszeniem na wyprawę można zasięgnąć rady innych członków stowarzyszenia bądź nawet poprosić ich o pomoc. Ona chce być tak sławna jak jej matka.

Ajitabh uderzył pięścią w stół tak mocno, że Pies podniósł łeb znad kości.

– Jeśli ją przyjmą, okażą się głupcami. Madame to doświadczona manipulantka. Urodzona kłamczucha! Niestety wszyscy wiedzą, że spotykała się z Drake’em. Mogą więc uwierzyć, że przekazał jej członkostwo. Mówisz, że jego rzeczy schowała w jakiejś kryjówce?

– Tak. Powiedziała, że musi odnaleźć tę mapę.

Ajitabh i Zelda wymienili spojrzenia. Wyglądali na zaniepokojonych.

– A więc ona wie! – Ajitabh zmarszczył brwi i pochylił się do przodu. – Rok temu twój wujek odnalazł mapę Rumpolda Smellera. Chociaż nie przyniósł jej na spotkanie, opowiedział o niej zebranym i poprosił o pomoc w przygotowaniu wyprawy. Któryś z członków stowarzyszenia musiał jej wszystko wygadać.

– Jej! – jęknął Homer. – Nie wiedziałem, że ją znalazł!

Mężczyzna skrzywił się.

– Jeśli Madame dostanie ją w swoje ręce, to ogłosi, że Drake kłamał. Uzna ją za własne odkrycie. Wykorzysta dobre intencje stowarzyszenia, żeby zdobyć sławę i bogactwo.

– Nie mogą jej pomóc! Przecież ona go zabiła! – zawołał Homer i przewrócił butelkę z syropem.

Zelda zeszywniała.

– Skąd to wiesz?

– Pan Twaddle, jej współpracownik, ostrzegł, że jeśli będę zadawał pytania, to spotka mnie to samo co wujka.

Ajitabh zerwał się na równe nogi i zaczął krążyć po pokoju.

– Uspokój się. Nie mamy dowodu! – prosiła Zelda.

Mężczyzna zacisnął pięści.

– Wiesz równie dobrze co ja, że Madame posunęłaby się do wszystkiego, byle tylko spełnić swoje marzenia. Ten żółw ludożerca od początku wydawał mi się podejrzany!

– Musimy odnaleźć tę jej kryjówkę – powiedział Homer. – Znajduje się gdzieś pod muzeum.

– Jasne! – Ajitabh zatarł dłonie. – Odstawię cię na farmę, a potem polecę tam z Zeldą.

– Nie! Nie chcę wracać do domu! Przynajmniej jeszcze nie teraz. Jeśli jest morderczynią, to trzeba powiadomić policję. To nie może ujść jej płazem. Tak nie wolno! – Homer podniósł się z poduszki i oddał monetę mężczyźnie. – Mój wujek przysłał mi swój najcenniejszy skarb. Tak przynajmniej określił go w liście. Najcenniejszy skarb, rozumiecie? Muszę go odzyskać. Jestem mu to

winny!

Ajitabh powiesił łańcuch na szyi, a potem położył dłoń na ramieniu chłopca.

– Drake byłby z ciebie dumny!

– A ja czegoś tu nie rozumiem. – Zelda podniosła się. Kości chrupnęły jej tak samo głośno jak kłody w palenisku. – Dlaczego Drake nazwał monetę swoim największym skarbem? Czy nie wydaje ci się to dziwne, Ajitabh? Z pewnością cenił sobie przynależność do stowarzyszenia, ale nie było dla niego najważniejsze. Rzadko pojawiał się na zebraniach. Nienawidził papierkowej roboty i nie przepadał za innymi poszukiwaczami. Nie miał cierpliwości do całej tej paplaniny.

– Może zależało mu na tym bardziej, niż nam się wydaje? – Ajitabh puścił ramię Homera. – W każdym razie to była długa noc. Wyśpijmy się. Madame zajmiemy się później.

Homer pozwolił sobie na długie i szerokie ziewnięcie. Sen to dobry pomysł!

– Nie polecicie beze mnie? – zapytał. – Obiecujecie?

– Mój drogi chłopcze, wspólnie staniemy do walki – odpowiedział mężczyzna. – Obiecuję!

## Rozdział 27

### Najcenniejszy skarb

Pokój dla gości znajdował się trzy piętra niżej. Panował w nim mrok, lecz różowe włosy Lorelei łatwo było zauważyć, bo wystawały spod satynowej kołdry.

– Obawiam się, że będziecie musieli spać tu razem – szepnął Ajitabh. – Mamy tylko dwa wolne pokoje, a Zelda zajęła już ten z bardzo długim łóżkiem.

– Nie ma sprawy – powiedział Homer.

Był zbyt zmęczony, żeby przejmować się tym, że będzie dzielił pokój z dziewczyną. Zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło.

Mężczyzna go objął. Pachniał olejem silnikowym, przypominając chłopcu tatę zaraz po naprawieniu traktora. Na jego palcach widać było ślady niebieskiego tuszu. To niesamowite, że był genialnym projektantem i wynalazcą!

– Wiem, że się z nią zaprzyjaźniłeś, ale nie wspominaj jej o stowarzyszeniu. Nikomu nie możesz o tym powiedzieć!

– Nic jej nie powiem.

– A zatem życzę ci dobrej nocy. Potrzebujemy ciebie, aby poradzić sobie z Madame. – Ajitabh uśmiechnął się ciepło, a potem wrócił na spiralne schody.

– Pies, chodź tu – szepnął Homer.

Zwierzak wszedł do pokoju, ściskając w zębach kość.

Chłopiec usiadł na łóżku i zdjął buty. Ze zmęczenia był cały obolały. Jego mama pewnie by się zdenerwowała, gdyby się dowiedziała, że nie zabrał ze sobą skarpetek na zmianę. Ani też szczoteczki do zębów czy grzebienia. Wzruszył ramionami. Poszukiwacze skarbów nie mają czasu, żeby zajmować się higieną osobistą. Żaden skarb nie będzie czekał na to, aż pójdzie się do sklepu po bieliznę.

– Urrr!

Homer wciągnął Psa na łóżko. Kość wylądowała z hukiem na podłodze.



Lorelei od razu się wyprostowała.

– Co się dzieje? – zapytała.

Stokrotka wysunęła swój czarny nosek spod jej poduszki i zaniepokojona zaczęła poruszać wąsikami.

– Wszystko w porządku – powiedział Homer i odsunął kołdrę. – Ajitabh i Zelda to przyjaciele mojego wujka. Możemy im zaufać. Pomogą mi odzyskać jego rzeczy, to znaczy zabrać je Madame. Obiecali, że odstawią cię do magazynu.

– Och! – Dziewczyna podrapała się po głowie. – To dobrze. Te naleśniki mnie uśpiły.

Homer również ziewnął.

– No tak.

Poprawił poduszkę i miał właśnie wsunąć się pod kołdrę, kiedy zauważył, że Pies nagle zeskoczył z łóżka i zaczął węszyć.

– To dziwne, że węszy – stwierdziła Lorelei. – Przecież nic nie czuje.

Futrzak powąchał brzeg jej łóżka, a potem stanął na tylnych łapach i wsunął nos pod jej poduszkę.

– Urrr!

Stokrotka wynurzyła się spod poduszki i spojrzała na niego. Pies wsunął swój nos jeszcze głębiej. Rył w niej niczym świnia w ziemi.

– Hej! – zawołała Lorelei. – Idź stąd. Jestem śpiąca.

– Urrr!

Pies złapał poduszkę zębami i ściągnął ją z łóżka. W miejscu, w którym leżała, błyszczało coś srebrnego. Homer pochylił się do przodu, próbując dostrzec coś w ciemności.

– Czy to łyżka? – zapytał.

– To dziwne – odpowiedziała Lorelei i ją podniosła. – Skąd się tu wzięła?

– Zdaje się, że kucharz jej szukał.

– No cóż, ja jej nie wzięłam. Po co mi łyżka?

W pokoju zapanowała krępująca cisza. Homer nie chciał oskarżyć szurzycy o kradzież, ale sprawa wydawała mu się oczywista. Pies zapiszczał, więc chłopiec pomógł mu się wgramolić na łóżko.

– Dziwny pies – stwierdziła Lorelei i uniosła swoją poduszkę.

Homer wyciągnął się na plecach, a futrzak tuż obok niego, dysząc mu prosto w ucho. Czy Lorelei wiedziała, że łyżka znajduje się pod jej poduszką? A jeśli jej potrzebowała? Może miała już dość tych plastikowych, które wozila w wózku z zupami?

– Lorelei, czy chciałabyś zamieszkać gdzieś indziej? To znaczy... mogłabyś zamieszkać ze mną?

– I hodować kozy? Nie obraź się, Homer, ale to nie jest coś, co chciałabym robić przez resztę życia.

– No dobrze, rozumiem. Ale gdybym powiedział o tobie mamie, to...

Lorelei wyskoczyła z łóżka i zatrzymała swój palec tuż przed jego nosem.

– NIE MÓW swojej mamie. Nikomu nie mów. Nie zamierzam trafić do sierocińca, Homer. Rozumiesz?

– Jasne! – Po ciemku niezbyt wyraźnie ją widział, ale czuł na sobie jej poważne spojrzenie. – Nikomu nie powiem.

– Dobrze – odparła i wróciła do łóżka.

Jej oddech zwolnił, stał się znacznie głębszy. A później zapanowała cisza.

Homer patrzył poprzez pokój w niewielkie okienko, za którym widać było pasmo górskie wyraźnie odcinające się na tle rozgwieżdżonego nieba. W Mlecznej Dolinie wszyscy już pewnie spali. Jego rodzice chrapali pod pierzyną. Pisk tak jak zawsze leżał na boku w swoim niewielkim łóżeczku, a Gwendolyn pod latającą wiewiórką, która zwisała z sufitu. Byli tak bardzo, bardzo daleko. Nawet dawny Homer wydał się chłopcu odległy. Nowy Homer miał zostać oficjalnym członkiem Stowarzyszenia Legend, Odkryć, Skarbów i Tajemnic. Homer Windlow Pudding miał zostać prawdziwym poszukiwaczem skarbów!

Zamknął oczy. Powoli zapadał w sen, choć jednocześnie analizował w myślach poprzedni dzień. Przyjechał do Miasta, żeby się dowiedzieć, dlaczego wujek przyczepił niewielką monetę do obroży Psa. Rozwiązał tę zagadkę – Drake chciał go w ten sposób zaprosić do Stowarzyszenia L.O.S.T. Jednak pytanie, które zadała Zelda, wciąż go dręczyło.

– Dlaczego Drake nazwał monetę swoim największym skarbem? – Zaciekawiała się kobieta. – Rzadko pojawiał się na zebraniach. Nie cierpiał roboty papierkowej i nie przepadał za wieloma poszukiwaczami.

– Znalazłem coś naprawdę niezwykłego – powiedział Drake ostatniej nocy, jaką spędził w pokoju Homera.

– Coś bardziej niezwykłego niż mapa Rumpolda Smellera?

– Coś znacznie bardziej niezwykłego.

Pies zaczął chrapać. Każdy jego oddech wibrował Homerowi w uchu. Chłopiec delikatnie przesunął ręką po jego grzbiecie.

– Cieszę się, że wujek Drake dał mi ciebie – szepnął. – Gdyby nie ty, nigdy bym nie odzyskał mojego pierścienia dekodującego. I nie znalazłbym też monety w pociągu, a pan Snooty swojej broszki. Lorelei wciąż nie miała by kompasu, a Mumble...

Nagle otworzył oczy i usiadł na łóżku. Pies jęknął.

Czy to prawda? Czy to w ogóle możliwe? Czy odpowiedź znajdowała się przy nim przez cały czas?

– Czy to ty? – szepnął chłopiec.

Pies otworzył jedno oko.

Homer położył się i spojrzał na jego obwisły, smutny pysk. Znalazł pierścień, znalazł też monetę. Znalazł broszkę Snooty'ego, znalazł kompas Lorelei i srebrną łyżeczkę. Wszystkie te przedmioty gdzieś się zapodziały i ktoś ich szukał.

– Nie potrafisz wyczuć zwykłych rzeczy, prawda? – szepnął. – Ale potrafisz... – Chłopiec uniósł pysk Psa tak, aby spojrzeć mu prosto w oczy. – Potrafisz wyczuć zaginione skarby!

– Urrr!

Pies postukał ogonem w kołdrę. Chłopiec uściskał go z całych sił.

– To ty jesteś tym najcenniejszym skarbem, prawda? Wcale nie chodziło o tę monetę. To była tylko zmyłka na wypadek, gdyby ktoś cię porwał!

Potem przypomniał sobie list od wujka. „Pilnuj go jak oka w głowie. I nikomu nie zdradzaj jego tajemnic”.

Homer spojrzał zaniepokojony na łóżko Lorelei. Dziewczynka leżała nieruchomo, spod jej kołdry wydobywało się jedynie ciche chrapanie.

Westchnął z ulgą.

To właśnie dlatego jego wujek był taki szczęśliwy. Pies był jego najcenniejszym atutem, jego tajną bronią, skarbem większym niż wszystko, co Ajitabh mógł wynaleźć. Z wyczuwającym skarbę futrzakiem u boku i mapą Rumpolda Smellera w garści wujek Drake mógł mieć pewność, że osiągnie sukces. Madame wiedziała już o mapie, ale nie miała pojęcia o Psie. Nikt nie znał jego tajemnicy.

Tylko Homer...

Razem dokończą to, co wujek zaczął. Homer Winslow Pudding, grubawy chłopiec z Mlecznej Doliny, który w dzieciństwie uwielbiał oglądać mapy, był niezbyt wysportowany, wszędzie nosił swój kompas i bez przerwy marzył o poszukiwaniu skarbów, dostał najpiękniejszy prezent w życiu. Gdyby ktoś się o nim dowiedział, Pies znalazłby się w wielkim niebezpieczeństwie. Stałby się najcenniejszym zwierzęciem na świecie. Dlatego ludzie muszą wierzyć, że to tylko smutny, obwisły futrzak, który jest trochę gapowaty i pozbawiony węchu.

Homer zrozumiał, że musi jakoś przekonać tatę, aby pozwolił mu zatrzymać Psa na farmie. Był jednak pewien, że skoro dotarł do Miasta i odkrył tajemnicę tego niezwykłego futrzaka, to bez trudu poradzi sobie i z tym zadaniem.

Przytulił go znowu, uśmiechając się od ucha do ucha, i zasnął.

\*

Homer czuł się jak naleśnik smażący się na piecyku. Wyciągnął nogi i ręce. Wpadające przez okno słońce przyjemnie go łaskotało. „Jak długo spałem?”, pomyślał. Potem usiadł na łóżku i przetrął oczy. Lorelei już nie było, jej kołdra była odrzucona na bok. Pewnie ze Stokrotką jadła w kuchni śniadanie. Przypomniał sobie srebrną łyżeczkę i przez chwilę jej szukał. Bez skutku. Może dziewczyna oddała ją właścicielowi?

– Pies! – zawołał.

Wstał z łóżka i podszedł do drzwi.

– Pies?

Zwierzę zapewne też jadło śniadanie. Chłopiec usiadł na łóżku i zaczął zakładać buty.

Nagle do pokoju wpadł Ajitabh.

– Homer! – wykrzyknął.

Jego czarne włosy były potargane. Najwyraźniej też przed chwilą wstał. Miał na sobie jedwabny szlafrok oraz piżamę w tym samym kolorze.

– Co się stało? – zapytał chłopiec, wsuwając kompas pod koszulę.

– Zabrała chmurokopter! – zawołał mężczyzna, wymachując rękami. – Słyszysz?! Twoja przyjaciółka ukradła jeden z naszych chmurokopterów!

– Co?

Homer ze zdziwienia otworzył szeroko usta. Dlaczego Lorelei miałyby to zrobić? Dlaczego miałyby lecieć bez niego? Przecież zawarli umowę, że żadne z nich nie opuści tego miejsca bez drugiego!

– Nie to jest jednak najgorsze. – Ajitabh złapał go za ramię i wlepił w niego swoje czarne oczy. – Zabrała twojego psa!

**Część szósta**  
**Złowieszczą kryjówka**

## Rozdział 28

### Oszustwo przyjaciółki

Homer patrzył zniecierpliwiony, jak Ajitabh biega po zagraconym laboratorium i upycha różne rzeczy do płóciennego plecaka.

– Musimy być na wszystko przygotowani! – zawołał, kiedy zatrzymał się, żeby podrapać się po brodzie. – Gdzie, do diabła, położyłem przenośny teleskop? Ach, tutaj jest!

Śrubokręty, młotki, wiertła i inne urządzenia leżały rozrzucone na stole. Pudełka z naklejkami w stylu „akceleratorzy spalania”, „hydrauliczne podajniki” czy „pochłaniacze słoneczne” stały w stertach. Kawałki rur i części silników pokrywały całą podłogę.

Zelda zrzuciła z taboretu brudne szmaty i rozsiadła się na nim. Nogi mebelka ugięły się pod jej ciężarem.

– Nie nudziłeś się – stwierdziła, spoglądając na urządzenie przypominające łopatę.

– Drake potrzebował czegoś do kopania w piasku. – Ajitabh sięgnął po puszkę z olejem silnikowym. – Gdzie się podział mój szwajcarski scyzoryk?

– Ja mam swój – powiedział Homer i sięgnął do kieszeni płaszcza. – Czy możemy już iść? Martwię się o futrzaka.

Powiedział to już po raz dziesiąty od chwili, gdy dowiedział się, że jego nowa przyjaciółka ukradła mu Psa. Jego psa. Być może jedyne psa na świecie, który potrafił wyczuwać zaginione skarby. Być może jedną szansę na świecie, jaką Homer miał na dokończenie misji wujka. Ale Ajitabh uparł się, żeby najpierw zgromadzić niezbędny sprzęt.

Dlaczego Lorelei uciekła bez niego? Dlaczego zabrała Psa? Wydawała się taka miła! Nie osądziła Homera, kiedy jej powiedział, że spalił bibliotekę. Nie naśmiewała się z jego miłości do map. W dodatku miała kompas Galileusza. Wydawała się idealną kumpelą!

A jeśli wzięła Psa, bo poznała jego sekret? Może tylko udawała, że śpi, i wyraźnie słyszała Homera, gdy odkrył jego niezwykle umiejętności. „Dlaczego powiedziałem to na głos?”.

Chłopiec wyciągnął z kieszeni czerwony scyzoryk.

– Weź ten – powiedział. – I ruszajmy. Proszę.

– Schowaj swój nóż, Homer. W moim dokonałem pewnych przeróbek. – Ajitabh spojrział na niego zza zwojów kabli. – Wystrzeliwuje paraliżujące strzałki i ma laser, którym można przeciąć nawet stal.

Scyzoryk chłopca mógł najwyżej przeciąć sznur, ale to go cieszyło. Przy jego szczęściu, mając nóż taki jak Ajitabh, już dawno odciąłby sobie nogę. Schował narzędzie do kieszeni.

– Homer? – Zelda położyła łokcie na stole. Najwyraźniej była już gotowa na wyprawę do Miasta. Miała przy sobie torbę i latarenkę. Czarną pelerynę zawiązała pod szyją, a gogle umieściła na swoim olbrzymim czole. – Sądząc po twojej kwaśnej minie, winisz się za to, co się stało.

– Bo to moja wina – odpowiedział, szukając scyzoryka mężczyzny.

– Ta dziewczyna jest złodziejką. Dzieckiem ulicy. To widać, kiedy się na nią spojrzy – stwierdził Ajitabh i wsunął do plecaka latarkę czołówkę.

– Przecież wiesz, że nie powinniśmy oceniać ludzi po wyglądzie – wtrąciła się Zelda, grożąc mu długim palcem.

– Racja. Gdzie, do diabła, podział się ten nóż? – zapytał i wszedł pod stół. – Zgubiłem go. Jak mogłem zgubić taki skarb?

„Gdyby Pies tu był, pewnie by go znalazł”, pomyślał Homer, zaglądając pod szkice przedstawiające dziwne urządzenia mechaniczne.

Zelda zaplotła ręce na kolanie.

– Homer, gdzie właściwie spotkałeś Lorelei?

– No cóż... – Chłopiec przypomniał sobie chwilę, gdy wyszedł z pociągu. Mnóstwo tych głośnych dźwięków, nieprzyjemne zapachy i to, że Pies próbował wszystko obsikać. – Rozdzieliliśmy się z Gwendolyn, bo chciałem zajrzeć do biblioteki i dowiedzieć się czegoś więcej o tej monecie. Ruszyłem przed siebie ulicą i wtedy właśnie natknąłem się na nią. Poczęstowała nas zupą. Szybko się pożegnaliśmy, ponieważ zobaczyłem biuro Snooty’ego i Snooty’ego. Pamiętam, że później biegłem chodnikiem jak szalony, bo myślałem,



że Ajitabh chce mnie zabić! – wyjaśnił.

„Gdzie jest ten głupi nóż?”, zastanawiał się.

– Jeszcze raz to powiem. Nie chciałem cię zabić! – zawołał mężczyzna spod stołu.

– Mów dalej! – zachęciła go Zelda.

– Wtedy po raz kolejny wpadłem na Lorelei. Powiedziałem jej, że mam kłopoty. Zabrała mnie do swojego magazynu. Opowiedziałem jej... trochę o sobie. Potem oprowadziła mnie po Mieście.

Wciąż pamiętał, jaki to był piękny dzień. Nie mógłby zapomnieć błękitnej czytelnicy, paczków z różową posypką, kina i parku. Nigdy jeszcze nie spędził całego dnia z prawdziwą przyjaciółką.

– Co właściwie jej opowiedziałeś? – zapytała Zelda ciepłym, ale poważnym głosem.

Chłopiec skrzywił się.

– Ja... no... – Po chwili zrobił się czerwony na twarzy. – Opowiedziałem jej zdecydowanie za dużo. Teraz to wiem. Zachowałem się jak głupek. Wujek Drake nie powinien we mnie wierzyć. Powiedziałem jej wszystko!

Zelda westchnęła.

– Nie jesteś pierwszą dobrą osobą, która dała się oszukać. I pewnie nie ostatnią. Nasze serca czasami zamazują prawdziwy obraz innych ludzi.

Ajitabh podniósł się zza stołu.

– Znalazłem! – zawołał. Scyzoryk schował do plecaka. – To co, zbieramy się?

– Jasne! – Ucieszył się Homer i popędził w stronę wyjścia.

– Jedna chwila. Coś właśnie zrozumiałam! – oznajmiła olbrzymia kobieta i podniosła się z taboretu. – Czy powiedziałeś jej o monecie? O tym, że masz ją w kieszeni, w pudełku po zapalniczkach?

Homer posmutniał. Gwendolyn nie wiedziała o pudełku. Zelda wiedziała, ale nie zdradziła tego Madame.

– To Lorelei wygadała wszystko Madame?

– Wygląda na to, że Madame wynajęła dziecko z ulicy do odwalenia całej brudnej roboty – stwierdził Ajitabh i pokręcił głową.

Zelda podparła brodę palcem.

– Teraz wszystko wydaje się jasne. Madame marzyła o mapie Rumpolda Smellera. Ktoś ze stowarzyszenia doniósł jej, że znalazł ją Drake. Kiedy go zabiła, przeszukała jego rzeczy, ale niczego nie znalazła. Potem dowiedziała się od Twaddle’a, że Drake podarował coś Homerowi.

– Zwabiła mnie do muzeum zaproszeniem na imprezę – mówił Homer.

– Wysłała po ciebie Lorelei. Dziewczynka miała zebrać jak najwięcej informacji. Madame wiedziała, że w towarzystwie rówieśniczki poczujesz się znacznie pewniej – dodała Zelda.

– Czyli dziewczynka leci właśnie do Madame. Ale po co jej pies? – zapytał Ajitabh. – Czy nie wystarczyło ukraść chmurokopter? Byłoby po sprawie!

– To chyba oczywiste, dlaczego go wzięła – wtrąciła kobieta. – Wiedziała, że Homer go uwielbia, więc pomyślała o okupie. Przecież ta dziewczynka nie ma rodziny. Stara się przeżyć, to wszystko. Szkoda tylko, że znalazła się pod wpływem bardzo złej kobiety.

Homer zagryzł wargę. Oni wciąż nie wiedzieli, że to Pies był najcenniejszym skarbem Drake’a. Lorelei również mogła tego nie wiedzieć. Było to mało prawdopodobne, ale jednak możliwe.

– Coś tu mi jeszcze nie pasuje – powiedział Ajitabh. – Dlaczego Lorelei nie została, żeby zdobyć więcej informacji? I skąd wie, w którym kierunku powinna lecieć?

Uch, och. Homer wsunął rękę do kieszeni.

– Zabrała moją mapę.

– Jaką mapę? – zapytała Zelda.

– Mapę Muzeum Historii Naturalnej. Podczas lotu odczytywała dane z kompasu, a ja notowałem kolejne koordynaty. Jeśli da ją Madame... – wyjaśnił chłopiec i spojrzał na wąsatego mężczyznę. – Dyrektorka bez trudu odnajdzie to miejsce. Przepraszam. Wszystko zepsułem!

– Nie przepraszaj. Zapisywanie koordynatów to genialny manewr – stwierdził Ajitabh. – Myślisz jak prawdziwy poszukiwacz skarbów. Oczywiście nie zamierzam pozwolić, żeby ta kobieta odnalazła moją wieżę.

– A ja nie zamierzam pozwolić, aby zatrzymała mojego psa –  
zawołał Homer.

– Nie mamy ani chwili do stracenia. – Mężczyzna przerzucił plecak  
ze sprzętem przez ramię. – Do chmurokoptera! I to już!

## Rozdział 29

### Powrót do Miasta

Kiedy Homer wdrapał się na dach wieży, świeże, lecz zimne, pachnące śniegiem powietrze zaczęło łaskotać go w nos. Jego wzrok powędrował ku widocznym na horyzoncie poszarpanym szczytom górskim, które ginęły gdzieś u dołu wśród mgieł otaczających dolinę. Jeden krok za dużo i spadłby, ginąc na miejscu. Na wszelki wypadek odsunął się od krawędzi platformy.

– Nie przepadasz za wysokościami? – zapytała Zelda.

– Chyba nie – odpowiedział, próbując nie spoglądać w dół. – A ty? Kobieta uniosła brwi.

– Och! – Uśmiechnął się przepraszająco. – Podejrzewam, że to raczej głupie pytanie.

– Na szczęście dziewczyna nie ukradła ulepszonej maszyny – stwierdził Ajitabh.

Lorelei wzięła tę, którą przylecieli. Chmurokopter Zeldy, przebudowany z myślą o jej wygodzie, wciąż stał na platformie.

– Ty prowadzisz – zwróciła się do mężczyzny. – Ja nie jestem specjalistką od pościgów.

Ajitabh zaczekał, aż wdrapała się do środka i postawiła torbę oraz latarenkę na podłodze.

– Wchodź pierwszy – powiedział do Homera.

Chłopiec nachylił się, żeby pomóc psu. Jednak przypomniał sobie, że go przy sobie nie ma, i od razu posmutniał. W ciągu kilku dni przyzwyczał się do towarzystwa zwierzęcia. Polubił szturchanie zimnym nosem i chowanie się ze strachu między jego łydkami. Czy zwierzak bał się, kiedy frunął wśród chmur z Lorelei i jej szczurzyką złodziejką? Czy dziewczyna pamiętała, żeby go należycie pilnować?

Homer wdrapał się do maszyny i zajął miejsce tuż obok Zeldy. Z nerwów nie mógł usiedzieć w miejscu. „No dalej, lećmy!”.

– Zapnij płaszcz – poradziła mu kobieta. – Nocne powietrze źle działa na stawy.

Chociaż chłopiec nie miał kłopotów ze stawami, szybko zapiął

guziki, a potem zsunął gogle na oczy. Ajitabh wrzucił plecak na pokład, a potem sam wskoczył do środka. Kiedy przełączył kilka guzików, na platformie pojawił się kucharz.

– Kolacja! – zawołał, mając w rękach kosz.

– Dzięki – odpowiedział chłopiec i sięgnął po wielką wałówkę.

Czyżby nadeszła już pora kolacji? W takim razie przespali większość dnia! A właściwie to jaki jest dzień? Homer przypomniał sobie wszystkie wydarzenia i doszedł do wniosku, że jest środa wieczór. Na farmie rodzina skończyła już obowiązki i szykowała się, żeby zasiąść za stołem. W środy mama zazwyczaj serwowała makaron z serem. „Zastanawiam się, co robi teraz Homer – powiedziała zapewne. – Ta wycieczka brzmi całkiem fajnie!”. Rodzice nigdy by nie pomyśleli, że ich syn za chwilę będzie leciał chmurą, żeby uratować najcenniejszy skarb wuja Drake’a. A on nigdy, nawet za milion lat, tego im nie powie.

– Mumble, nie wiem, jak długo nas nie będzie – odezwał się Ajitabh. – Pal przez cały czas w kominkach. Przyjaciele, zapnijcie pasy!

Silniki maszyny wróciły do życia. Kucharz cofnął się, a Homer zapiął pas. Zelda sięgnęła do koszyka i wyciągnęła z niego pieczoną kurzą nóżkę. Chmuropłot zaczął wibrować, z metalowych rur wydobywał się charakterystyczny syk. Jedna z nich, ta najbliższej Homera, zaczęła wypluwać wodę.

– Teraz ustawię minimalną osłonę, ale kiedy zbliżymy się do Miasta, będę musiał włączyć ją na maksa. Uwaga, włączam minimalną osłonę chmurową – powiedział Ajitabh i nacisnął niebieski guzik.

Z rur ze świstem zaczęły się wydobywać olbrzymie obłoki pary. Potem wokół zapanowała cisza. Para uformowała się w obłoki przypominające białe baranki. Góry, platforma, wreszcie machający Mumble zniknęły im z oczu. Ale wewnątrz śmigłowca Homer wciąż widział współpasażerkę oraz pilota. Potem poczuł ucisk w żołądku. Maszyna się uniosła. Ruszyli!

Zelda podała jedną kurzą nóżkę Ajitabhowi, a drugą Homerowi.

– Jaki jest plan? – zapytała.

Mężczyzna wgrzył się w nóżkę.

– Najpierw musimy odnaleźć psa i go odbić. Zgoda?

– Zgoda – odpowiedzieli Homer i Zelda.

– Potem policzymy się z Madame. Odzyskanie mapy Rumpolda Smellera i zdobycie dowodów potwierdzających jej udział w śmierci Drake'a to nasz priorytet. Za wisienkę na torcie uznaję odnalezienie monety Homera.

– A jak znajdziemy Psa? – zapytał chłopiec.

– Dziewczyna ma nad nami dwie godziny przewagi. Podejrzewam, że nigdy wcześniej nie latała chmurokopterem, więc część straty nadrobimy. Na maszynie znajduje się urządzenie naprowadzające, ale musimy być w odległości siedemdziesięciu kilometrów, żeby odebrać jego sygnał – wyjaśnił Ajitabh i przełączył kolejne guziki.

Homer odłożył kolację do kosza. Nie miał ochoty na jedzenie. Wyobraził sobie smutne, zaczerwienione oczy Psa. „Jeśli Lorelei zna jego sekret, z pewnością wyjawি go Madame. Jeśli go nie zna...”.

– A co, jeśli się mylimy? – wyrzucił z siebie.

Ajitabh spojrział na niego przez ramię.

– To znaczy?

– A co, jeśli Lorelei uciekła, bo się bała? Może po prostu chciała wrócić do domu? Pies mógł sam powędrować za nią. Czasami tak robił...

Bardzo chciał wierzyć w to, że Lorelei wróci do magazynu, nakarmi zwierzaka rosołem z ryżem i będzie się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś spotka Homera.

– Dobrze by było – stwierdziła Zelda. – Zdrada jest trudna do przełknięcia. Zwłaszcza w tak młodym wieku.

Kiedy inni jedli, Homer analizował sytuację. Potraktował zachowanie Lorelei jak mapę i przyglądał mu się ze wszystkich stron. Szukał ukrytych wskazówek lub znaków, które mogły – ale tylko mogły – świadczyć o jej niewinności.

Po zjedzeniu kolacji Zelda opowiedziała Homerowi o swoim sklepie w Ponurych Trzęsawiskach.

– Tylko ja żyję w tym miasteczku – przyznała. – I to mi się podoba. Opuściłam Miasto pewnej straszliwej nocy...

– U Chez Billa? – zapytał Homer.

Kobieta zasłoniła usta, a jej oczy ukryte pod goglami znacznie się powiększyły.

– Skąd wiesz?

– Zeldo... – Chłopiec poprawił się na siedzeniu tak, aby móc widzieć jej twarz. – Kiedy byłem w kancelarii Snooty’ego i Snooty’ego, to – nie mógł zdradzić, że to Pies wykopał tę broszkę – usłyszałem, jak jeden z braci powiedział, że utracił miłość swojego życia. Podobno zepsuła się wtedy winda i w efekcie spóźnił się do restauracji Chez Billa.

– Miłość swojego życia? – Ręka Zeldy opadła na udo.

– Tak. Miał nawet specjalną broszkę, którą zamierzał jej wręczyć. Jestem niemal pewien, że chodziło o ciebie, bo jego brat wspomniał, że ta kobieta nie zmieściłaby się do windy i nie mogła jeździć na diabelskim młynie. W każdym razie pan Snooty powiedział, że zamierzał poprosić ją... poprosić ciebie o rękę.

Szkła gogli Zeldy zaparowały. Z jej oczu pociekły łzy.

– Byłam taka głupia – szepnęła niskim, drżącym głosem. – To straszna, naprawdę trudna do opisanie rzecz... zmusić się i przestać kogoś kochać.

Ajitabh spojrział na Homera i pokiwał z uznaniem głową. Przez jakiś czas lecieli w milczeniu, tylko Zelda cichutko popłakiwała. Chłopiec nie chciał, żeby się smuciła, ale jej łzy dawały mu nadzieję. Jeśli źle odczytała zachowanie Constantine’a Snooty’ego, to możliwe, że on również źle odczytał zachowanie przyjaciółki. A jeśli tak, to wciąż nią była.

– Jeżeli znajdziemy mapę Rumpolda Smellera – zwrócił się do niego Ajitabh – to będziemy musieli zarejestrować to w stowarzyszeniu. Ten sukces zostanie uznany za twoją pierwszą wyprawę. Sądzę, że będziesz najmłodszym członkiem stowarzyszenia w historii. Szkoda, że Drake tego nie zobaczy.

Wspomnienie ostatniej wizyty wujka znów pojawiło się przed oczami Homera. Chłopiec wciąż pamiętał każde słowo rozmowy, jaką przeprowadzili w jego pokoju. Jednak nie był ostatnią osobą, z jaką wujek widział się tej nocy. Kiedy wyszedł, Homer obserwował go

przez okno. Mężczyzna spotkał się z jego tatą na podjeździe. Przez chwilę spokojnie rozmawiali, a potem zaczęli na siebie krzyczeć.

– Nie możesz nabijać jego głowy tymi nonsensami! – zawołał ojciec. – On ciebie nie przypomina. Nie jest stworzony do przygód. Nie zdoła się wdrapać na górę ani przeprowić przez pustynię. Złamiesz mu kiedyś serce!

– Serce pęknie mu tylko wtedy, gdy nie pozwolisz mu realizować swoich pasji – odpowiedział wujek Drake. – Jednak nie spodziewam się, że to zrozumiesz.

– Myślisz, że nigdy nie miałem pasji?! – wydarł się tata, ściągając czapkę z głowy. – Miałem swoje plany. Czyżbyś zapomniał? Tak ci wygodniej, prawda? Przecież to ty miałeś odziedziczyć tę ziemię. Byłeś najstarszym synem! Miałeś przejąć farmę po śmierci ojca! Ale opuściłeś mamę i wyruszyłeś na te swoje wyprawy! Gdybym tu nie został, mama straciłaby wszystko. Wiem, co to znaczy mieć marzenia, i wiem, co to znaczy je stracić. Nie chcę, żeby to samo spotkało Homera.

Potem obydwaj spojrzeli w stronę jego okna. Chłopiec zdał sobie sprawę, że podsłuchiwał ich bardzo osobistą rozmowę, i schował się za zasłoną.

Od tej pory nie myślał o tym, co wtedy usłyszał. Aż do tej chwili, w chmuropłynie. Ktoś zniszczył marzenia jego taty? Przecież on uwielbiał zajmować się kozami! Tylko o tym mówił!

– Zbliżamy się do Miasta – przerwał jego rozmyślania Ajitabh. – Włączam maksymalną osłonę chmurową. – Po chwili kłębiaste chmury wypełniły przestrzeń między Homerem a Zeldą. Również i Ajitabh zniknął za białym kocem pary. – Odbieram sygnał z drugiego chmuropłynu – dodał po chwili i zamilkł. – Wylądowała w muzeum – stwierdził wreszcie bardzo poważnym tonem.

Homer nie mógł już dłużej się łudzić. Lorelei pracowała dla Madame le Directeur.

Zelda poklepała go po dłoni.



Wylądowali obok ukradzionego chmurokoptera w najbardziej wysuniętym na północ zakątku muzeum, obok szpaleru drzew. Obie maszyny stały z dala od latarni ulicznych, dzięki czemu spowijał je cień. Homer, Zelda i Ajitabh zdjęli gogle i wyskoczyli z maszyny.

– Nie ma po niej śladu – stwierdził mężczyzna, wsuwając ręce w paski swojego plecaka.

Chłopiec przeszedł na drugą stronę maszyny.

– Pies! – zawołał, licząc na to, że zwierzęciu udało się uciec. – Pies?

Nagle zaczepił płaszczem o krzew. Kiedy próbował się odczepić, stanął na czymś twardym. To była kość, którą Mumble dał futrzakowi. Pewnie za jej pomocą Lorelei zwabiła Psa do chmurokoptera. Chłopiec wsunął rękę do kieszeni płaszczka. Smyczy też nie miał. Dziewczyna pomyślała o wszystkim!

– Jak sądzicie, gdzie może znajdować się kryjówka Madame? – zapytał Ajitabh stojący po drugiej stronie maszyny.

Homer obiecał Lorelei, że nikomu nie powie o jej sekretnym przejściu. Ale sytuacja się zmieniła. Dziewczyna nie zasługiwała na to, żeby dochowywać złożonych jej obietnic.

– Wiem, jak możemy się dostać do środka.

Miał właśnie wyjść zza chmurokoptera, kiedy nagle ktoś krzyknął.

– Tam są!

Światło latarki padło na twarz Zeldy. Nie miała szans, żeby się schować.

Ajitabh zareagował błyskawicznie.

– Nie wychodź stamtąd – szepnął.

Chłopiec rzucił się pod maszynę. Wciąż miała włączoną minimalną osłonę chmurową i postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że otacza ją gęsta mgła. Homer przylgnął do pokrytej bluszczem ziemi i patrzył, jak pan Twaddle w towarzystwie dwóch policjantów zbliżają się do Ajitabha.

– Stać! – Policjanci wyciągnęli pałki zza pasków.

Zelda upuściła torbę i uniosła ręce.

– Panowie oficerowie – odezwał się Hindus – to jakieś nieporozumienie, zapewniam was. Jesteśmy turystami. Wyszliśmy na wieczorną przechadzkę.

– O matko święta – jęknął pierwszy z policjantów i zadarł głowę, żeby przyjrzeć się Zeldzie. – Popatrz tylko na nią!

– Włamali się tutaj – wtrącił pan Twaddle. – Na pewno mieli złe zamiary.

– Proszę podać mi plecak – zażądał drugi z oficerów.

– Najpierw zapytam, czy ma pan nakaz przeszukania – odparł Ajitabh.

Policjant zamachał mu pałką przed nosem.

– Dawaj.

Pan Twaddle wyrwał mężczyźnie plecak. Wsadził rękę do środka i wyciągnął szwajcarski scyzoryk, siekierkę i obcęgi.

– Wieczorny spacer, jeszcze czego. To zwykli złodzieje, panowie oficerowie. Nie ma żadnych wątpliwości – stwierdził.

Po chwili wyciągnął z plecaka miecz Ajitabha.

– Złodzieje? – zapytała Zelda.

– Ktoś notorycznie okrada Muzeum Historii Naturalnej – wyjaśnił pierwszy oficer, wciąż wpatrując się w wysoką kobietę.

– Wygląda na to, że złapaliście sprawców. – Uśmiechnął się zadowolony z siebie pan Twaddle.

– Oboje jesteście aresztowani – stwierdził drugi oficer. – Pójdziecie z nami.

– A co z moimi prywatnymi rzeczami? – zapytał Ajitabh.

Pan Twaddle oddał plecak pierwszemu oficerowi, ale miecz schował za sobą. Policjanci ruszyli razem z aresztowanymi. Coraz bardziej oddalali się od drzew.

– Czasami najlepiej jest wrócić do domu i poczekać – powiedział na cały głos Ajitabh.

Chociaż nie odwrócił się, Homer dobrze wiedział, że te słowa skierowane są do niego.

– Powtarzam. Czasami najlepiej jest wrócić na Homera... na chatę i poczekać!

– Tak szybko do domu nie wrócisz – wtrącił drugi oficer. – Teraz zaprowadzimy was na komisariat i dokładnie przesłuchamy. – Pomachał panu Twaddle'owi pałką. – Pan też musi iść, żeby złożyć zawiadomienie.

– Oczywiście. Mam jednak kilka obowiązków służbowych, którymi muszę się szybko zająć. Przyjdę tak szybko, jak to możliwe! – zawołał za nim mężczyzna. – Pilnujcie ich jak oka w głowie. Nie wiadomo, co jeszcze będą chcieli ukraść!

Parsknął śmiechem, a potem pobiegł do muzeum. Ostrze miecza pobłyskiwało w świetle rzucanym przez reflektory budynku.

Nie zauważył Homera.

Chłopiec zaczekał, aż pan Twaddle zniknie, po czym wyczołgał się spod chmurokoptera. Otarł piasek z brody i zaniepokojony rozejrzał się dookoła. Ajitabh kazał mu wrócić do domu, ale wtedy nic by nie mógł zrobić. A przecież był teraz jedyną osobą, która mogła uratować Psa.

– Ostateczny test, test wytrzymałości i inteligencji, będziesz musiał zdać sam – powiedział mu kiedyś wujek.

Niech więc tak będzie!

## Rozdział 30

### Połknięty żywcem

Tajne przejście Lorelei pachniało pleśnią i może jeszcze padliną, ale Homer nie chciał się nad tym zastanawiać. Dlaczego nie wziął latarki czołówki? Trzymając malutką latarkę w zębach, czołgał się tak szybko, jak się dało. Było ciasno, ale jakoś się mieścił. „Bądź dzielny, Psie. Idę po ciebie!”.

Obudzone szuraniem pająki uciekały. Myszkujące w tunelu szczury też pewnie popędziłyby w przeciwną stronę. Ciasne, mroczne przejścia były stałym elementem życia poszukiwacza skarbów. Jeśli któryś z nich nie radził sobie z nimi, prawdopodobnie nigdzie by nie dotarł.

Poza tym skoro taki cuchnący oszust jak Lorelei zdołał tamtędy przejść, to on tym bardziej mógł to zrobić.

Wilgoć przeniknęła do jego kolan. Gdyby Lorelei była przy nim, gdyby wciąż się przyjaźnili, to pewnie powiedziałyby, że tak samo czuł się Odyseusz, kiedy zstąpił do piekieł po informacje od jakiegoś truposza. Homer też potrzebował informacji. Chciał się dowiedzieć, czy Madame naprawdę zabiła jego wujka. Chciał się dowiedzieć, dlaczego Lorelei go oszukała. Chciał się dowiedzieć, czy któreś z nich znalazło już mapę. Ale uzyskanie odpowiedzi na te pytania nie było aż tak ważne jak jego podstawowy cel – odzyskanie Psa.

Gdzieś przed nim w tunelu sączyło się światło. Homer pełznął w jego kierunku i kiedy zaczęły mu dokuczać poobcierane kolana, zobaczył przed sobą metalową kratę. Ostrożnie spojrzął przez jej pręty.

Krata znajdowała się wysoko w ścianie. Tuż za nią ciągnął się w obie strony oświetlony kinkietami, lecz wciąż ciemny korytarz. Lorelei wspomniała, że na dole znajdowała się piwnica. Jeśli tak, to panowała w niej niepokojąca cisza.

Chłopiec przycisnął twarz do kraty, żeby się lepiej rozejrzeć. Coś znajdowało się po prawej stronie. Tylko co? Skierował promień światła na gigantyczną figurę żółwia. Stojąc na tylnych nogach, była

wyższa od dorosłego człowieka, a także znacznie szersza. Jej głowa wystawała ponad ścianę, skorupa zaś wchodziła w nią. Wąskie, gadzie oczy odbijały promienie światła, dzięki czemu wyglądały ja żywe. Homer zadrżał i odsunął się od kraty.

„To tylko pomnik”, przekonywał się w myślach. Wyłączył latarkę i wsunął ją do kieszeni. Potem popchnął kratę. Otworzyła się bez najmniejszych problemów, dokładnie tak jak powiedziała Lorelei. Wysunął nogi na zewnątrz i właśnie miał zeskoczyć na marmurową podłogę, kiedy nagle usłyszał czyjeś kroki. Szybko wciągnął nogi i zamknął kratę, po czym schował się w ciemnościach.

Korytarzem szedł pan Twaddle. Jego poły płaszcz łopotął.

– Ciągłe muszę coś robić – mrucał. Pewnie był w sklepie z pamiątkami, bo jadł ciasteczka w kształcie dinozaurów. Nagle zaczął udawać głos Madame. – Pozbądź się tego chłopaka, Twaddle. Pozbądź się włamywaczy, Twaddle. Rób, co mówię, Twaddle, bo inaczej nie zapłacę za twoje wakacje. – Z ust sypały mu się okruszki. W końcu rzucił opakowanie po ciasteczkach na podłogę. W drugiej ręce wciąż miał miecz Ajitabha. – Nie cierpię jej!

Coś zatrzeszczało. Mężczyzna znieruchomiał, gdy z głośnika w ścianie rozległ się głos Madame.

– Twaddle, co tak długo? Natychmiast tutaj wracaj! Musisz zająć się tą dziewczyną i jej paskudnym kundlem!

Lorelei i Pies byli w kryjówce Madame. Homer zacisnął pięści. Jeśli zrobi coś Psu...

– Już idę! – odpowiedział mężczyzna przez zaciśnięte zęby.

– Mam nadzieję, że już idziesz! – zawołała. – Ty głupi kretynie.

– Jedno z nas z pewnością jest głupim kretynem, ale nie ja – mruknął mężczyzna.

– Słyszałam to!

Homer przesunął się do przodu, żeby lepiej go widzieć. Pan Twaddle zatrzymał się przed wielkim żółwiem.

– Dlaczego to ja mam się zająć dziewczyną? – Denerwował się. – Nie ja ją wynająłem!

Wyciągnął rękę i wdusił lewe oko pomnika, a potem cofnął się. Rozległo się terkotanie. Homer jęknął, kiedy zobaczył, jak pysk żółwia

się otwiera. Otwór robił się coraz większy i większy, upodabniając zwierzę do groteskowej maskotki ze starej skarpetki. „To jakiś mechanizm”, pomyślał chłopiec. Urządzenie wciąż terkotało. Kiedy przestało, pan Twaddle rozejrzył się, po czym wsunął miecz do kamiennego pyska. Potem podciągnął się i wpełznął do niego. Gdy jego dwukolorowe buty zniknęły, pysk zamknął się i wrócił do swoich normalnych rozmiarów.

No oczywiście! Tajna kryjówka musiała mieć tajne wejście. Homer przypomniał sobie Świątynię Króla Gadów, której strzegł olbrzymi kamienny wąż. W biografii *Życie Wilmy von Weiner* przeczytał, że słynnej poszukiwaczce skarbów trzy dni zajęło wymyślenie, że powinna wpełznąć do jego paszczy i tą drogą dostać się do środka.

Homer otworzył kratę i zeskoczył na podłogę. Potem zamknął ją i ostrożnie podszedł do pomnika. Wyciągnął się i dotknął oka gada. Znowu rozległo się charakterystyczne terkotanie. Pysk robił się coraz większy i większy, aż w końcu chłopiec miał przed sobą ziejącą pustkę. Od razu poczuł ucisk w żołądku. Była to mieszanina strachu i przerażenia. Przypomniał sobie, że jego wujek spędził ostatnie chwile w żołądku żółwia. A może nie spędził? Ta myśl tylko przemknęła mu przez głowę.

Nie było jednak czasu na denerwowanie się. Pies potrzebował jego pomocy!

Homer wziął głęboki oddech, stanął na palcach i podciągnął się. Kiedy tylko jego stopy znalazły się we wnętrzu pyska, ten zamknął się z trzaskiem. Chłopca spowiła ciemność. Przejście okazało się wyjątkowo ciasne. Pewnie tak się czuł Odyseusz, kiedy siedział we wnętrzu konia trojańskiego, próbując przechytryć wroga.

Postanowił, że nie skorzysta z latarki, bo pan Twaddle pewnie był niedaleko. Wziął głęboki oddech. Mógł pełznąć tylko przed siebie. Więc pełznął. Przeszedł zaledwie kilka metrów.

Potem stracił kontakt z podłożem.

## Rozdział 31

### W kryjówce

Ziuuuuuuuu!

Homer sunął twarzą w dół, kręcąc kółka niczym korkociąg. Przypominało mu to jazdę na wirówce podczas targu w Mlecznej Dolinie. Kiedyś zwymiotował na niej wszystkie karbowane frytki, jakie wcześniej zjadł. Zamknął oczy i, drżąc ze strachu, sunął w dół zjeżdżalni. W końcu pacnął brzuchem o ziemię. Siła uderzenia wycisnęła z niego całe powietrze i wbiła mu kompas w klatkę piersiową.

– Auuu!

Kiedy usiadł, wciąż kręciło mu się w głowie. Próbował wziąć się w garść i uspokoić oddech.

Pokój nie był duży. Za nim, w ścianie, znajdował się wylot zjeżdżalni. Wąskie schody wiły się wokół niej. Zapewne umożliwiały wydostanie się na zewnątrz. Z przodu z otwartych drzwi sączyło się światło. Słysząc też było przytłumione głośnie. Kiedy wstał, pokój się zakołysał.

Po chwili zawroty głowy minęły i Homer sprawdził, czy kompas jest cały. Potem wsunął głowę za drzwi.

Zobaczył balkon z poręczą. Głosy dobiegały ze zbyt dużej odległości, żeby je zrozumieć czy choćby zidentyfikować. Homer wyszedł więc z pokoju i wychylił się przez barierkę. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to słowo „pieczara”. A więc to była kryjówka Madame!

Patrzył w dół na wielką, podziemną fortecę. Gdyby się nie znał, uwierzyłby, że to Świątynia Króla Gadów. Jakim cudem Madame udało się wybudować tak realistyczną replikę? Była dokładnie taka sama jak na zdjęciach, które widział w książkach o poszukiwaniu skarbów. Kamienne ściany i podłogi, gigantyczne posągi węży i jaszczurki, a nawet zamulony staw, w którym król hodował swoje ukochane kumaki, wyglądały autentycznie.

Madame dodała jednak kilka nowoczesnych elementów. Na brzegu

stawu stała zacumowana czerwona motorówka. Na rurach pod sufitem wisiały dziesiątki zyrandoli uginających się pod ciężarem kryształowych ozdób przypominających kropelki. Tu i ówdzie leżały puszyste dywany. Czerwona, aksamitna kanapa stała obok czerwonego, aksamitnego tronu. Obok znajdowały się trzy automaty. W jednym można było kupić przekąski, w drugim napoje, a w trzecim żywe myszy. Automat z żywymi myszami? Niewielkie, białe gryzonie wierciły się w szklanych pudełkach. Kilka z nich siedziało nieruchomo, wpatrując się poprzez szkło w wielkie terrarium, w którym zwinęła się kobra.

Rząd monitorów ochrony ciągnął się po drugiej stronie pomieszczenia, pokazując różne zakątki muzeum oraz okolicznych terenów. Na jednym z nich widać było gęstą mgłę. Och, zaraz, zaraz. To była chmura, za którą skrywał się chmurokopter. Dlatego pan Twaddle wiedział, że wylądowali na dziedzińcu! Inny monitor przedstawiał balonik z imprezy VIP-ów wciąż unoszący się nad ławką na wystawie Życie na Krawędzi.

Głosy dochodziły spod balkonu. Homer wciąż nie mógł ich rozpoznać, nie słyszał też poszczególnych słów. Nie widział nigdzie Psa ani rzeczy należących do jego wujka. Wiedział, że powinien zejść po stromych schodach. Właśnie zbierał się na odwagę, kiedy nagle usłyszał czyjeś kroki. Błyskawicznie wyciągnął się na podłogę i wyjrzał przez szparę w poręczy. Wstrzymał oddech. Spod balkonu wyłoniła się Lorelei. Jej różowe włosy były potargane i to bardziej niż zwykle. Szła powoli, jak gdyby była zmęczona.

Dziewczyna zatrzymała się przed automatem z jedzeniem i nacisnęła jeden z guzików. Sięgnęła po paczkę chipsów i oparłszy się o urządzenie, zaczęła je powoli jeść. Jeden po drugim. Zupełnie jakby nie miała nic innego do roboty. Zupełnie jakby nie przejmowała się, że Homer martwi się i tęskni za Psem. Chłopiec ze złości zacisnął pięści.

– Natychmiast tutaj wracaj! – Spod balkonu wyłoniła się Madame la Directeur i podeszła do automatów. – Nie płacę ci za jedzenie. Musimy znaleźć tę mapę!

Wyciągnęła bluzkę z za paska, a rękawy zakasała. Kilka kosmyków



jej starannie ułożonych i polakierowanych włosów sterczało w niewłaściwym kierunku.

– Dobrze, dobrze – odpowiedziała Lorelei, przegryzając chipsy. – Zwolnij, paniusiu. Dziewczynka musi się najeść.

– Żresz właściwie bez przerwy. I ten paskudny pies też!

Madame nacisnęła guzik w automacie z myszami. Z pojemnika w lewej górnej części urządzenia zniknął jeden gryzoń. Kobieta wyciągnęła go z szufladki u dołu, trzymając za ogon. Zwierzątko szamotało się, kiedy otworzyła terrarium z kobrą i wrzuciła je do środka.

– Zupełnie nie wiem, dlaczego się uparłaś, żeby przywieźć tu tego psa. On nic nie robi, tylko zasmradza mi pokój na zapleczu – stwierdziła i wyrwała Lorelei paczkę z chipsami. – Idź tam i szukaj. Mapa musi być gdzieś wśród tych śmieci.

Homer zmrużył oczy. Dowiedział się właśnie o czterech ważnych sprawach: Pies był bezpieczny; rzeczy jego wujka znajdowały się w pomieszczeniu na zapleczu; Madame wciąż jeszcze nie odnalazła mapy Smellera; no i nie wiedziała, że pies potrafi odnajdywać skarby. A to oznaczało, że Lorelei też mogła tego nie wiedzieć.

Dziewczyna spojrzała na Madame, a potem weszła pod balkon Homera.

– Co za bachor! – jęknęła kobieta.

Chłopiec wstrzymał oddech, przywierając jeszcze mocniej do podłogi. W ustach zrobiło mu się sucho, a jednocześnie obficie się pocił. W jaki sposób mógł zwrócić na siebie uwagę Psa, a potem szybko uciec?

Kiedy Madame zjadła ostatni z chipsów Lorelei, spod balkonu wynurzył się pan Twaddle. Nie miał już na sobie płaszcz, a rękawy koszuli zakasał.

– Mówię ci, że to strata czasu – oświadczył. – Tutaj nie ma tej mapy. Kto by ją trzymał w mieszkaniu? To zbyt oczywiste!

– No właśnie. Nikt by nie podejrzewał, że bezcenna mapa znajduje się u kogoś w domu. Drake był naprawdę sprytny!

– Ale...

Madame wrzuciła paczkę po chipsach do stawu i wycelowała

palcem w mężczyznę.

– Nie ma żadnego ale, ty tumanie. Mapa gdzieś tu jest i znajdziemy ją. Potrzebuję tych pieniędzy. Przycisk autodestrukcji znów się zepsuł. Wiesz, ile kosztuje naprawienie go?

– To dlaczego nie weźmiesz kolejnego kamienia z Jaskini Geniuszu?

– Ponieważ zdążyłam już zastąpić większość z nich falsyfikatami, a pozostałe zgłosiłam jako skradzione. Sam widzisz, że już nie mam pieniędzy. Potrzebuję skarbu Rumpolda Smellera. – Kobieta złapała pana Twaddle'a za kołnierz. – Dzięki niemu stanę się sławna i bogata. Mam dość czekania. Wracaj na zaplecze i bierz się do roboty.

– Ale ja muszę jechać na komisariat. Potwierdzić zarzuty.

– Zajmiesz się tym później. Ajitabh i Zelda nie są w stanie nam zaszkodzić. To tylko para amatorów. Nie przejmuję się nimi. Powiem ci, kim się przejmuję – dodała i przysunęła się do niego. – Martwię się tą dziewczyną. Ona zdecydowanie za dużo wie. Kiedy znajdziemy mapę, pozbędziesz się jej.

– Mam ją stąd wyrzucić tak jak tego chłopaka?

– Nie. Naucz się czytać między słowami, Twaddle. Chcę, żebyś się jej pozbył. Tak jak ja pozbyłam się Drake'a. Nakarm nią żółwia.

Homer niemal krzyknął.

Mężczyzna cofnął się.

– Nie wspominałaś, że będę musiał krzywdzić dzieci.

Madame uśmiechnęła się i poklepała go po łysej głowie.

– Hej, to tylko dziecko wychowane na ulicy. Nikt nie będzie za nim tęsknił. Pozbędziesz się jej i będziemy mogli pławić się w chwale. No i pozbądź się też psa – dodała i weszła pod balkon.

Pan Twaddle stał nieruchomo. Pobladł na twarzy. W końcu wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nią czoło. Potem ruszył za Madame.

Pozbyć się Lorelei i Psa? Lorelei nie miała pojęcia, że jej życie wisi na włosku. Ale jak on miałby ją o tym przekonać? Przecież by mu nie uwierzyła.

Nagle coś ciepłego otarło się o jego policzek. Wciąż leżąc na brzuchu, powoli odwrócił głowę. Zobaczył wpatrujące się w niego

czarne oczy. Oczy Stokrotki. Szczurzyca poruszyła nosem.

– Idź stąd – szepnął.

Szczurzyca znów poruszyła nosem, a potem wskoczyła mu na plecy i wdrapała się na kołnierz. Próbował ją zrzucić, ale z całych sił trzymała się materiału, przyciskając swój nos do jego karku. Homer zaczął się huścić na boki, żeby ją strącić. Potem coś trzasnęło. Po chwili Stokrotka uciekła z ukochanym kompasem chłopca w zębach. Przegryziony łańcuszek ciągnął się za nią.

Co za złodziejka!

Podpełznął bliżej schodów. Miał nadzieję, że nie skrzypiały tak jak te na farmie. U ich podstawy stał kolejny pomnik przedstawiający żółwia. Był dostatecznie duży, żeby się za nim schować. W sąsiednim pomieszczeniu Madame wykrzykiwała kolejne rozkazy. Homer wykorzystał to i zbiegł na palcach na dół i ukrył się za żółwiem. Z tej kryjówki doskonale widział pomieszczenie pod balkonem.

Na ziemi leżały rzeczy należące do jego wujka – książki, pudełka, ubrania, wazy, globusy, pergaminy, buty i poduszki tworzyły wielką stertę. Lorelei siedziała po turecku i wyciągała z szuflady kolejne pary skarpetek. Wsadzała rękę do każdego z nich. Pan Twaddle rozebrał lornetkę Boringtona, a Madame przeglądała listy. Po przeczytaniu każdy wyrzucała za plecy. Ale gdzie był Pies?

– Kolejny bazgroł od tego grubego dzieciaka – stwierdziła nagle Madame. – „Drogi wujku Drake’u! Dziękuję za książkę o Angusie MacDoodle’u i skarbie ukrytym na jego podwórku. Zacząłem szukać celtyckich monet na kozim pastwisku, ale tata nie pozwolił mi kopać tyłu dziur, bo kozy mogłyby w nie wpaść i połamać sobie nogi”.

Homer wzdrygnął się. Jakim prawem czytała jego listy? Wysłał je przecież do wujka i zaadresował do niego, a NIE DO NIEJ!

– I jeszcze jeden list od tego dzieciaka. „Drogi wujku Drake’u! Cieszę się, że przyjeżdżasz w niedzielę. Mama upiecze ciasto wiśniowe, bo chyba właśnie takie lubisz najbardziej”. – Madame podarła list na kawałeczki. – Co za bzdury. Ja chcę mapę. NIECH KTOŚ ZNAJDZIE TĘ MAPE!

– Urrr!

Serce Homera zabiło mocniej, kiedy Pies pojawił się przed jego

oczami, ciągnąc za sobą smycz. Wyglądał na całego i zdrowego, choć równie smutnego co zawsze.

Futrzak zaczął wachać stertę rzeczy wujka.

Chłopiec zamachał ręką, próbując zwrócić na siebie jego uwagę. Chciał wbiec do środka i złapać go, ale wiedział, że nigdy nie wyprzedzi Lorelei czy pana Twaddle'a. Musiał więc zmusić Psa, żeby do niego przyszedł. Futrzaki mieszkające na farmie po prostu poczułyby jego zapach. Od razu podeszłyby bliżej, zaczęły krążyć wokół stóp gotowe iść za nim na koniec świata. Ale nie Pies.

– Co ten szczur targa za sobą? – zapytał pan Twaddle, gdy Stokrotka wdrapała się na stertę. – To kompas Galileusza!

– Dawaj go! – Madame wyrwała jej urządzenie. – Prawdopodobnie tylko podróbka.

Lorelei chwyciła szczurzycę.

– Stokrotko, skąd ty go...

Potem odwróciła głowę w stronę Homera. Chłopiec schował się za żółwiem.

– Och, muszę iść do łazienki. Zaraz wrócę.

Zanim Homer zdążył zareagować, miał ją przed sobą.

– No już, spadaj, zanim cię zobaczy – szepnęła. – Pospiesz się...

Stokrotka zeskoczyła z jej ramienia i gdzieś zniknęła. Nie było czasu, żeby się złościć.

– Ty też musisz uciekać. Kazała panu Twaddle'owi pozbyć się ciebie.

Lorelei poruszyła płatkami nosa.

– Poradzę sobie sama. Idź już. – Pchnęła go.

– Nie ruszam się stąd bez Psa.

Odepchnął ją.

– Co ten głupi kundel wyrabia? – zawołała Madame. – Dlaczego ryje w tej kupie?

Homer i Lorelei znieruchomieli. Potem wyjrzeni zza żółwia.

Pies stał pośrodku sterty rzeczy należących do wujka Drake'a. Kopał. Tuż obok pana Twaddle'a przeleciał kapelusz, a ołówek niemal uderzył Madame w twarz.

– Przestań kopać. Bałaganisz. Gdzie jest ta paskudna dziewczyna?

– Tutaj! – odpowiedziała Lorelei i pospiesznie wbiegła do pokoju. Kobieta zamachała rękami.

– Wrzuć tego psa do stawu. Doprowadza mnie do szaleństwa. Pies wysunął łeb z głębi sterty, ściskając w zębach niewielką książkę.

– Mówię po raz ostatni, zabierz stąd tego kundla!

Lorelei chwyciła smycz, wyrwała mu książkę z pyska i wybiegła z pokoju. Homer nie wierzył temu, co widzi. Czy naprawdę zamierzała utopić go w stawie? Kiedy jednak dotarła do kamiennego żółwia, skinęła na Homera i ruszyła w stronę schodów. Chłopiec miał właśnie ruszyć za nią, kiedy z zaplecza wyskoczyła Madame.

– Gdzie ty idziesz z tą książką?

Lorelei zatrzymała się i uśmiechnęła niewinnie.

– Jaką książką?

– Tą, którą masz w rękach. Tą, którą ten kundel wygrzebał z tych gratów. O ile dobrze widzę, to książka mojego ojca: *Rzadkie gady, które złapałem i wypchałem*. Dlaczego ją wzięłaś?

Dziewczynka zerknęła na okładkę i nieznacznie się uśmiechnęła.

– Słyszałam, że jest dobra. Jedna z najlepszych. Oczywiście dlatego, że napisał ją twój ojciec. Chciałam ją przejrzeć.

„Ona wie”, zrozumiał Homer. Obserwował Lorelei zza żółwia. „Ona zna tajemnicę Psa. Właśnie dlatego wzięła tę książkę”.

– Ach.

Zawistne spojrzenie Madame złagodniało na chwilę.

Czy uwierzy w fałszywy komplement Lorelei? A może zabierze jej książkę? Homer wychylił się zza żółwia, żeby lepiej widzieć.

– Hauuuuuuuuuuu!

Kiedy Pies zobaczył znajomy płaszcz, wyrwał się Lorelei i popędził w jego stronę. Chłopiec nawet się nie ruszył. Patrzył na futrzaka, który machał tak mocno ogonem, że walił nim w pomnik. Pies zaskamlał i spojrzał na niego swoimi wilgotnymi oczami. „Dlaczego mnie nie głaszczesz? – myślał zapewne. – Dlaczego pozwoliłeś jej mnie zabrać? Czy już mnie nie kochasz?”. Nagle zapisał i wsunął nos między jego łydki. „Czy byłem złym psem?”.

Homer nie wytrzymał tego bólu, który nagle poczuł. Ukucnął

i mocno go przytulił. Dotknął twarzą jego karku. Tę radość uciął wysoki głos Madame.

– A co ty tutaj robisz? – zapytała i złapała go za rękaw, po czym wyciągnęła zza żółwia.

Homer zdawał sobie sprawę, że wszystkie jego mapy znajdowały się na strychu. Wiedział, że nosi nazwisko Pudding, ma brata nazywanego Piskiem i siostrę Gwendolyn. Z tą samą pewnością mógł powiedzieć, że wpadł jak śliwka w kompot.

## Rozdział 32

### Potwór w stawie

Homer spoglądał w oczy kobiecie, która zabiła jego wujka. Oczy niebezpieczne i mroczne niczym staw tuż obok niej. Aby ukryć strach, starał się nie mrugać. Niestety jej spojrzenie było stanowczo zbyt intensywne.

– Jak się tu dostałeś? – zapytała szyderczym tonem.

Spojrzał na schody. Mimo że nie należał do osób szybko biegających, to istniała niewielka szansa, że zdoła dobiec na górę przed Madame. Chociażby dlatego, że kobieta miała buty na wysokich obcasach. Pies jednak potrzebowałby wieczności, żeby wdrapać się po tak stromych schodach.

Kobieta skierowała swój gniew na Lorelei.

– Pokazałaś mu tajne wejście? Pokazałaś, prawda?

– Nie – mówiła z uporem dziewczyna, a jej policzki robiły się coraz bardziej karmazynowe. – Dlaczego miałabym to zrobić? Pracuję przecież dla ciebie!

– Twaddle! – wydarła się Madame.

– Co?

Mężczyzna wszedł do pomieszczenia.

Odwrócił jeden z wysokich butów wujka Drake'a podeszwą do góry i zaczął nim trząść.

– Dzieciak Puddingów przyszedł tu za tobą. Teraz będziemy musieli zająć się i nim, i tą dziewczyną.

– Zająć mną? – Lorelei przycisnęła do piersi książkę o gadach. – Co masz na myśli?

Madame złożyła ręce na piersiach.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Pan Twaddle odrzucił but na bok i pokręcił głową.

– Mówiłem ci, żebyś zabierał się do domu, chłopcze – powiedział. – Powinieneś być mnie posłuchać. A teraz będę musiał cię skrzywdzić.

Homer wodził wzrokiem po pomieszczeniu. Musiało istnieć inne wyjście. Zawsze było jakieś inne wyjście. Starał się patrzeć na

otoczenie oczami kartografa.

Kiedy Pies podszedł do stawu, żeby się napić, chłopiec przypomniał sobie mapę Świątyni Króla Gadów, którą miał w domu. Jeszcze kilka dni temu wisiała bezpośrednio nad jego łóżkiem i często była ostatnią rzeczą, jaką widział przed snem. Droga do jej wnętrza prowadziła przez paszczę węża. I, podobnie jak w kryjówce Madame, najbardziej oczywiste wyjście prowadziło poprzez czyjś pysk. Ale kiedy Wilma von Weiner postanowiła przywieźć zapasy, poszerzyła strumień, który zasilał staw znajdujący się na terenie świątyni. Dzięki temu mogła wpłynąć tam na kanoe. No jasne! Stary kanał miejski! Kiedyś płynął z Jeziora Miejskiego przez tereny muzeum! Drugie wyjście z kryjówki musiało prowadzić przez wodę. Bo i po co Madame motorówka? Problem w tym, że ściana po przeciwnej stronie stawu wydawała się solidna. Wyjście musiało być zakamuflowane!

– Um, jestem nieco śpiąca – stwierdziła Lorelei i cofnęła się w stronę schodów. – Myślę, że pójdę do magazynu, żeby trochę się zdrzemnąć – dodała i udała ziewnięcie. – Ostatnie kilka dni były naprawdę bardzo męczące.

– Nigdzie nie pójdziesz. Żadne z was nigdzie nie pójdzie. Już nigdy! Madame wyciągnęła z kieszeni pilota i nacisnęła jeden z guzików. Z sufitu opuściła się stalowa krata i zablokowała górną część schodów.

Homer spojrział na urządzenie. Roilo się na nim od przycisków. Jeden z nich zapewne otwierał przejście w stawie.

– Hej! – zawołała Lorelei, kiedy krata dotknęła podłogi. – Co ty robisz? Nie pamiętasz, że jestem po twojej stronie?

Madame odwróciła się.

– Twaddle – powiedziała – nakarm nimi Edith.

Lorelei zrobiła przerażoną minę. Homer odwrócił się i spojrział na terrarium. Edith? Wąż leżał zwinięty w rogu i spał. Małej białej myszki już nie było.

Pan Twaddle wbiegł na zaplecze i po chwili wynurzył się z mieczem Ajitabha w dłoni.

– Podejdźcie tam – stwierdził, wskazując ostrzem na terrarium. – Obydwoje!



– Powinieneś puścić nas wolno – odezwał się Homer, cofając się wraz z Lorelei. – Przyjaciele mojego wujka wiedzą, że tu jestem. Na pewno po mnie przyjdą. I znajdą mnie.

Madame uniosła brwi.

– Masz na myśli Ajitabha i hipopotamicę? Ha! Oni specjalizują się w wynalazkach i bibelotach. Nie znaleźliby mnie, nawet gdybym uszczypnęła ich w tyłek – dodała i wsunęła bluzkę za pasek. – Drake jako jedyny miał talent. Nie mam pojęcia, dlaczego zadawał się z tymi ciamajdami.

Homer poczuł, że robi się czerwony. Wściekłość pulsowała w każdej części jego ciała.

– Dlaczego go zabiłaś? Dlaczego?

– Bo wszedł mi w paradę. – Madame wypluwała słowa niczym wąż swój jad. – A teraz wy dwoje znaleźliście się na mojej drodze.

– Nie możesz mnie zabić! – zawołała Lorelei. – Zrobiłam wszystko, co chciałaś. Powiedziałam ci o monecie. I dałam ci mapę z koordynatami wieży. Mogę ci pokazać, jak do niej dotrzeć!

Kobieta wybuchła śmiechem.

– Sądzisz, że byłaś jedynym dzieckiem z ulicy, które mogło załatwić mi tę informację? Takich jak ty mogę mieć na pięćki, i to za grosze. Nie powinnaś znać tej kryjówki. Odkryłaś ją, a potem on ją znalazł. A to znaczy, że oboje za dużo wiecie.

Lorelei tupnęła nogą.

– Obiecałaś, że będziemy współpracownikami!

– Współpracownikami? – zachnęła się Madame, po czym poprawiła spódnice na wysokości bioder. – Nigdy nie zamierzałam uczynić cię współpracowniczką.

– Uścisnęłyśmy sobie dłonie. Dałaś mi kompas, żeby udowodnić, jak bardzo cenisz naszą współpracę. Sama tak powiedziałaś! – zawołała dziewczyna.

A potem sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła swój kompas.

– Nie jesteś tak inteligentna, jak ci się wydaje. – Zachichotała kobieta. – Byłabym szalona, gdybym dała ci prawdziwy kompas Galileusza. Wiesz, ile one są warte? Dostałaś podróbkę.

Lorelei jęknęła, a potem posmutniała. Ugięła się wręcz pod

ciężarem paskudnej rzeczywistości.

– Ty... mnie okłamałaś!

„Nie jest to zbyt miłe uczucie, co?”, chciał powiedzieć Homer.

W tym momencie współczuł jej jednak tak samo jak sobie. Wiedział też, że ich jedyną szansą jest współpraca. Musiał z nią porozmawiać.

– Ale mimo że twój kompas jest podróbką, to ten wydaje się prawdziwy. – Madame podniosła urządzenie, które Stokrotka ukradła Homerowi. Jego koperta pobłyskiwała w świetle rzucanym przez żyrandole. – Podejrzewam, że Drake ci go dał. No bo skąd chłopak z farmy miałby taki skarb? Na czarnym rynku dostanę za niego mnóstwo kasy. – Przez chwilę trzymała kompas w świetle, patrząc na niego jak na ukochanego. – „Tylko ciekawi mają czego szukać!” – przeczytała. – Czysta poezja. Myślę, że zachowam go dla siebie.

– Wykorzystałaś mnie! – zawołała Lorelei. – Ona mnie wykorzystała! – Jej pełen wściekłości oddech zdmuchnął niesforny kosmyk różowych włosów, który zwisał z czoła.

Homer nie wytrzymał.

– Naprawdę? – zapytał. – Ona cię wykorzystała?

Dziewczyna spojrzała na niego, ale tylko przez chwilę.

– Bierz się do roboty – powiedziała kobieta i wróciła do sąsiedniego pomieszczenia.

– Ruszajcie się! – rozkazał pan Twaddle i machnął mieczem.

Pies przechadzał się wzdłuż stawu, wpatrując się w wodę. Homer i Lorelei cofnęli się kilka kroków, zatrzymując się tuż obok terrarium z kobrą.

„Nakarm nimi Edith”.

Wąż leniwie uniósł głowę, a z jego paszczy wystrzelił rozwidlony język. Homer przypomniał sobie fragment książki o baronowej Meatpie, chciwej kolekcjonerce ceramiki z Indii Wschodnich. Jej biograf napisał, że gdy w jednym z cennych garnków natknęła się na kobrę, jej pełne bólu okrzyki słyhać było nawet w sąsiedniej wiosce.

– Zaczekaj! – powiedział i uniósł ręce.

– Posłuchaj, dziecko. Nie chcę tego tak bardzo jak ty, ale to ona tu rządzi, więc się ruszaj.

– Nie ujdzie ci to na sucho – stwierdziła Lorelei.

Kiedy pan Twaddle zbliżył się do nich, cofnęli się kolejnych kilka kroków i minęli terrarium.

– Idźcie dalej.

Homer rzucił okiem za siebie. Pan Twaddle kierował ich w stronę stawu. Ale dlaczego? Edith wypoczywała przecież w terrarium. Po chwili znaleźli się na brzegu.

– No dalej! Wchodźcie do wody!

– Co? Ja nie potrafię pływać – zaprotestowała Lorelei.

– To nie ma znaczenia. Nie musisz pływać – oznajmił pan Twaddle.

Na jego czole pojawiły się krople potu, a jedna z żył na jego szyi pulsowała.

Homer i Lorelei spojrzeli na siebie, po czym odwrócili się i zerknęli na staw. Na jego środku pojawiły się bąbelki. Po chwili coś poruszyło się tuż pod powierzchnią wody. Sierść na karku psa zjeżyła się i zwierzę zaczęło szczekać. Homer poczuł bolesne klucie w żołądku, kiedy skorupa gigantycznego żółwia na chwilę wyłoniła się z odmetów, żeby potem zniknąć.

Lorelei zaczęła piszczeć.

Edith.

To prawda, co czasami mówią, że w chwili śmierci całe życie przechodzi nam przed oczami. Homer usłyszał nagle beczenie owiec, poczuł bryzę poruszającą gałęziami wiśni i zapach niedzielnej wody kolońskiej swojego taty. Przypomniał sobie smak porannej owsianki, ręce Piska w swoich dłoniach, wreszcie zobaczył złote iskierki w oczach swojej mamy.

– ZACZEKAJ! – zawołał i odwrócił się. – Wiem, co jeszcze możesz sprzedać, żeby zarobić mnóstwo kasy! – dodał, po czym złapał książkę, którą Lorelei wciąż miała w dłoniach.

Próbował wyrwać ją dziewczynie, lecz ścisnęła tom z całych sił.

– Oszalałeś? – zapytała, próbując go odepchnąć.

– Musimy odciągnąć ich uwagę – szepnął przez zaciśnięte zęby. Potem znów szarpnął, ale Lorelei się nie poddała. – Tu jest drugie wyjście. Jeśli zabierzemy jej pilota i wskoczymy do motorówki, to uda nam się uciec.

W oczach Lorelei pojawiły się łzy.

– Pies wykopał tę książkę ze sterty innych rzeczy. Wiesz, co to oznacza – szepnęła.

– To nie ma już znaczenia – powiedział i dalej ciągnął. Dziewczyna była niewiarygodnie silna. – Lorelei, musimy współpracować, jeśli chcemy się stąd wydostać. Zaufaj mi. Nie okłamię cię. Nigdy.

Pies biegał wzdłuż brzegu stawu, śledząc pojawiające się bąbelki.

– Grrr.

– Co tam się dzieje? Dlaczego oni wciąż żyją? – zawołała Madame, wchodząc do sali. – Wepchnij ich do tego stawu i zaczniemy szukać dalej!

– Przepraszam, dzieciaki. – Pan Twaddle uniósł miecz i ruszył w ich stronę.

Homer i Lorelei spojrzeli sobie w oczy. Chłopiec spodziewał się, że oczy dziewczyny będą pełne strachu, że będzie patrzeć jak koza, która wpadła do dziury. Okazało się, że są dziwnie spokojne. Kiwnęła głową i puściła książkę.

Wiedział, że musi działać szybko.

– Jeśli nas zostawisz w spokoju, dam ci mapę.

Pan Twaddle zatrzymał się. Madame zaczęła stukać obcasem w podłogę.

– W co ty pogrywasz? – zapytała.

Homer trzymał książkę tuż nad wodą.

– Trzymam ją, ale upuszczę, jeśli nie pozwolisz mnie, Lorelei i psu wejść do motorówki.

Madame się skrzywiła.

– Twaddle, przejrzałeś tę książkę?

– Tak.

– I?

– To książka z jakimiś głupimi rysunkami.

– Rysunkami? – Twarz Madame zrobiła się biała. – Jakimi rysunkami?

– Nie wiem. Z jakimiś liniami i bazgrołami. Tego typu rzeczami.

Madame la Directeur kopnęła go w łydkę.

– Ty kretynie! W tej książce nie powinno być żadnych rysunków. Mój ojciec nigdy nie rysował gadów, tylko robił im czarno-białe

zdjęcia. To musi być ta mapa!

Homer od razu domyślił się, co zrobił jego wujek. W czasach hiszpańskiej inkwizycji ludzie chcący ukryć zakazane księgi chowali je wewnątrz książek religijnych, a więc w miejscu, gdzie nikt ich nie szukał. Wujek Drake pociął mapę Rumpolda Smellera na małe kawałeczki i wsunął je w książkę, która nikogo nie powinna zainteresować. Wiedział, że Madame nawet na nią nie spojrzy, bo ma własny egzemplarz.

Palce kobiety zaczęły drżeć z podekscytowania.

– Daj mi tę książkę.

Homer wciąż trzymał ją nad powierzchnią wody. Bąbelki znów się pojawiły i Pies zaczął głośniej szczekać.

– Dam ci ją, ale najpierw pozwól Lorelei i psu wejść na łódkę.

– Dobrze! – Madame machnęła ręką.

Dziewczynka złapała smycz i pociągnęła Psa w stronę łódki. Z wysiłkiem przeniosła go nad burtą i postawiła na siedzeniu. Potem gwizdnęła. Stokrotka zeskoczyła z automatu, z którego wyjadała chipsy, i popędziła przed siebie. Ze sporą gracją odbiła się od ziemi i wylądowała tuż obok futrzaka.

– Teraz otwórz tunel – powiedział Homer.

– Jaki tunel? – zapytała Madame. Chłopiec udał, że książka wyślizguje mu się z rąk. – Dobrze, już dobrze!

Wyciągnęła pilota z kieszeni i nacisnęła guzik. Jedna ze ścian na tyłach stawu przesunęła się, odsłaniając mroczny, wypełniony wodą korytarz.

Nogi Homera zaczęły drżeć.

– Przesuń pilota w moją stronę.

Madame położyła go na ziemi, a potem kopnęła. Zatrzymał się tuż przy stopie chłopca. Pochylił się i na chwilę spuścił z niej wzrok. W tym samym momencie coś w niego uderzyło.

Chlap! Homer poczuł w ustach błotnistą wodę. Próbował wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć powietrze. Pan Twaddle stał na brzegu stawu i uśmiechał się szeroko. Upuścił miecz, ale zdołał złapać książkę o gadach, kiedy wypadła chłopcu z ręki.

– Łap dziewczynę! – zawołała Madame.

Nagle silnik motorówki ożył, a jej śruba zaczęła wzburzać wodę. Lorelei odcumowała łódź. Homer wziął głęboki oddech i próbował płynąć w jej stronę. Kiedy ruszył, pan Twaddle zaczął biec.

– Mam pewien pomysł! – zawołała dziewczyna do Homera.

Mężczyzna wyciągnął ręce i złapał się motorówki, ale nie zdołał się utrzymać. Siedzący na rufie Pies zawył i Lorelei wrzuciła bieg. Złapała za ster, wpadła jak burza w tunel i zniknęła im z oczu.

– Lorelei! – krzyknął chłopiec.

## Rozdział 33

### Dzentelmeńska umowa

Lorelei miała pomysł? – pomyślał Homer, kopiąc wodę, jednak namoknięty płaszcz ściągał go na dół. – Oczywiście, że miała! Jej pomysł brzmiał: »Zabieram się stąd, dopóki jeszcze mogę«”.

Jednak chłopiec nie miał czasu na zastanawianie się nad jej zachowaniem. Wiedział, że w każdej chwili może poczuć rozdzierający ból i szczęki Edith rozerwą jego nogi. Odepchnął się rękami i zaczął płynąć w stronę tunelu.

Gdyby dzieci z Mlecznej Doliny chociaż raz zaprosiły go nad Staw Żabiego Skrzeku, być może nauczyłby się pływać. Ponieważ nigdy go jednak nie zaprosiły, nauczył się sam, właśnie w tym momencie. Opanował styl zwany pieskiem. Jeśli kiedyś pływałeś pieskiem, to z pewnością wiesz, że w ten sposób nigdzie szybko nie dotrzesz.

Dlatego właśnie, choć Homer kopał nogami jak szalony, a dłonie zwinął w szufelki, wejście do tunelu wciąż znajdowało się daleko. Fale obmywały mu twarz. Huk silnika motorówki wciąż się oddalał. Lorelei uciekła. I znów zabrała mu Psa.

– Co ty wyprawiasz? Puść to!

Homer zerknął za siebie. Pan Twaddle i Madame walczyli o książkę o gadach. Miecz Ajitabha leżał zapomniany na brzegu.

– Po wszystkich tych brudach, które za ciebie zrobiłem, mam prawo do tej mapy! – zawołał mężczyzna.

– Nie masz do niej prawa. Jesteś niczym! Ja natomiast jestem naukowcem i córką Wilmy von Weiner. Jesteś tylko głupim sekretarzem w kancelarii prawnej!

Kiedy Madame kopnęła go w łydkę, on odpowiedział jej tym samym. Dopóki walczyli, Homer miał szansę na ucieczkę. Machał rękami tak mocno, że rozboleły go ramiona. Miał wrażenie, że za chwilę rozerwie mu płuca. Błotnista woda co chwila wpadała do jego ust. Kaszłał, lecz wciąż szukał nowych sił. Zbliżał się do tunelu. Edith wciąż znajdowała się gdzieś pod wodą. Czy odgryzie mu nogi? Czy połknie go, zanim uda mu się dotrzeć do kanału?

– Urrr!

Z ciemności wyłonił się Pies. Jego uszy unosiły się na wodzie niczym liście. Homer nie mógł uwierzyć, że go widzi. Najwyraźniej zwierzę po prostu wyskoczyło z motorówki!

– Pies! – zawołał, połykając potężny haust błotnistej cieczy.

Futrzak zamachał radośnie swoim krótkim ogonkiem wystającym ponad wodę niczym płetwa. Przez chwilę oboje płynęli ku sobie pieskiem. W końcu Homer był już tak blisko, że wyciągnął rękę i poklepał go po łbie. Pies jednak się nie zatrzymał. Minął chłopca, skupiając na czymś wzrok.

– GRRR!

Homer odwrócił się. Na skraju stawu poruszyła się woda, a potem zaczęła jednostajnie sunąć w ich kierunku.

– GRRR!

Pies przyspieszył, kierując się w jej stronę.

– PIES! – zawołał Homer i wyciągnął rękę. Jednak jego ogon wyślizgnął mu się z dłoni. – NIE! WRACAJ!

Pan Twaddle i Madame, ściskając jednocześnie książkę, wirowali wokół siebie niczym tancerze.

– Puść, ty paskudna zołzo!

– Po moim trupie, łysy bufonie!

Ciągnęli i pchali, kręcili się i popychali, mało im oczy z chciwości nie powyskakiwały.

Pies wciąż płynął.

Z oczu przerażonego chłopca zaczęły cieknąć łzy. Zwierzak próbował go bronić, co mogło zakończyć się dla niego tragicznie.

– PSIE! – zawołał Homer, a głos mu się łamał z emocji. – Proszę, wróć!

Nagle uszy futrzaka poruszyły się. Pies zatrzymał się. Homer również znieruchomiał, bo potężny zielony łeb wynurzył się z wody, a zaraz za nim pojawiła się długa, zielona szyja. Wąskie oczy spojrzały łakomie na Psa.

Futrzak uniósł dziąsła, odsłaniając zęby.

– GRRR!

Zmutowany żółw zaczął otwierać pysk. Coraz szerzej i szerzej.



Homer zdał sobie sprawę, że patrzy na stworzenie, które zjadło jego wujka. Instykt podpowiadał mu, że powinien zawrócić i ruszyć w stronę tunelu w olimpijskim tempie, ale zamiast tego zaczął płynąć prosto na psa. Nawet nie myślał o tym, że zwierzę potrafi wyczuwać skarby. Po prostu nie zniósłby, gdyby go stracił. Musiał dotrzeć do niego, zanim... zanim...

I wtedy właśnie w kryjówce rozległ się potężny huk. Czerwona motorówka wypadła na pełnej szybkości z tunelu. Lorelei siedziała za kierownicą. Maszyna przecięła wodę między psem a żółwiem. Dziewczyna skrzyła ostro, posyłając potężną falę w stronę brzegu. Woda bez trudu przewróciła Madame i pana Twaddle'a. Żółw się schował, a Lorelei znów skrzyła.

– Homer! – zawołała. – Szybko! Wskakuj!

Madame i pan Twaddle, wciąż trzymając książkę, próbowali wstać. Woda zachlapała niemal całą podłogę sali i zmoczyła włosy dyrektorki.

– Puszczaj! – zawołała i szarpnęła po raz kolejny.

Poślizgnęła się jednak na mokrej posadzce i przewróciła na terrarium z węzłem. To zsunęło się ze stolika i rozbiło o podłogę. Pan Twaddle poleciał z kolei do tyłu. Przez chwilę się chybotął na skraju stawu, ale w końcu odzyskał równowagę.

– Moja! – wrzasnął, kiedy zdał sobie sprawę, że trzyma książkę.

Madame odsunęła się od zniszczonego terrarium. Z jej spódnicy sypały się kawałki szkła, a buty na wysokich obcasach... odpłynęły.

– Daj. Mi. Ją!

Chłopiec patrzył przerażony, jak pan Twaddle unosi książkę. W jej wnętrzu znajdowała się mapa, przez którą umarł jego wujek. A teraz miał ją tak zwany czarny charakter!

– Homer, wskakuj na pokład! – zawołała Lorelei.

– Jest moja, moja, moja! – zaśpiewał z radością mężczyzna i zatańczył w miejscu.

Chłopiec wiedział, że musi odpuścić. Jego życie, życie Lorelei i Psa były w tym momencie ważniejsze. Musieli dostać się do motorówki i po prostu uciec. Homer złapał futrzaka za ogon.

– Chodź!

– Nie! – wydarła się Madame.

Rzuciła się do przodu, próbując złapać miecz, lecz pan Twaddle przypadkowo kopnął go w stronę wody. Broń natychmiast utonęła.

W tym samym momencie zmutowany żółw Edith wynurzył się z wody. Jednym płynnym, pełnym gracji ruchem chwycił mężczyznę w swój potężny pysk i razem z książką wciągnął do błotnistej wody.

W sali zapadła cisza.

Homer, wciąż młócaący wodę nogami, zaczął drżeć. Pies dotknął nosem jego karku.

– Urrr!

Madame zaczęła łkać, poruszając głową na boki.

– Ona zjadła moją mapę. Moją piękną mapę. Mój piękny skarb!

Motorówka zatrzymała się. Lorelei wysunęła niewielką drabinę i wyciągnęła rękę.

– No chodź.

Homer popłynął za Psem, po czym podźwignął jego zadek. Kiedy zwierzę znalazło się na pokładzie, chłopiec wspiał się na drabinę i upadł na podłogę. Stokrotka zapiszczała, bo wylądował na jej ogonku. Pies otrzepał się z wody.

Lorelei chciała pomóc Homerowi wstać, ale ją mocno odepchnął.

– Wróciłaś tu tylko po Psa – powiedział gorzko.

– Nie, to nieprawda. Musiałam nabrać prędkości, żeby móc stworzyć odpowiednio dużą falę – wyjaśniła dziewczyna.

Próbowała złapać go za ramię, ale uchylił się.

– Hej, wy! – zawołała z brzegu Madame. – Łobuzy, zepsuliście wszystko! Ale nie powstrzymacie mnie! I tak zostanę najślynniejszym poszukiwaczem skarbów na świecie. To moje przeznaczenie! – dodała. Była tak zajęta pokrzykiwaniem, że nie zauważyła sunącej w jej kierunku kobry. – Dorwę was, nawet gdybym miała poświęcić na to resztę swojego życia! Dorwę was, a wtedy...

– Uważaj! – zawołał Homer.

Madame krzyknęła, kiedy kobra zatopiła kły w jej pięcie. Potem przewróciła się na ziemię.

– Ona umrze – stwierdził chłopiec.

– No i? – Lorelei złapała za ster. – Zabiła twojego wujka. Nas też

chciała zabić.

– Nie możemy jej tak zostawić.

Dziewczyna westchnęła i wywróciła oczami.

– Nie wierzę, że to mówię, ale... dobrze – powiedziała i wrzuciła bieg.

Podpłynęli do brzegu i Homer przywiązał motorówkę do słupa. W tym czasie kobra popęzła w stronę automatów.

Chłopiec podniósł pilot leżący w trawie.

– Ona waży z tonę – poskarżyła się Lorelei, kiedy przenosili nieprzytomną Madame na pokład. – Szkoda, że mapa została zjedzona.

Homer nie mógł poradzić sobie z targającymi nim emocjami. Wiedział jedynie, że nie ma ochoty rozmawiać z Lorelei – ani o mapie, ani o niczym innym. Odcumował motorówkę.

– Musimy zawieźć ją do szpitala.

Po chwili reflektory oświetlały już tunel, przez który pędzili. Kiedy przed nimi pojawiła się kolejna ściana, Lorelei zwolniła. Homer wcisnął kilka guzików na pilocie. Spodziewał się, że jeden z nich odpowiada za autodestrukcję. Na szczęście po chwili ściana ruszyła w górę jak kurtyna i wypłynęli z tunelu. Znajdowali się w pobliżu zalesionego brzegu Jeziora Miejskiego.

Homer poprosił Lorelei, żeby podpłynęła do najbliższej plaży. Tam wynieśli Madame na brzeg i położyli na trawie. Z zamkniętymi oczami i nieruchomą, obumarłą twarzą nie wyglądała już tak groźnie. Jednak chłopiec pamiętał, na co ją stać. Z jednej z budek w parku zadzwonił na pogotowie. Zaczekali, aż w pobliżu rozległy się syreny, a potem wskoczyli na motorówkę i popłynęli na sam środek jeziora. Lorelei wyłączyła motor i światła, więc po chwili unosili się na wodzie w kompletnej ciszy. Nie rozmawiali. Obserwowali, jak sanitariusze zanoszą Madame do karetki i odjeżdżają.

Homer przytulił Psę.

– Zastanawiam się, co z nią będzie.

– No cóż, nawet jeśli przeżyje ukąszenie węża, trafi do więzienia za kradzież kamieni szlachetnych z Jaskini Geniuszu – stwierdziła Lorelei.

– Skąd policja będzie wiedzieć, że to ona je zabrała?

Lorelei poruszyła nosem.

– Podkabluję ją – stwierdziła. – W kryjówce trzymała rachunki od gościa, który robił jej fałszywe kamienie. Te, którymi zastępowała oryginały. Myślę, że przynajmniej tyle mogę zrobić. W ten sposób podziękuję jej za to, jak mnie potraktowała.

Dziewczyna głąskała Stokrotkę, która zwinęła się na jej kolanach.

– Dlaczego pracowałeś dla takiego kogoś jak ona? – zapytał Homer. Najwyraźniej ciekawość wzięła górę nad złością.

Lorelei odwróciła się i spojrzała gdzieś w przestrzeń.

– Nie miałam niczego, Homer. Nie wiesz, co to znaczy. Pewnego dnia pan Twaddle zauważył mnie w bibliotece. Przyszłam tam, bo nie miałam dokąd iść. Czytałam wtedy *Odyseję*. Powiedziałam mu, że lubię powieści przygodowe. A on przedstawił mnie Madame. Dostałam od niej ubrania, a także kieszonkowe. Obiecała, że dzięki niej będę bogata. Kazała mi udawać twoją przyjaciółkę i zdobyć tak dużo informacji, jak to możliwe – przyznała Lorelei i zwiesiła głowę.

– Ale ja nie udawałam, że cię lubię, Homer. Jesteś najfajniejszą osobą, jaką znam.

Chłopiec nie odezwał się. Mówiła to, co chciał usłyszeć? W ten sposób żyła.

Nagle odwróciła się.

– Mówię prawdę. Chciałabym znów być twoją przyjaciółką – stwierdziła, po czym wsunęła rękę pod szcurzycę i wyciągnęła kompas. – Jest twój. To ten, który ukradła Stokrotka. To naprawdę sprytna złodziejka. Zdołała go odzyskać, kiedy Madame nie patrzyła – wyjaśniła i podała gadżet Homerowi.

Chłopiec upewnił się, czy to rzeczywiście jest jego kompas.

– Dlaczego go nie zatrzymałaś?

– Chcesz odbudować bibliotekę, prawda? Wiem, że liczyłeś na to, że ta moneta jest sporo warta. Chciałeś pewnie sprzedać ją muzeum. Niestety nie mam pojęcia, co Madame z nią zrobiła. Możesz więc sprzedać kompas.

Homerowi ten pomysł wcale się nie spodobał.

– Sądzę, że masz rację – odparł.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Po raz kolejny Homer nie spał, choć była już głęboka noc. Widoczne w oddali wieżowce połyskiwały w świetle księżyca. Pokurczone drzewa w parku rzucały niepokojące cienie na mroczną wodę. Pies wsunął nos w mokry rękaw jego płaszcza.

Chłopiec był przemoczony od stóp do głów. Kąpiel w wodzie ze stawu sprawiła, że zaczął drżeć. Kiedy Lorelei wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać Psa, postanowił znów się odezwać.

– Właśnie dlatego dałaś mi kompas? Bo chcesz zabrać mi Psa? Cóż, nie dostaniesz go – powiedział i objął zwierzę. – Nawet nie próbuj mi go odebrać. Nie dam ci go.

– Wiem. – Lorelei zwiesiła rękę za poręcz motorówki i westchnęła. – Nie będę nawet próbowała. Popełniłam bardzo dużo błędów. Po prostu nie chciałam być już biedna.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, wydała mu się takim samym dzieckiem jak wszyscy w jej wieku, a nie samowystarczalną, beztroską dziewczyną, którą poznał na ulicy. Może mieszkanie w magazynie wcale nie było takie fajne? Może samemu żyło się źle, bo nikt ci nie gotował, nikt nie pomagał przygotować się do dyktand i nikt nie tulił przed snem?

– Co teraz zrobisz?

– No więc... – Postukała nogami. – Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Mam już pewien pomysł.

– Jaki?

– Znam sekret twojego psa. A ty znasz kryjówkę Madame. Może tam zamieszkamy? Skoro Twaddle nie żyje, a ona jest w więzieniu, to... nikt się o tym nie dowie. Nie potrzebujemy mapy Rumpolda Smellera. Jest wiele innych skarbów, które moglibyśmy odnaleźć. Jeśli jakiś znajdziemy, będziemy go mogli zachować. I wkrótce staniemy się najbogatszymi poszukiwaczami skarbów na świecie!

– Nie chcę być najbogatszym poszukiwaczem skarbów na świecie – stwierdził Homer. – Zamierzam rozdać to, co znajdę.

– Och. Szkoda. – Dziewczyna pogłaskała Stokrotkę po ogonie. – W takim razie zawrzyjmy dżentelmeńską umowę. Ja nie powiem nikomu o Psie, a ty nie wspomnisz nikomu o kryjówce.

– Dlaczego?

– Bo zamierzam w niej zamieszkać. Mogłabym wprowadzić się od razu. No bo kto mnie powstrzyma? Madame przecież nie żyje lub trafi na długo do więzienia. Będę mieszkać tam, dopóki nikt się nie dowie o tym miejscu. – Uśmiechnęła się. – Dzięki jej sprzętowi bez trudu rozpocznę karierę poszukiwacza skarbów. Dzięki Psu ty również bez trudu ją rozpoczniesz. Co ty na to? – Wyciągnęła rękę. – Obiecujemy sobie, że zachowamy nasze tajemnice w sekrecie?

– Nie wiem.

– No weź, Homer. Przecież wróciłam po ciebie!

– Sądzę, że wróciłaś tylko dlatego, że dotarłaś do ściany i nie miałaś pilota, żeby ją podnieść.

Kąciki ust Lorelei uniosły się lekko do góry.

– To nieprawda. Ale chyba nigdy nie będziesz mieć pewności.

– Jeśli kiedykolwiek spróbujesz mi odebrać Psa, powiem całemu światu o twojej kryjówce.

– A jeśli ty powiesz całemu światu o mojej kryjówce, odbiorę ci Psa.

Homer wyciągnął rękę.

– Ty dochowasz tajemnicy, to i ja dochowam.

Spojrzeli sobie w oczy, po czym uścisnęli dłonie. Był to solidny, poważny uścisk, któremu towarzyszyło wzajemne zrozumienie.

Homer poprosił Lorelei, żeby podwiozła go na plażę żółwi, bo była to jedyna część jeziora, którą znał. Był przekonany, że stamtąd zdoła wrócić do domu. Po chwili odpłynęła do brzegu i chłopiec razem z Psem wyskoczyli z motorówki. Lorelei wychyliła się za poręcz.

– Może któregoś dnia spotkamy się gdzieś na szlaku, szukając nowych skarbów. Marzyłabym o tak wartościowym przeciwniku jak ty, Homerze W. Puddingu – powiedziała. Stokrotka wdrapała się na jej ramię. – Kiedy następnym razem wpadniesz do Miasta, zajrzyj też do nas. Wiesz, gdzie nas znaleźć.

Kiedy uruchomiła silnik i odpłynęła, potężna fala rozbiła się o brzeg.

– Rzeczy twojego wujka wyślę ci na farmę! – zawołała Lorelei, kiedy była jeszcze niedaleko.

– Nie zapomnij odesłać mi monety, jeśli ją przypadkiem znajdziesz!  
– odpowiedział Homer.

Jednak motorówka zniknęła już w ciemnościach. Chłopiec spojrzał na Psa.

– Mam nadzieję, że pani Peepgrass nie poprosi mnie o opisanie wycieczki – westchnął.

Zwierzak zaczął gryźć swędzące miejsce na tylnej nodze.

Chłodne, nocne powietrze owiało chłopca. Stojący w mokrym płaszczu Homer zadrżał.

– Chodź, poszukamy Ajitabha i Zeldy.

– Grrr.

Nagle pies zeszywniał. Nie spuszczał wzroku z jeziora. Chłopiec odwrócił się. Och, nie. Co tym razem się działo?

Obydwoje wyszli z błota na trawiastą skarpe ciągnącą się wzdłuż brzegu jeziora. Edith, gigantyczny żółw mutant, wynurzył się z wody i wyciągnął na brzuchu. Zamknął oczy i przeraźliwie jęknął. Zupełnie jak ktoś, kogo bardzo bolał brzuch. Zwierzę rozsunęło nogi, położyło podbródek na ziemi i beknęło. Homer skrzywił się. Zwierzę beknęło po raz kolejny, a z jego paszczy wypadła książka.

## Rozdział 34

### Zarys bohatera

W chwili, gdy książka o gadach wylądowała w błocie, Pies zaczął węszyć. Zanim Homer zdołał go powstrzymać, zbiegł ze skarpy na dół. Leżący z zamkniętymi ślepiami żółw ciężko oddychał. Nawet nie zwrócił uwagi na futrzaka, który chwycił pokrytą szlamem książkę i zaniósł ją swojemu panu. Chłopiec wytarł ją o trawę i spojrzał na okładkę. *Rzadkie gady, które złapałem i wypchałem*. Mapa!

Rozejrzał się dookoła. Lorelei już dawno się ulotniła, a w parku nie było żywego ducha. Homer usiadł na trawie, w bezpiecznej odległości od Edith, i położył książkę na kolanach. Pies przytulił się do niego i patrzył, jak chłopiec otwiera książkę.

Na szczęście nie znajdowała się w brzuchu żółwia na tyle długo, żeby kwasy żołądkowe uszkodziły jej okładkę. Pierwsza strona wyglądała zwyczajnie – parę napisów i czarno-białe zdjęcie zezowatej żaby diabelskiej. Druga strona również wyglądała zwyczajnie. Trzecia, czwarta, piąta...

– Spójrz – szepnął, a Pies przechylił łeb.

Chłopiec wskazał mu prawy róg strony szóstej. Podpis pod zdjęciem brzmiał „Koktajlowa jaszczurka pigmejska”, ale ktoś zakleił je kawałkiem mapy wyciętym tak, aby idealnie pasowała. Niewielki prostokąt zawierał jej legendę oraz inicjały kartografa: R.S. Homer poczuł ciarki na plecach. Tak jak myślał! Jego wujek pociął mapę Rumpolda Smellera na małe kawałeczki i ukrył je we wnętrzu książki!

Chłopiec przesunął dłonią po inicjałach sławnego pirata. Jak wiele osób szukało tej mapy? Jak wiele osób marzyło o odnalezieniu jego zaginionego skarbu? Jak wiele osób straciło życie podczas poszukiwań? Pan Twaddle. Wujek Drake. Sam Rumpold również. A inni? To nie była zabawka ani jakaś mrzonka. Mapa była śmiertelnie niebezpieczna, ale przynajmniej miał ją ktoś, kto nie chciał wykorzystać jej do prywatnych celów.

Homer położył rękę na karku Psa.

– Ty ją znalazłeś. Któregoś dnia będziemy mogli o tym



opowiedzieć. Na razie jednak musimy ją dobrze schować. Przynajmniej do czasu, gdy będziemy mogli z niej skorzystać.

Pies polizał go po twarzy.

Edith znów jęknęła. Homer być może by jej współczuł, gdyby nie była przerażającą mięsożerną maszynką do zabijania.

Przez rosnące w parku iglaste drzewa przedzierał się świt. A co, jeśli Lorelei wróci? Co zrobi, jeśli zobaczy książkę?

– Lepiej będzie, jeśli stąd pójdziemy! – zdecydował.

Byli po drugiej stronie płotu z łańcuchów, więc ruszyli wzdłuż niego, aż znaleźli dziurę. Homer przecisnął się przez nią, a potem tak naciągnął siatkę, żeby Pies mógł również przejść. Popędzili przez park dokładnie tą samą drogą, którą wcześniej prowadziła ich Lorelei. Przy wyjściu znaleźli mapę okolicy. Homer tak długo przesuwiał po niej palcem, aż znalazł komisariat. Pan Twaddle nie żył, a Madame la Directeur znajdowała się w szpitalu. To oznaczało, że nie było komu wnieść oskarżenia. Policjanci musieli puścić wolno jego przyjaciół.

Taksówki i autobusy mijają ich, rozpoczynając swoje poranne kursy. Pierwsza fala pracowników biur wylała się na chodniki, wszyscy w długich płaszczach i dźwigający teczki. Po przejściu ośmiu przecznic Homer i Pies znaleźli się przed komisariatem. Ajitabh i Zelda właśnie schodzili po schodach. Twarz mężczyzny przypominała ściernisko, a srebrne włosy kobiety wymagały starannego wyszczotkowania.

Na widok chłopca Zeldy od razu wyciągnęła rękę.

– Jesteście cali i bezpieczni! – zawołała, przytulając go. – Ale przemoknięci. Co się stało?

„Co się stało? Co za pytanie!”. Gdyby Homer był tym prawdziwym Homerem, to znaczy pisarzem żyjącym bardzo dawno temu, pewnie opisałby wydarzenia tej nocy w balladzie, którą później śpiewano by przez wieki. No, ewentualnie napisałby bestsellerową książkę. Ale w jaki sposób miał opowiedzieć tę historię, jeśli nie mógł wspominać o kryjówce Madame?

– Um, zaatakowały nas spryskiwacze. A co wam się stało?

Ajitabh przebiegł palcami po wąsach, poprawiając je i wygładzając.

– Żaden z pracowników muzeum nie pojawił się, żeby wnieść

przeciwko nam zarzuty. No i, oczywiście policja nie miała dowodów, że jesteśmy zamieszani w kradzieże w muzeum – powiedział, po czym zdjął swoją kurtkę pilotkę. – Cały drżysz. Załóż to.

Homer ściągnął przemoczony płaszcz i wsunął ręce w kurtkę wynalazcy. Poczul jego ciepło. Gdyby jeszcze miał spodnie na zmianę. I buty... Psu najwyraźniej nie było już zimno. Jego futro zaczęło wysychać.

– Moim zdaniem wyglądasz nie najlepiej – zauważył mężczyzna. – Dlaczego nie poszedłeś do domu?

– No więc... – Homer zapiął zamek błyskawiczny.

– Chyba nie szukałeś tej kryjówki, co?

Zelda wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i starła mu błoto z czoła.

– Nie idź tam sam. To byłoby zbyt niebezpieczne.

– Nie szukałem kryjówki. – Homer nie lubił okłamywać przyjaciół wujka. – Ale zobaczcie, co znalazłem w... biurze Madame. – Mówiąc to, uniósł książkę.

Usiedli na ławce. Ignorując klaksony przejeżdżających samochodów oraz spojrzenia przechodniów, którzy nigdy nie widzieli kogoś takiego jak Zelda, oglądali tom strona po stronie.

W końcu Ajitabh głęboko odetchnął.

– Na Jowisza, to genialne miejsce, żeby ukryć mapę. Kto by jej szukał w tak nudnej książce?

Zelda przesunęła swoim długim palcem po jednym z fragmentów.

– Dobrze, że spryskiwacze jej nie zniszczyły – stwierdziła, po czym przechyliła swoją długą szyję i spojrzała na Homera. – Co cię skusiło, żeby zajrzeć do książki o gadach?

– Um, nic szczególnego. Po prostu wziąłem ją do ręki. To był przypadek.

Ajitabh i Zelda spojrzeli na siebie znacząco. Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Czasami najcenniejsze rzeczy znajduje się przez przypadek. Ja na przykład odkryłem, jak zrobić zasłonę z chmur, kiedy mój samoczyszczący się kociołek eksplodował – stwierdził i pacnął Homera w plecy. – Dobra robota, chłopcze. Doskonała!

– No tak – potwierdził i spojrzał na Psa, który leżał u jego stóp.

Dobra robota!

– Musisz jej pilnować – poprosiła Zelda. – To najbardziej pożądana mapa w środowisku poszukiwaczy skarbów.

– Wiem... – Spojrzeli na niego po raz kolejny, zgodnie marszcząc czoła. Odpowiedzialność za mapę nagle przygniotła Homera, zupełnie jak klasówka z matematyki, do której się nie uczył. Podał książkę przyjacielowi Drake'a. – Ty ją weź.

Mężczyzna uniósł ręce.

– O nie, mój chłopcze. Zelda i ja mamy zbyt wielu wrogów. Ty wydajesz się jej idealnym strażnikiem. Nikt nie będzie podejrzewał, że mapa Rumpolda Smellera znajduje się na koziej farmie – powiedział, po czym przesunął książkę na kolana chłopca. – Musisz jednak zachować jej istnienie w tajemnicy. Oczywiście do czasu, gdy będziesz gotowy na wyprawę.

– A kiedy to będzie? – zapytał Homer.

– Ach, ta niecierpliwość młodych. – Ajitabh znów pacnął go w plecy. – Wkrótce! A teraz powinieneś już wracać do domu. Nie musisz jechać pociągiem. Odwiozę cię chmurokopterem.

– To dobrze, bo mój bilet do niczego się nie nadaje.

Chłopiec wyciągnął z kieszeni pomiętą, ociekającą wodą kawałek papieru.

Ponieważ Zelda nie mieściła się w taksówce czy autobusie, odprowadzili ją do muzeum. Pies dreptał tuż obok jej wielkich, czarnych butów, bo trzymała jego smycz w swoich potężnych dłoniach. Homer niósł książkę pod pachą. Nigdy jeszcze nie miał tylu sekretów. Czuł się, jakby rozpoczynał zupełnie nowy rozdział w swoim życiu. Jakby przeszedł do kolejnej klasy albo przeprowadził się do wielkiego miasta. A nawet lepiej!

Tuż obok muzeum dozorca szurał po chodniku dwoma kontenerami na śmieci. Zostawił je tuż przy krawężniku. Homer zobaczył w jednym z nich torbę siostry. Wyciągnął ją, a spod krzewów zabrał czapkę taty. Potem podszedł do wejścia niby-tylko-dla-VIP-ów i podniósł wypchaną wiewiórkę.

– A co z monetą? – zapytał Ajitabh.

– Wciąż ma ją Madame – odpowiedział chłopiec. – Nie sądzę,

żebym ją kiedykolwiek zobaczył.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Postaramy się załatwić ci nową.

Oba chmurokoptery stały tam, gdzie je zostawili, osłaniane przez mgłę i zarośla. Zelda zawiesiła gogle na czole, a pelerynę zawiązała pod szyją. Homer posmutniał. Zrozumiał, że będzie za nią tęsknił.

– Byłbym zapomniał... – odezwał się. – Wujek Drake napisał mi w liście, że potrafisz stwierdzić, czy masz do czynienia z oryginałem, czy podróbką. Powiedz mi, czy to jest prawdziwy kompas Galileusza?

Zelda zarzuciła swoje srebrne włosy na plecy, po czym wyjęła z czarnej torby szkło powiększające. Uważnie przyjrzała się kompasowi.

– To nie jest podróbka. O ile się nie mylę, a przecież nigdy się nie mylę, to oryginalny oryginał. Drake ci o tym nie wspomniał?

– Oryginalny oryginał?

– Tak, pierwszy z serii. Wykonany przez prabratanka Galileusza!

– Wow! – Homer zapomniał, że jest mokry i marznie. – Czy mógłbym go sprzedać? Czy dostałbym za niego dość pieniędzy, żeby odbudować bibliotekę?

– Dostałbyś dość pieniędzy, żeby odbudować dwie biblioteki. Jestem przekonana, że Muzeum Nauki i Technologii z przyjemnością miałyby go w swojej ekspozycji. Czy chcesz, żebym zajęła się tą transakcją?

– Tak, proszę. – Chłopiec przypomniał sobie coś jeszcze. – A mogłabyś wysłać trochę pieniędzy tutejszej bibliotece publicznej? Pies zjadł kilka ich magazynów.

– Zrobi się! – Schowała kompas do torby. – Wkrótce się zobaczymy – dodała, po czym uściskała Homera, a Psa podrapała po grzbiecie.

Z radości zatańczył na tylnych łapkach.

– Lecisz prosto do domu? – zapytał Ajitabh.

– Sądzę, że zajrzę na trzydzieste drugie piętro pewnego biurowca. Być może nie mieszczę się do windy, ale powinnam zmieścić głowę w otwartym oknie! – Kobieta wdrapała się do maszyny i uruchomiła silnik. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Ojejku, ale on będzie zaskoczony! – dodała, po czym pomachała im na pożegnanie.

Jej chmurokopter wzbił się w powietrze i po chwili zniknął w oddali.

Homer, Ajitabh i Pies weszli na pokład drugiej maszyny, założyli gogle i zapięli pasy. Tym razem chłopcy usiedli z przodu.

– Mamy mnóstwo paliwa – stwierdził mężczyzna po sprawdzeniu zegarów. Włączam maksymalną osłonę chmurową. – Kiedy chmurokopter oderwał się od ziemi, Homer poczuł, jak podskakuje mu żołądek. Zastanawiał się, czy Lorelei poznaje już swoją nową kryjówkę. Ciekawe, co robi z tą paskudną kobrą?

Kiedy opuścili Miasto i wzbili się na wysokość przelotową, Ajitabh zmniejszył osłonę chmurową. Chłopiec znów zobaczył jego ciemną twarz i włosy.

– No dobrze, to powiesz mi, co tak naprawdę wydarzyło się tam na dole, u Madame?

Homer bawił się swoim szwajcarskim scyzorykiem.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, drogi chłopcze, że nie jesteś specjalistą od oszukiwania. – Mężczyzna założył wyciągniętą spod fotela drugą kurtkę pilotkę. – To znaczy kiepski z ciebie kłamca.

– Naprawdę? – Homer schował scyzoryk. – No więc... ja... nie kłamałem.

Ajitabh uniósł brwi.

– No dobra, być może nie opowiedziałem wszystkiego, ale nie mogę tego zrobić, bo komuś to obiecałem – stwierdził i zdławił ziewnięcie.

Może dlatego, że przespał niemal cały dzień w wieży, łagodny szum wirników maszyny podziałał na niego usypiająco. Powieki mu ciążyły, jakby ktoś pomalował je cementem.

– Uczciwy człowiek zawsze dotrzymuje obietnic – powiedział Ajitabh i uśmiechnął się znacząco.

Homer nawet nie zauważył, kiedy zapadł w głęboki sen. Maszyna leciała znacznie szybciej, niż jechał pociąg, dlatego jeszcze tego samego poranka wylądowała na wzgórzu za farmą Puddingów.

Ajitabh delikatnie szturchnął chłopca, żeby go obudzić.

Homer odwrócił się i spojrzał na Psa, który spał na jednym

z tylnych foteli.

– Mój tata nie chce, żebym go zatrzymał – westchnął. – Zapytam go o to jeszcze raz, ale jeśli powie nie...

– Nie martw się – stwierdził łagodnym tonem mężczyzna. – Ja się nim zaopiekuję. Będiesz mógł odwiedzać go, kiedy tylko chcesz. Wciąż będzie twoim psem.

– Będiesz umiał się nim dobrze zająć? Jest bardzo... specjalny.

– Dobrze się nim zajmę.

– Będiesz pamiętał, że on nic nie czuje? Że trzeba uważać, żeby nie zjadł niczego trującego?

– Tak, będę pamiętał.

Pies otworzył oczy i usiadł. Chłopiec przesunął się na tył maszyny i uściskał go z całych sił. Bał się, że za chwilę serce mu pęknie. Nie chciał płakać, więc wyskoczył z chmurokoptera. Ajitabh rzucił mu torbę Gwendolyn i czapkę taty.

– Kiedy znów się zobaczymy? – zapytał Homer, stojąc na miękkiej zielonej, wiosennej trawie.

– Kiedy dowiem się o kolejnym spotkaniu L.O.S.T. Przylecę wtedy po ciebie. Będziemy musieli cię wszystkim oficjalnie przedstawić.

– Jasne.

Ajitabh wychylił się z chmurokoptera.

– Doskonała robota i tak dalej, Homerze Puddingu. Jesteś prawdziwym poszukiwaczem skarbów, bez dwóch zdań. Zachowaj tę kurtkę i gogle. Przydadzą ci się, gdy znów się spotkamy!

– Urrr!

Futrzak stał przy krawędzi maszyny i zamachał ogonem. Mężczyzna złapał go za obrozę, żeby nie wyskoczył. Chłopiec nie mógł na to patrzeć.

Na wstępie tej książki napisałam, że to nie będzie smutna opowieść o psie. Dodałam, że nie ma czegoś gorszego, niż nie wiedzieć, czy pies przeżyje. Cóż, szczerze mówiąc, istnieje coś niemal równie strasznego. To konieczność pożegnania się z psem.

– Czy możesz poczekać chwilkę, aż pogadam z tatą? Upewnię się, czy nie zmienił zdania.

– Ale tylko chwilkę. Nie chcę ryzykować wykrycia.

Homer wsunął książkę o gadach i czapkę pod pachę, podniósł torbę Gwendolyn i pobiegł w dół wzgórza. Kiedy zobaczył farmę, czerwoną stodołę z uginającym się dachem, mały kamienny domek i zaparkowaną przed nim czerwoną ciężarówkę, przyspieszył. W ostatnich dniach wydarzyło się tyle, że wydawało mu się, że nie było go tu od lat.

Mieszkające na farmie psy popędziły w jego stronę, szczekając i machając ogonami. Homer poklepał je, gdy krążyły wokół niego i wachały go radośnie. Nie mogły uwierzyć, jakie zapachy przyniósł ze sobą – zmurzałej wody, zmutowanego żółwia i szczura!

Tata prowadził kozy na dolne pastwisko. Kiedy podniósł głowę, zobaczył biegnącego ku niemu syna. Chłopiec zamachał niepewnie. Bał się, czy ojciec nie zacznie krzyczeć.

Nie pamiętał, czy widział go kiedyś równie zmęczonego. Miał oczy tak samo czerwone jak pies. Mężczyzna patrzył na niego, jakby nigdy wcześniej go nie widział.

Homer położył torbę na ziemi.

– Tato, ja... ja...

Pan Pudding podbiegł do niego i mocno go przytulił.

– Przepraszam – powiedział. – Nie powinienem zamykać twoich rzeczy na strychu! Proszę cię, nigdy więcej nie uciekaj z domu. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Czując znajomy zapach siana, mydła i oleju silnikowego i słysząc miękki głos ojca, niemal się rozplakał.

– Nie ucieknę, tato. Obiecuję! – Mówiąc to, podał tacie czapkę.

Mężczyzna uśmiechnął się i założył ją.

– Tęskniłem za nią – stwierdził. – I widzę, że przyniosłeś rzeczy swojej siostry. Strasznie za nimi rozpaczała – dodał i rozejrzał się. – A gdzie jest ten twój kundel?

Słowa same wyleciały chłopcu z ust. Wargi nie zdołały ich zatrzymać.

– Tato, czy mogę go zatrzymać? To wspaniały pies. Obiecuję, że nie narobi już żadnych kłopotów. Będę zakopywał dziury, które wykopie, i zadbam o to, żeby nie pił farby. Nie pozwolę mu spać na łóżku i...

– Zaraz, powoli! – Tata potarł kark. Jedna z kóz włożyła głowę do

torby. Inna próbowała zjeść książkę o gadach, jednak chłopiec ją odepchnął. – Nie martw się. Rozmawialiśmy na ten temat z mamą. Opiekowanie się psem dobrze ci zrobi. Poza tym Pisk go bardzo lubi.

– Więc może zostać?

– Tak. Nie jest zbyt ładny i nie potrafi się zajmować stadem, ale z pewnością znajdziemy mu coś do roboty. – Mężczyzna podniósł torbę Gwendolyn i zarzucił ją sobie na ramię. – No więc gdzie on jest?

Homer pędził już przez pole. „Proszę, bądź tam jeszcze, proszę, bądź tam jeszcze”, powtarzał, wymachując rękami.

– PIES! – zawołał. Jeszcze przed chwilą chmurokopter był za brzozowym zagajnikiem. Jednak Homer nie widział, czy wciąż tam jest. „Proszę, bądź tam”, pomyślał. – PIES!

– Hauuuuuu!

Futrzak wyskoczył zza drzew, ciągnąc za sobą smycz. Jego uszy łopotały na wietrze niczym skrzydła.

– Możesz zostać! – zawołał chłopiec, a potem ukucnął w trawie. – Tata pozwolił ci zostać – dodał.

Kiedy Pies lizał go po twarzy, nie przeszkadzało mu, że ten pocałunek był wyjątkowo mokry. Przycisnął nos do miękkiego ucha zwierzęcia i przez chwilę wdychał jego zapach. Zapach, który tak pokochał. Potem spojrzał w niebo i pomachał oddalającej się chmurze.

Wrócili do taty. Po drodze Homer przypomniał sobie coś ważnego.

– Tato, pamiętasz kompas, który dał mi wujek Drake? Okazało się, że jest bardzo cenny. Kupi go ode mnie Muzeum Nauki i Technologii. Pieniądzy wystarczy, żeby wybudować nową bibliotekę.

– Sprzedałeś kompas? – Zmarszczył czoło mężczyzna. – Ale synku, ty go przecież uwielbiałeś!

– Tak, ale uwielbiałem też bibliotekę.

Pan Pudding położył dłoń na jego ramieniu.

– Jestem z ciebie dumny, synu. Oddanie czegoś, co się kocha, nie jest łatwe.

– Ty też oddałeś coś, co kochałeś, prawda? Zdecydowałeś się zostać na farmie.

– To było dawno temu.



– Z czego zrezygnowałeś?

Tata zatrzymał się i spojrzał na chłopca.

– Może cię to zaskoczy, ale chciałem studiować kartografię.

Homer przypomniał sobie ostatnią, pełną emocji rozmowę taty z wujkiem. Ojciec odpuścił sobie marzenia, żeby zająć się farmą. Dzięki temu jego starszy brat mógł się wspinać na wysokie szczyty i przeszukiwać morskie dno. Była to więc jedna z najbardziej heroicznym decyzji, o jakich chłopiec słyszał.

– Podejrzewam, że to po mnie odziedziczyłeś miłość do map – dodał pan Pudding.

Homer otworzył szeroko oczy. Po raz pierwszy dostrzegł w ojcu zupełnie innego człowieka. Jasne, wciąż nosił ten sam kombinezon, czapkę i robocze buty, a na twarzy zmarszczki będące rezultatem ciężkiej pracy na farmie, ale takiego uśmiechu nie widział u niego od bardzo dawna.

– Chciałbyś kiedyś pooglądać moje mapy? – zapytał.

– Fajny pomysł. Przepraszam, że ci je zabrałem. Powieśmy je na swoim miejscu. To znaczy na ścianach w twoim pokoju – zaproponował mężczyzna. Jego wzrok padł na książkę, którą Homer ścisnął w dłoni. – To coś nowego?

– Tak. Przywiozłem ją z Miasta.

– Mam nadzieję, że znajdziesz dla niej miejsce na półce.

– Na pewno.

Max, Gus i Lulu wyczuły zapach lisa i zaczęły szczekać, pędząc jak szalone przez pole. Pies ruszył za nimi. Ogon trzymał wysoko. Uszy ciągnęły się za nim, a luźna skóra podskakiwała.

Gdzieś w tyle głowy Homer usłyszał głos Lorelei. „Czy wiesz, że kiedy Odyseusz wrócił do domu, rozpoznał go tylko jego wierny pies? Wciąż pamiętał jego zapach”.

Chłopiec zaczął się śmiać.

## Rozdział 35

### Sprawy końcowe

Czy wiesz, że jeśli będziesz podawać żółwiowi sałatę, owady żyjące nad wodą i kawałki jabłka, to wyrośnie na szczęśliwe, łagodne zwierzątko, które będzie spędzać całe dnie, wylegując się na kamieniach w słońcu? Jeśli natomiast zaczniesz go karmić sterydami i odpadami nuklearnymi, tak jak to robiła Madame, to wyrośnie z niego okrutna, mięsożerna bestia?

Na szczęście, kiedy Edith leżała na plaży z nadętym brzuchem, dozorca parku, pan Morton Bun, ulitował się nad nią. Dzięki ściślej diecie bazującej na słonych krakersach i jaskrze powróciła do zdrowia, a także swoich normalnych rozmiarów. Zamieszkała w parku razem z innymi żółwiami. Jeśli kiedyś odwiedzisz to miejsce, zobaczysz ją wygrzewającą się w słońcu. Poznasz ją po obwisłej skórze.

Czy wiesz, że jeśli sterydy i odpady z reaktorów atomowych zanieczyszczą jezioro, woda w nim staje się mroczna, a okoliczne drzewa zaczynają chorować? Tak właśnie jest! Na szczęście Morton Bun wiedział, że odchody żółwi są doskonałym nawozem, i zdołał uratować wszystkie rośliny.

Zgodnie z obietnicą Lorelei kilka dni później na farmę dotarło kilka kartonów wypełnionych rzeczami wujka Drake'a. Do jednego z nich dołączono list, którego Homer nikomu nie pokazał.

*Drogi Homerze!*

*Wiesz co? Wykonałam „anonimowy” telefon na komisariat i powiedziałam wszystko, co wiedziałam o klejnotach ukradzionych przez Madame z Jaskini Geniuszu. Sprawdzili nagrania z kamer i zamknęli ją w areszcie domowym, choć wciąż nie wybudziła się ze śpiączki wywołanej ukąszeniem kobry. Wydaje się więc, że w najbliższym czasie nie będę musiała się nią przejmować. Oddałam pokój w magazynie oraz wózek z zupami bezdomnej rodzinie. Stokrotka polubiła nasz nowy dom. Kobrę podrzuciłam w koszu do miejskiego zoo, a myszy wypuściłam w parku.*

*W tej chwili mieszkamy we dwoje. Trochę za tobą tęsknię, ale mam też sporo pracy. Musisz zobaczyć wszystkie te gadżety, które tu znalazłam!*

*Twoja przyjaciółka,  
Lorelei*

Niestety w pudełkach nie było nawet śladu po złotej monecie. „Pewnie jej nie znalazła”, pomyślał Homer. Naprawdę chciał jej ufać. Chciał znów móc nazwać ją swoją przyjaciółką. Starał się więc zupełnie o nic jej nie podejrzewać.

Tego samego dnia przyszedł drugi list.

*Drogi Panie Homerze W. Puddingu!*

*Kancelaria prawna Snooty i Snooty pragnie poinformować Pana, że upłynął pięciodniowy termin zwrotu przedmiotu, którą przesłał Panu wujek.*

*A przynajmniej tak nam się wydaje. Odkąd nasz sekretarz jest na przedłużonych wakacjach, nigdzie nie możemy znaleźć Pana akt ani akt innych naszych klientów. Niczego też nie jesteśmy pewni. Z uwagi na okoliczności nie możemy zagwarantować ani oczekiwać, że zaspokoimy Pana potrzeby.*

*Z całym prawnym szacunkiem,  
T. Snooty i C. Snooty  
prawnicy*

*PS Jeśli zna Pan dobrego specja od wind, prosimy koniecznie go nam podać.*

Kiedy dzień po powrocie Homer szedł do szkoły razem z Gwendolyn, dołączyła do nich Carlotta.

– Cześć, Homerze! – zawołała. Chłopiec spojrzał na nią znad książki, którą czytał, czyli *Rzadkie gady, które złapałem i wypchałem*. Dziewczynka zamachała koszykiem z jedzeniem i uśmiechnęła się. – Gdzie byłeś? Chorowałeś? Napisałeś już referat?

– Nie. Byłem dość zajęty.

Carlotta zaczęła się bawić swoją kokardą.

– Czy wiesz, że nigdy nie zobaczyłam tych sów i w końcu napisałam o border collie? Tata twierdzi, że nasze psy zdobędą Błękitną Wstążkę na najbliższym targu. Czy wystawisz na nim swojego psa?

– Nie jestem pewien.

– Wiem, że on nie potrafi pasać kóz. Może umie skakać? Albo aportować? Albo przewracać się na zawołanie? Czy zna jakieś sztuczki? Potrafi cokolwiek robić?

Dziewczynka spojrzała na niego swoimi wielkimi, błękitnymi oczami. Oczekiwała odpowiedzi.

Ale Homer Winslow Pudding tylko się uśmiechnął.

\*

Drogi Czytelniku!

Jeśli będziesz kiedyś pisać wypracowanie o poszukiwaczach skarbów, ta lista z pewnością ci się przyda. A jeśli twój nauczyciel powie, że żadna z tych osób nie istniała, to... no cóż. Powiedz mu, że nawet osoba bardzo, bardzo stara nie musi wszystkiego wiedzieć.

# Najsłynniejsi poszukiwacze skarbów wszech czasów

## **Sir Richard Borington**

Zaprojektował Supermocną Lornetkę Boringtona. Umarł, gdy usiadł na nim słoń.

## **Kapitan Ignatius Conrad**

Kapitan statku HMS Bombastic. Złapał niesławnego pirata Smellera. Zmarł zjedzony przez rekiny.

## **Madame la Directeur**

Córka Wilmy von Weiner i doktora Wortworthy'ego. Razem z Drake'em H. Puddingiem odnalazła wrak statku HMS Bombastic. Aktualnie znajduje się w śpiączce po ugryzieniu kobry.

## **Sir Titus Edmund**

Odkopał jedyny znany egipski toster. Kto by pomyślał, że starożytni Egipcjanie lubili tosty. Jego aktualne miejsce pobytu pozostaje nieznanne.

## **Gustav Gustavson**

Odkrył szczoteczkę do zębów Afrodyty. Zmarł w wyniku pojedynku na miecze.

## **Angus MacDoodle**

Odnalazł na swoim podwórku największą kolekcję celtyckich monet. Miejsce jego zamieszkania objęte jest tajemnicą.

## **Baronowa Meatpie**

Zasłynęła dzięki kolekcji ceramiki wschodnioindyjskiej. Zmarła na skutek ukąszenia kobry.

### **Drake Horatio Pudding**

Odkopał strój kąpielowy króla Tut. We współpracy z Madame la Directeur odnalazł wrak HMS Bombastic. Według niepotwierdzonych pogłosek zdobył mapę Rumpolda Smellera. Zmarł pożarty przez mięsożernego żółwia mutanta.

### **Homer Winslow Pudding**

Uzdolniony miłośnik map i powiernik kilku sekretów. Aktualnie mieszka na rodzinnej farmie koziej w Mlecznej Dolinie.

### **Książę Rumpold Smeller**

Pochodził z Estonii. Podobno zgromadził największy piracki skarb w historii piractwa. Zmarł zmuszony do spaceru po desce sterczącej z pokładu HMS Bombastic. Ale czy na pewno?

### **Millicent Smith**

Szanowana z uwagi na umiejętność skakania do wulkanów. Zmarła podczas pożaru domu, próbując uratować liny do bungee.

### **Wilma von Weiner**

Odnalazła Zaginioną Świątynię Króla Gadów. Przyczyna śmierci nieznana.

### **Doktor Wortworthy**

Doktor herpetologii. Nie był sławnym poszukiwaczem skarbów, ale znalazł się na liście z uwagi na małżeństwo z Wilmą von Weiner. Towarzyszył jej podczas wielu wypraw. Zginął zjedzony przez kanibali.

# Podziękowania

Na szczęście wciąż mam tę samą grupę utalentowanych pisarzy, na których mogę liczyć, kiedy znajdę się w potrzebie. Również i tym razem stawili się na wezwanie i przetestowali pierwszą wersję tej książki. Potem zadali mi pytania w stylu: „Z jakiego papieru korzystasz?”, „Myślisz, że będzie dziś padać?” i „Czy oszalałaś?”. Bez ich wsparcia nie poradziłabym sobie z tą pierwszą wersją. Moją grupę wsparcia tworzą: Anjali Banerjee, Carol Cassella, Sheila Roberts, Elsa Watson i Susan Wiggs.

Mam też w drużynie nową, wspaniałą osobę, Julię Scheinę. Pomogła mi zredagować książkę. Współpracowała też z moją „starą”, lecz cudowną redaktorką, Jennifer Hunt, choć nie ma zbyt wielu lat i pewnie mogłaby być moją córką. Jest jeszcze pewien facet, Michael Bourret. Wystarczy, że będziecie wiedzieć o nim tyle, że jest dla mnie bardzo ważny. Dziękuję, drużyno!

Moje dzieci, Walker i Isabelle Ranson, to moi najważniejsi czytelnicy. Do tego mój mąż, Bob. Bez ich uniesionych kciuków pękłoby mi serce. Opowieści, które piszę, powstają przede wszystkim z myślą o nich.

No i jeszcze basset Baxter, dystyngowany starszy pan, który zawsze był na tyle usłużny, żeby zostawić na mojej drodze coś, w co mogłabym wdepnąć. I to przy każdej wizycie! Dziś biega po bezkresnych łąkach psiego nieba. Mam nadzieję, że ktoś tam wysoko ma dobrą zbieraczkę do psich kup...